

**KIRYL BUŁYCZOW**

# **ŻURAW W GARŚCI**

**ŻURAWL W RUKACH**

**JAROSŁAW GOŁOWANOW I JULIJ GUSMAM**

## **KONTAKT**

**JUNOST'**

**PRZEŁOŻYŁ TADEUSZ GOSK**

# ŻURAW W GARŚCI

Bazar był nieduży: trzy szeregi krytych straganów i niezbyt obszerny plac, na którym z zaprzężonych wozów sprzedawano kartofle i kapustę.

Przeszedłem przez targ, odbierając defiladę baniek z mlekiem, garnuszków ze śmietaną i dzbanków brunatnego miodu, mijając tace z agrestem, miski z czarnymi porzeczkami i borówkami, stosiki grzybów i sterty jarzyn. Towary były oświetlone promieniami słońca, a ich właściciele kryli się w tak głębokim cieniu, że trzeba było podejść bliżej, aby ich w ogóle dostrzec.

Ta kobieta zdumiała mnie swą obcością, oderwaniem od tego powszedniego, codziennego świata bazarowych handlarzy.

Zobaczyłem i, jak to się często zdarza, natychmiast wymyśliłem jej dom, życie, otaczających ją ludzi. Uznałem, że przyjechała z zagubionego w lasach starowierskiego chutoru, gdzie jej ojciec, ponury i ciemny, ale sprytny starzec przewodził kilku staruszkom. Tam też mieszkała jej matka, tęga, leniwa, ze spuchniętymi nogami.

W przeciwieństwie do innych handlarek nikogo nie zaczepiała, nie zachwalała swojego towaru — kosza wielkich jaj i wczesnych pomidorów, ułożonych obok wagi w zgrabną piramidkę, niczym kamienne kule przy staroświeckiej armacie.

Miała na sobie wypłowiałą sukienkę z niebieskiego kretonu, odsłaniającą szczupłe, opalone ręce. Patrzyła ponad głowami mijających ją ludzi, jakby głęboko się nad czymś zastanawiając. Nie dojrzałem koloru włosów i oczu, gdyż zawiązała na głowie białą chustkę, która na podobieństwo daszka osłaniała jej twarz. Jeśli któryś z kupujących podchodził do niej — uśmiechała się. Uśmiech był nieśmiały, lecz ufny.

Kobieta poczuła mój wzrok i odwróciła się szybko, jak spłoszona sarna. Spuściłem oczy.

Nie, ona nigdy nie była w starowierskiej sadybie. I wcale nie dlatego, że w tych okolicach nie ma wielkich borów, że niewielkie splachetki lasu, ciągnące się wzdłuż płytkich rzeczulek i nad brzegami bagnistych jezior, poprzedzielane są polami i łąkami. Po prostu każdy skrawek gruntu był tu z dawien dawna zagospodarowany i o starowierskich osiedlach nikt nawet nie słyszał. Nie, nie dlatego: na jej szyi wisiał na cienkim rzemyku wypolerowany kawałek bursztynu, a nie krzyżyk.

A więc mieszka w odległej wsi, a jej mąż, zwalisty i silny hulaka, posłał ją, aby sprzedała nazbierane przez tydzień jaja i dojrzałe akurat pomidory. Potem przepije przywiezione pieniądze i w przyпыływie skacowanej skruchy kupi za pozostałe grosze chusteczkę dla najmłodszej córki...

Zapraǳiałem usłyszeć jej głos. Nie mogłem odejść, zanim go nie usłyszę. Zbliżyłem się i starając się zajrzeć jej w oczy, poprosiłem o dziesięć jaj. Wprawdzie ciocia Alona nic mi nie wspominała o jajach, kazała mi tylko kupić na obiad ze dwa kilo młodych kartofli i trochę szczypiorku, ale...

Patrzyłem na szczupłe ręce z długimi, smukłymi palcami. Na serdecznym palcu prawej ręki dostrzegłem cieką złotą obrączkę. Miałem rację, jest zamężna.

— Ile płacę? — zapytałem patrząc jej w twarz (oczy miała jasne, chyba szare).

— Rubel — powiedziała kobieta, zwijając z gazety tutkę i ostrożnie układając w niej jaja.

Wziąłem zawiniątko. Jaja były wielkie, podłużne i różowawe.

— Z daleka je pani przywiozła? — zapytałem.

— Z daleka.

Nie patrzyła na mnie.

— Dziękuję — powiedziałem. — Będzie tu pani jutro?

— Nie wiem.

Głos miała niski, przytłumiony, nawet nieco schrypnięty i każde słowo wymawiała tak wyraźnie, jakby rosyjski język nie był jej językiem ojczystym.

Kiedy wróciłem do domu, ciocia Alona nie dała się przekonać, że na targu zabrakło młodych kartofli, ale wzięła jaja i zaniósła je do kuchni. Po chwili zawołała stamtąd:

— Kola, coś ty kupił? Przecież to nie są kurze jaja.

— A jakie? — zapytałem.

— Pewnie kacze... Ile dałeś?

— Rubla.

Wszedłem do kuchni. Ciocia Alona ułożyła jaja na talerzu i teraz istotnie wyglądały jakoś dziwnie. Powiedziałem jednak:

— Najzwyczajniejsze w świecie jajka, ciociu. Kurze.

Ciocia Alona skrobała marchew. Rozłożyła ręce — w jednej trzymała marchewkę, w drugiej nóż. Cała jej poza zdawała się mówić: „Niechaj ci będzie...”

Ciocia Alona jest moja jedyną żyjącą krewną. Już od pięciu lat co roku obiecywałem przyjechać do niej, ciągle zwodziłem i nagle przyjechałem. Stało się to nie tyle z powodu głupiej i niepotrzebnej moskiewskiej kłótni, fiaska moich planów, ile wskutek nagłego lęku, że nieubłagany czas może któregoś dnia zabrać mi ciocię Alonę, która pisze długie, szczegółowe listy, pełne staromodnych rozważań i utyskiwań na pogodę, regularnie przysyła kartki z życzeniami na święta i na urodziny, zaopatruje mnie co roku w słoiki z domowymi konfiturami i nie daje po sobie poznać, że czuje się dotknięta moimi czczymi obietnicami.

Kiedy przyjechałem, ciocia Alona nie od razu uwierzyła w swoje szczęście. Wiem, że potrafiła wstać w nocy i podejść do mojego łóżka, aby się przekonać, że nie zniknąłem. Dzieci nie miała, mąż poległ na froncie, kochała mnie więc bardziej, niż na to zasługiwałem.

Nie upłynął jeszcze tydzień od mego przyjazdu do cichego miasteczka na skraju lasów i pól, gdy przekonawszy się po raz któryś z rzędu, że nie potrafię odpoczywać, zacząłem tęsknić do swego codziennego, źle urządzonego życia, do grzbietów książek Wolfsona i Trepietowa na górnej półce regału i do swej zaocznej, bezsensownej teraz polemiki z ich tezami. Kłótnia, która kazała mi tu przyjechać, zaczęła z wolna przybierać swe istotne, skromne wymiary. No, powiedzmy, nie pojedę do Chorogu, powiedzmy, odejdę z instytutu. I co się przez to zmieni? Będzie inne, niemal takie samo laboratorium, niemal takie same dyskusje i konflikty. A odjechać teraz, kiedy ciocia Alona już zawniczuje, że pozostające mi jeszcze dwa tygodnie upłyną zbyt szybko, byłoby z mojej strony okrucieństwem.

— Pewnie nigdy nie widziałeś kurzych jaj — powiedziała ciocia Alona. — Czym was w tej Moskwie karmią?

— Najlepszą metodą rozstrzygnięcia naszego sporu jest usmażenie dwóch jajek — odparłem idąc do pokoju, gdzie wzięłem z półki stary numer „Literatury Zagranicznej”.

Przed kolacją przypomniałem cioci o swej prośbie.

— Może lepiej będzie, jak skoczę do sklepu i kupię zwykłe jajka? — powiedziała ciocia.

— Co to, to nie. Zaryzykujemy.

Ciocia Alona postawiła przede mną talerz z jajecznicą, nalała sobie esencji z imbryczka, który wyjęła spod nader sfatygowanej, lecz wciąż jeszcze imponującej watomowanej lali, dołała wrzątku z samowara i odłupała szczypcami równiutką kostkę cukru. Udawała, że moje jajeczne eksperymenty zupełnie jej nie interesują, ale gdy już zamierzałem zabrać się do jedzenia, nie wytrzymała:

— Na twoim miejscu — powiedziała — ograniczyłabym się do herbaty.

Ciocia usmażyła mi jaja sadzone. Żółtka były wielkie i wypukłe, niczym połówki dojrzałych jabłek. Pomyślałem, że warto byłoby obliczyć ich współczynnik energii powierzchniowej.

— Nie zapomnij posolić — przypomniała ciocia, sądząc, że obleciał mnie strach. W jej głosie zabrzmiała ironia. Poprawiła okulary, które zawsze zjeżdżały jej na czubek nosa. — Nie bój się.

Jajecznicą smakowała niemal tak, jak prawdziwa, choć nie ulegało wątpliwości, że piękna nieznajoma sprzedała mi zamiast kurzych jakieś inne, nie znane w naszych okolicach jaja. Postanowiłem więc zrobić cioci Alonie przyjemność i zapytać:

— A jak wyglądają jajka cietrzewi?

— Dlaczego pytasz tylko o cietrzewie? Poza nimi istnieją słonki, głuszce, a nawet żurawie i orły. Wszystkie ptaki znoszą jaja. — Ciocia Alona przez wiele lat uczyła w szkole i jej pouczający ton można było potraktować jako skrzywienie zawodowe.

— Słusznie — nie poddawałem się. — Strusie, słowiki, a nawet dziobaki. Ale z punktu widzenia konsumenta najważniejszą właściwością jajek jest ich wartość odżywcza i smak. A ta jajecznicą jest wręcz znakomita.

Kiedy zrobiło się ciemno, nagle wstałem zza stołu i ruszyłem na spacer. W parku odszukałem ławeczkę stojącą opodal kręgu tanecznego. Siedziałem tam, paliłem i patrzyłem z życzliwą pobłażliwością na chłopców i dziewczęta, tańczących przy dźwiękach słabiutki, ale nader poważnie traktującej swoje obowiązki orkiestry. Swą życzliwość posunąłem tak daleko, że omal nie pokłóciłem się z jakimś poirytowanym staruszkiem, który piętnował stroje i fryzury chłopaków z takim ferworem, iż pomyślałem, że pewnie przychodzi tu co wieczór, popychany niemal dziecięcym negatywizmem. Starając się skłonić staruszka do większej tolerancji, nagle przeraziłem się, że oto stałem się o wiele bliższy jemu niż tej dzieciarni i że bronię nie ich, lecz samego siebie sprzed dwudziestu lat. A chłopcy, którzy stali w pobliżu i słyszeli naszą dyskusję, nadal rozmawiali o swoich sprawach i także byli wobec nas pobłażliwi. Cóż z tego, że mogę wyobrazić sobie, jak gromadzi się ładunek elektryczny w chmurze niewidzialnej za żółtym blaskiem latarń, jak załśniła bezdźwięczna błyskawica nad teatralnie podświetlonymi drzewami i że widzę energię, która zmusza kropelkę rosy przyklejoną do oparcia ławki, aby przybierała kształt kulki? Po prostu nauczyłem się drobiazgu zupełnie tym chłopakom niepotrzebnego: energia napięcia powierzchniowego wody wciąż ten prześladowający mnie WEP — o temperaturze 20° Celsjusza wynosi 72,5 erga na centymetr kwadratowy. Tak to wygląda naprawdę. Chłopcy są w lepszej sytuacji niż gderliwy staruszek, bo niektórzy z nich poznają jeszcze tę i inne liczby. Poznają i pokochają, wzlecą w niebo w pogoni za sinymi żurawiami chmur. A starzec już niczego nie pokocha.

— Warto by ich ostrzyć do gołej skóry — upierał się starszy pan. — Bo inaczej w tych kudłach wszy im się zalęgna.

Wala Dmitriew zginał tej wiosny, mierząc WEP w chmurze burzowej. On również miał długie włosy sięgające do ramion i akurat tego dnia personalny wezwał go na pogadankę na temat wyglądu, jaki przystoi młodemu pracownikowi nauki.

Wstałem i odszedłem bez słowa.

Ciocia Alona, podwinąwszy pod siebie nogi w grubych wełnianych skarpetach — przed deszczem dokuczał jej reumatyzm — siedziała na wgniezionej kanapie i czytała „Annę Kareninę”. Obok niej leżał doskonale znany — od mosiężnych zameczków do wytartego błękitnego aksamitu okładek — lecz przez dwadzieścia lat dokładnie zapomniany gruby album ze zdjęciami.

— Pamiętasz — zapytała ciocia Alona. — Porządkowałam dziś skrzynię i przypadkiem wpadł mi w ręce. Dawniej lubiłeś go oglądać. Siadałeś na tej kanapie i zaczynałeś wypytywać: „A dlaczego wujek ma takie pagony? A jak się wabił ten pies?...”

Położyłem ciężki album na stole w kręgu światła rzucanym przez pomarańczowy abażur z frędzlami i spróbowałem wyobrazić sobie, co w nim zobaczę. Nie potrafiłem przypomnieć sobie niczego.

Album otworzył się tam, gdzie między grubymi arkuszami kartonu leżała paczuszka późniejszych zdjęć, dla których na kartach zabrakło już miejsca. Na samym wierzchu zobaczyłem własne. Leżałem nagusieńki na brzuchu, z zadowolonym uśmiechem na głupiutkim pyszczku, zupełnie nie podejrzewając, jakie przejścia gotuje mi podstępny los. Rozpoznałem się w tym niemowlaku tylko dlatego, że identyczną fotografię, nieodmiennie rozczulającą leciwe krewne i znajome, miałem u siebie w Moskwie. Potem natknąłem się na grupowy portret z podpisem „Piatigorsk, 1953”, z którego uśmiechały się do mnie nie najmłodsze już nauczycielki uwiecznione na tle bujnej roślinności. Była wśród nich również ciocia Alona. Na fotografiach rozpoznałem parę znajomych twarzy, ale większość to byli nieznajomi — cioci koledzy; z pracy, sąsiedzi i ich dzieci.

Znacznie ciekawsze było przeglądanie od początku właściwego albumu. Mój pradziadek siedział w fotelu, prababcia stała obok z ręką wspartą na jego ramieniu. Pradziadek miał na sobie studencki tużurek i wyglądał tak, że zacząłem podejrzewać, iż siedzi w królewskiej pozie nie z nadmiaru pychy, lecz dlatego, że jest malutki, szczuplutki i pod każdym innym względem ustępuje żonie. To przekonanie brało również początek w legendach rodzinnych. Teraz już wiedziałem, że na następnej stronie ujrzę tę samą parę — pradziadka i prababcie — ale już jako ludzi leciwych, solidnych, w innym ubraniu, otoczonych dziećmi, a nawet wnukami, wśród których stała ciocia Alona oznaczona białym krzyżykiem. Sama kiedyś postawiła ten krzyżyk, aby nie pomylić się z innymi przedstawicielami tego samego pokolenia rodziny Tichonowów. Dalej były zdjęcia mojej mamy i cioci Alony — spódnice do kostek i sznurowane trzewiczki. Były bardzo do siebie podobne i czymś najwyraźniej zachwycone. Ciekawe, w jaki sposób fotografowi udało się wzbudzić w nich zachwyt? Te zdjęcia pochodziły sprzed rewolucji.

— Kto to jest, bo zapomniałem... Ciocia Alona odłożyła „Annę Kareninę”, wstała z kanapy i pochyliła się nade mną.

— Mój narzeczony — powiedziała. — Naturalnie nie znasz go. Po rewolucji mieszkał w Wołodzie, został tam jakąś ważną figurą. A wówczas, w szesnastym roku, uchodził za mojego narzeczonego. W tej chwili nie wiem już dlaczego. Pamiętam tylko, że bardzo mnie to peszyło. Tych tutaj też nie znasz. To lekarze z naszego szpitala powiatowego przed wyruszeniem na front pociągami sanitarnym. Drugi z prawej stoi mój wujek Siemion. Powiadają ludzie, że był znakomitym lekarzem, miał złote ręce. Wśród takich właśnie powiatowych lekarzy, muszę ci powiedzieć, zdarzali się cudowni ludzie. Mojego wujka znał sam Czechów z czasów, kiedy wspólnie zwalczali epidemię cholery.

— A co się potem z nim stało?

— Zginął w dziewiętnastym roku.

Wujek miał surowy wyraz twarzy, czapkę nisko nasuniętą na czoło, a szynel leżał na nim tak źle, że było oczywiste, iż z magazynu pobrał pierwszy z brzegu.

— A gdzie jego narzeczona? — ciągnęła ciocia Alona. — Miała na imię bodajże Masza i wspaniałe zielonkawe oczy. Opowiadano, że po śmierci Siemiona przez dwa dni była jak skamieniała. A potem znikła i nikt odtąd jej nie widział.

— Może gdzieś wyjechała?

— Nie. Wiem, że zginęła. Ona bez niego nie mogła żyć. — Ciocia Alona kartkowała album. — Aha, jest tutaj.

Nie wiadomo czemu narzeczona wujka Siemiona sfotografowała się oddzielnie.

Pożółkłe ze starości zdjęcie było naklejone na karton, na którym u dołu wytłoczono adres i nazwisko fotografa. Masza miała na sobie ciemną suknię z wysokim stojącym kołnierzykiem, czepek z czerwonym krzyżem i takąż opaskę na rękę.

Znałem ją.

Znałem nie tylko dlatego, że widziałem dwadzieścia lat temu w tym albumie, a może nawet słyszałem już coś o jej losach. Nie, widziałem ją wczoraj na targu. To znaczy, że nie zginęła... Co za brednie! Kobieta na zdjęciu nie uśmiechała się. Patrzyła poważnym wzrokiem — ludzie na starych fotografiach są zawsze poważni, gdyż w owych czasach fotografia wymagała długiego naświetlania i uśmiech nie utrzymywał się na twarzy. Wybierali się do fotografa w Wołogdzie wszyscy razem. Zaczynał się rok 1917. Masza spóźniła się i przybiegła, kiedy fotograf zabierał już kasety. A doktor Tichonow, niemłody, brzydki, mądry, złote ręce, namówił siostrę Marię do sfotografowania się oddzielnie. Dla niego. Jedno zdjęcie wziął ze sobą, drugie zostawił w domu. I nic po tych ludziach nie zostało, jeśli nie liczyć strzępka ich życia utrwalonego w pamięci cioci Alony, a teraz również i w mojej pamięci. Tyle, że po wielu latach Masza ponownie przyszła na świat w tych okolicach.

Ciocia Alona w sąsiednim pokoju długo przewracała się z boku na bok, mruczała coś pod nosem, szeleściła kartami książki. Gdzieś daleko ujadły psy i od czasu do czasu nasz Szarik włączał się swoim urywanym szczekaniem do ich odległego chóru. Uliczką przemknął motocykl bez tłumika i nie zdążył jeszcze ucichnąć łoskot jego motoru, gdy motocyklista zawrócił i znowu przejechał pod oknami widocznie po to, abym mógł nacieszyć się znakomitą pracą jego maszyny. „Bazyli — dobiegł z sąsiedniego podwórka wysoki kobiecy głos — jeśli nie zdobędziesz dziecku raketki do badmintonu, to w ogóle nie wiem, do czego ty się możesz nadawać”. Popatrzyłem na zegarek. Za dwadzieścia pierwsza. Najlepsza pora na dyskusje o badmintonie.

...Liście jabłoni rosnącej pod oknem były czarne, lecz niejednakowo czarne. Różne nasycenie czerni stwarzało pozory głębi obrazu, tym bardziej że zewnętrzne liście przepuszczały odrobinę gwiazdnego blasku. Na ciemnoszarym, jedwabistym niebie północnego lata gwiazdy wciąż nie mogły się rozpalić i drgające liście gasiły ich nikły blask. Jedna gwiazda zdołała jednak przebić listowie swym promieniem i nabierając siły dotarła po jego ścieżce do samego okna. Lekki blask wsączył się do pokoju, gęstniejąc pod sufitem, migocąc, jakby gwieździe było ciasno. Należało właściwie wstać i sprawdzić, co się dzieje, ale ciało odmawiało jakiegokolwiek wysiłku. Łóżko zaczęło się z wolna kołysać, jak to bywa we śnie, ale wiedziałem, że nie śpię i nawet słyszę, jak Bazyli usprawiedliwia się przed żoną, zwalając winę na kogoś, kto obiecał, ale nie dotrzymał. Kobieta z rynku weszła do pokoju, przy czym udało jej się nie potrącić zasłonki w oknie, nie skrzypnąć drzwiami. Była bardzo dziwnie ubrana. Jasny, długi worek, gdzieśgdzie pocerowany, z wycięciami na głowę i ręce, sięgał jej do kolan. Nogi były bosa i brudne. Kobieta przyłożyła palec do ust i skinęła w stronę pokoiku cioci Alony. Nie chciała jej widocznie budzić. Kobieta miała na imię Lusz. To było dziwne imię, bardzo łatwe do wyszeptania. Wydało mi się jakby puszyste.

...Nie chciałem zanurzać się śladem Lusz w czeluści jaskini, gdyż w jej ciemności kryło się coś strasznego, niebezpiecznego, nawet bardziej strasznego i niebezpiecznego dla Lusz niż dla mnie, to coś bowiem mogło ją zatrzymać na zawsze. Lusz wyciągnęła długą, szczupłą rękę i mocno ujęła mój przegub silnymi palcami. Trzeba było się spieszyć, a nie myśleć o niebezpieczeństwie.

Zgubiłem Lusz w korytarzu oświetlonym mętnymi pochodniami, które paliły się tam już tak długo, że strop na dwa palce pokryty był czarną sadzą. Nie mogłem jednak wejść do sali, gdzie było znacznie więcej światła, gdyż wówczas nie spełniłbym obietnicy...

— Dlaczego nie śpisz? — zapytała ciocia Alona zza ściany. — Zgaś światło.

Byłem jej wdzięczny za wyprowadzenie mnie z jaskini, ale lęk o Lusz pozostał i odpowiadając cioci Alonie: „już gaszę”, rozumiałem doskonale, że wprawdzie wizyta kobiety przywidziała mi się, ale odnalazłbym Lusz i spróbował wyprowadzić ją z jaskini, gdyby ciocia mi nie przeszkodziła.

Jeszcze parę razy tej nocy trafiałem do podziemia i wciąż od nowa szedłem korytarzem, zatrzymując się przed oświetloną salą i przeklinając siebie za to, że nie mogę przekroczyć kręgu światła. Lusz nie spotkałem. Obudziłem się rozbity i przepełniony irracjonalnym lekiem o kobietę, która znalazła się tam, skąd nikt jeszcze nie wyszedł.

— Jak ci się spało? — ciocia Alona weszła do pokoju i zaczęła podlewać pelargonie stojącą na parapecie. — Miałeś dobre sny?

Dla cioci Alony sny równały się niemal wyprawie do kina. Ja natomiast śnię rzadko i natychmiast wszystko zapominam. Zeskoczyłem z kanapki, która jęknęła wszystkimi sprężynami.

— Pójdiesz na grzyby?

— Nie, powłóczę się po mieście.

— Tylko nie kupuj jajek — roześmiała się ciocia Alona. — Jeszcze wczorajszych nie dojadłeś.

W godzinę później byłem już na targu. Minąłem rząd baniek z mlekiem, garnków z twarogiem i miodem, miednic z agrestem i porzeczkami. Znajomej kobiety nie było, bo nie mogło być.

Następnego ranka — żeby się nie zmarnowały — ciocia Alona ugotowała mi dwa jajka na miękko. Około południa na plaży za miejskim parkiem poczułem raczej niż usłyszałem brzęczenie w głowie i zobaczyłem, jak po niebie wśród chmur płynie wyspa. Patrzyłem na nią jednak nie z dołu, jakby należało, lecz z góry. Patrzyłem na niedbale zżęte pole, na stojące kręgiem lepianki otoczone wysoką, pochyloną gdzieś palisadą. Lusz wybiegła z chatynki pod uschnięte drzewo, na którym wisiał człowiek, i zaczęła kiwać ręką, abym jak najszybciej zszedł z góry. Nie mogłem jednak zejść, ponieważ byłem w dole, na plaży, a wyspa leciała wśród chmur. Tuż obok dzieciaki grały w siatkówkę pasiastą dziecięcą piłką, a przy kiosku z lemoniadą i lodami ktoś zapewniał sprzedawczynię, że na pewno zwróci butelkę. Patrzyłem z góry na oddalającą się wyspę, gdzie zupełnie już maleńka figurka Lusz wybiegła na pole, a ci, którzy na nią czyhali, wyskakiwali właśnie zza palisady. Potem zasnąłem i spałem chyba ze dwie godziny, bo gdy się obudziłem, słońce stało już w zenicie, spieczone plecy bolały, kiosk był zamknięty, siatkarze przepłynęli na przeciwległy brzeg i tam kopali swoją pasiastą piłkę. Mój zawód nauczył mnie wiązać przyczyny ze skutkami. W domu wyjąłem z kuchennej szafki pozostałe jaja, przełożyłem je do pudełka po butach i zaniósłem do swojego pokoju. Ustawiłem pudełko na szafie, aby kot się do niego nie dostał. Postanowiłem zabrać jaja do Moskwy i pokazać znajomemu biologowi, który robił doświadczenia z meksykańskimi narkotykami. Inna rzecz, że to było dość dawno, jakieś pięć lat temu, i laboratorium mogło tymczasem zmienić temat.

Ale mój pomysł przestał być aktualny już następnego dnia. Obudził mnie głośny hałas. Kot spadł z szafy wraz z pudełkiem. Na podłodze, połyskując w ukośnych promieniach porannego słońca, rozlewała się kałuża rozchlapanych białek i żółtek przemieszanych ze skorupami. Kot,



zupełnie nie speszony upadkiem, skradał się w moim kierunku. Przewiesiłem głowę przez krawędź łóżka i zobaczyłem, że w tę samą stronę, z oczywistym zamiarem ukrycia się w ciemnym kącie, drepcę puszyste, bardzo różowe pisklę, większe od kurczaka, z długim cienkim dziobkiem i pomarańczowymi, szcudłowatymi nogami.

— Stój! — krzyknąłem na kota, ale spóźniłem się.

Kot schwytał pisklę i natychmiast odskoczył od wyciągniętej ręki, aby samemu nie dostać się do mojej niewoli. Na parapecie zatrzymał się, bezczelnie błysnął dzikimi zielonymi oczami i zniknął. Zanim wygrzebałem się z pościeli i podbiegłem do okna, po kocie nie było nawet śladu. Gapiłem się tępo na rozbite jaja i na leżące obok pudełko po butach. Najprawdopodobniej kot usłyszał, jak pisklę zaczyna wykluwać się ze skorupy, zainteresował się i wskoczył na szafę.

— Co tam się stało? — zapytała ciocia Alona zza ściany. — Z kim wojujesz?

— Twój kot wszystko zaprzepaścił. Ciocia Alona nie uwierzyła w niezwyklego kurczaka. Powiedziała, że mi się przysniło, i dodała: „Nie trzeba było wynosić jajek z kuchni. Tam nic by się im nie stało”.

Nigdy do tej pory nie zdarzyło mi się widywać różowych kurczaków wykluwających się z jaj i wywołujących sny na jawie. W dodatku istniała jeszcze piękna nieznajoma, której obecność potęgowała zagadkowość całej tej historii.

Postanowiłem możliwie jak najdokładniej przeszukać ogródek, który tak żałośnie skurczył się od czasów mojego dzieciństwa. Wówczas wydawał mi się ogromny i dziewiczy niczym dżungla, w której można zabłądzić. A okazało się, że rosną w nim — i to w dużej ciasnocie — zaledwie dwa krzaki bzu, krzywa jabłoń, dająca cioci Alonie kwaśne dziczki na marmoladę, i parę krzewów jaśminu pod parkanem. Natomiast bliżej domu, gdzie docierało światło słoneczne, bujnie rozrosły się kwiaty i trawy — floksy, złocenie, lilie i wiele jeszcze innych na poły zdiczałych rezydentów dawnych klombów lub rabatek, niekiedy przypadkowych przybyszów z sąsiednich sadów i ogrodów — z gęstej murawy i zarośli piołunu strzelały ku górze kędzierzawe czapki marchwi, parasolowate kwiaty kopru i nawet samotny, kwitnący krzak ziemniaka. Na jego liściu znalazłem strzępek różowego puchu.

Przyniosłem puch do domu, włożyłem go do koperty i zakleiłem. Jeżeli nauka zna takie ptaki, odrobina różowego puchu powinna wystarczyć do identyfikacji.

— Na targ? — zapytała domyślnie ciocia Alona widząc, że czyszczę buty. — Przecież tam jest mnóstwo kurzu.

— Wybieram się na spacer — odparłem.

Tę kobietę spotkałem dopiero na piąty dzień. Przez cały ten czas chodziłem na targ jak do pracy. I to nie raz, ale trzy, cztery, pięć razy dziennie. Handlarki już mnie poznawały, a ja również niemal wszystkie znałem z widzenia. Na piąty dzień zobaczyłem ją i natychmiast poznałem, chociaż tym razem nie miała chustki i jej twarz, obramowana ciężkimi, jasnymi włosami, dziwnie się zmieniła, złagodniała i już nie kojarzyła się z osadą staroobrzędowców ani z okrutnym i chciwym mężem. Od rzeki wiał ostry, chłodny wiatr, narzuciła więc na ramiona czarną chustkę w róże. Oczy miała zielone i ostre brwi na wypukłym czole. Miała też pełne, ale niezbyt czerwone wargi i ciężkawy podbródek, nieco psujący owal twarzy.

Nie od razu mnie spostrzegła, gdyż akurat obsługiwała klientów. Tym razem leżał przed nią stos wielkich, czerwonych jabłek, a do jej straganu ustawiała się długa kolejka.

Przywykłem już do tego, że na próżno wypatrywałem jej na targu, i dlatego w pierwszej chwili jej obecność uznałem za dalszy ciąg sennych majaków, w których nosiła imię Lusz.

Aby nieco się uspokoić, odszedłem w cień i stamtąd obserwowałem, jak sprzedaje jabłka. Patrzyłem, jak stawia odważniki na szalce i czasami zbliża je do oczu, jakby była krótkowzroczna lub też nie miała nawyku posługiwania się ciężarkami; jak zawsze dodaje co najmniej jedno jabłko, aby szala z owocami wyraźnie przeważała; jak chowa pieniądze do płaskiej, wytartej portmonetki i jak wydobywa z niej resztę, starannie ją przeliczając. Kiedy stos jabłek na straganie zmalał, ja również zająłem miejsce w kolejce. Przede mną stały trzy osoby. Kobieta nadal nie widziała mnie.

— Poproszę o kilogram — powiedziałem, kiedy przyszła moja kolej. Kobieta nie uniosła nawet oczu. — Dzień dobry — dodałem.

— Mało bierzesz, młody człowieku — powiedziała staruszka, odchodząca akurat od straganu z pełną torbą. — Weź więcej, żona ci podziękuje.

— Nie mam żony — odparłem.

Kobieta podniosła wzrok. Nareszcie zechciała mnie poznać!

— Pamięta mnie pani? — zapytałem;

— Dlaczego mam nie pamiętać? Pamiętam? Szybko rzuciła na szalkę trzy jabłka, które ważyły prawie półtora kilograma.

— Rubel — powiedziała.

— Bardzo dziękuję, ale tu gest znacznie więcej niż kilogram.

Bez pośpiechu grzebałem w kieszeniach szukając pieniędzy.

— A jajek dzisiaj nie ma?

— Jajek nie ma — powiedziała kobieta. — Miałam je wtedy przez przypadek, bo normalnie jajek nie sprzedaję.

— A daleko pani mieszka?

— Młody człowieku — powiedział mężczyzna w uniformie urzędnika powiatowego, składającym się z płóciennej czapki i zbyt ciepłego jak na tę pogodę luźnego garnituru. — Załatw sprawę i żegnaj, kończy mi się przerwa obiadowa.

— Mieszkam daleko stąd — powiedziała kobieta.

Mężczyzna odsunął mnie łokciem.

— Proszę trzy kilo, tylko jak największych. Można pomyśleć, że pani nie zależy na kliencie.

— Długo tu pani jeszcze będzie? — zapytałem.

— Zaraz panu zapakuję — powiedziała kobieta — bo tak niewygodnie będzie nieść.

— Najpierw proszę mnie obsłużyć — powiedział mężczyzna w płóciennej czapce.

— Proszę go obsłużyć — powiedziałem. — Moja przerwa obiadowa dopiero się zaczyna.

Kiedy mężczyzna odszedł, kobieta wzięła ode mnie jabłko, położyła je na straganie i zaczęła zwijać torbę z gazety.

— A jabłka też są niezwykle? — zapytałem.

— Dlaczego niezwykle? — Bo jaja nie były kurze.

— Ależ co pan mówi!... Jeśli nie smakowały, mogę zwrócić pieniądze.

Sięgnęła po portmonetkę.

— Wcale nie mam pretensji, tylko po prostu jestem ciekaw, od jakiego ptaka pochodzą...

— Kupuje pan? — rozległ się głos z tyłu. — Czy tylko tak sobie pan stoi?

Odszedłem, stanąłem w cieniu, wyjąłem z torebki jabłko, wytarłem je chusteczką i ugryzłem. Kiedy obracałem owoc w rękę, napotkałem jej wzrok. Uśmiechnąłem się przyjaźnie, dając jej w ten sposób do zrozumienia, że nie jestem groźny. Ona również się uśmiechnęła, ale był to uśmiech tak nieśmiały, że aż żaloszny. Zrozumiałem, że lepiej byłoby odejść, oszczędzić jej przykrości, ale nie potrafiłem oderwać nóg od ziemi. Zwyczajnie bałem się, że już jej nigdy nie zobaczę.

Ruchy kobiety utraciły swobodę, stały się powolne i niezręczne. Zdawała się umyślnie odwlekać moment, kiedy odejdzie ostatni klient i ja znów do niej podejść.

Jabłko było soczyste i słodkie. Takie u nas nie rosną, a sadownicy amatorzy pojawiają się na targu ze swymi owocami najwcześniej w sierpniu. Wydało mi się, że jabłko pachnie ananasm. Wyciągnąłem z ogryzka pestkę. Była to jedyna pestka w tym jabłku. Długa, ostra, kanciasta. To nie było jabłko.

Zobaczyłem, że kobieta wysypała z kosza ostatnie owoce, przeliczyła pieniądze i zamknęła portmonetkę. Wówczas zbliżyłem się do niej i powiedziałem półgłosem:

— Lusz.

Kobieta drgnęła, portmonetka upadła na stragan. Chciała ją podnieść, ale ręka zawisła w powietrzu, znieruchomiała, zamarła, jakby w oczekiwaniu ciosu.

— Przepraszam — powiedziałem — przepraszam. Nie chciałem pani przestraszyć.

— Nazywam się Maria Pawłowna. — Jej głos był senny i głuchy, a słowa wyuczone na pamięć, jakby już od dawna czekała na tę chwilę i w lęku przed jej nieubłaganym nadejściem nieustannie przepowiadała odpowiedź. — Nazywam się Maria Pawłowna.

— Święta prawda — rozległ się głos z tyłu. Był cichy i pełen wściekłości. — Maria Pawłowna. A co, interesuje to pana?...

Niewysoki, leciwy już mężczyzna z ciemną ogorzałą twarzą, w wypłowiałej, zniszczonej czapce leśnika odsunął mnie i nakrył dłońmi palce Marii Pawłowny.

— Spokojnie, Masza, spokojnie. Ludzie patrzą. — Wpijał się we mnie tak wściekłym wzrokiem białawych oczu, że pomyślałem: „Gdyby nie było dokoła ludzi, na pewno by mnie uderzył”.

— Przepraszam — powiedziałem. — Nie sądziłem...

— On przyszedł po mnie? — zapytała Masza prostując się, lecz nie wypuszczając ręki leśnika.

— Co za pomysły! Przecież słyszysz, że człowiek przeprasza... Zaraz pojedziemy do domu. Nikt ci nie zrobi krzywdy.

— No to już pójdę — powiedziałem.

— Idź.

Nie zdążyłem jednak odejść daleko, gdy leśnik mnie dopędził.

— Jak ją nazwałś? — zapytał.

— Lusz. Jakoś tak przypadkiem wyszło.

— Przypadkiem, powiadasz?

— Przyśniło się.

Mówiłem mu szczerą prawdę i nie wiedziałem, czym wobec tych ludzi zawiniłem, ale zawiniłem na pewno i to zmuszało mnie do potulnego odpowiadania na pytania leśnika.

— Imię się przyśniło?

— Widziałem Marię Pawłównę już wcześniej. Kilka dni temu.

— Gdzie?

— Tutaj, na bazarze.

Leśnik rozmawiał ze mną, a jednocześnie zerkał w stronę straganu, gdzie kobieta trzęsącymi się rękoma wiązała puste koszyki, zbierała papier, układała odważniki na szalce wagi.

— I co dalej?

— Byłem tu kilka dni temu i kupiłem dziesięć jajek.

— Siergieju Iwanowiczu! — zawołała kobieta — trzeba zdać wagę.

— Zaraz pomogę.

Kto to jest? Mąż? Wątpliwe, on przecież jest co najmniej dwa, a może trzy razy od niej starszy. Ale z pewnością nie ojciec. W tych okolicach dzieci nie zwracają się do ojca tak oficjalnie.

Leśnik najwyraźniej nie chciał mnie tracić z oczu.

— Trzymaj — powiedział, podając mi szalkę z odważnikami. Sam wziął wagę. Maria Pawłowna niosła puste koszyki. Starła się iść tak, aby między nami znajdował się Siergiej Iwanowicz.

— Masza — zapytał leśnik — sprzedawałaś jajka?

Nie odpowiedziała.

— Przecież ci zabroniłem. Zabroniłem.

— Chciałam kupić maszynkę do golenia. Taką ze sprężyną. Nie potrzebujecie?

— Idiotka — powiedział leśnik.

Zatrzymaliśmy się przed wejściem do kantoru.

— Wejdz — zwrócił się do mnie.

— Ja też — powiedziała Masza.

— Poczekasz. Nic ci się nie stanie. Pełno ludzi dokoła.

Masza jednak poszła z nami i kiedy zwracaliśmy wagę zaspanej dyżurnej, stała w milczeniu pod ścianą oklejoną plakatami, które przekonywały o szkodliwości much i brucelozoy.

— Oddam wam pieniądze — powiedziała Masza, kiedy wyszliśmy, i podała leśnikowi portmonetkę.

— Zostaw sobie — odparł Siergiej Iwanowicz. Stanęliśmy w cieniu za biurowym barakiem. Leśnik zerknął wyczekująco na mnie, zapraszając w ten sposób do kontynuowania opowieści.

— Jaja były niezwykle — powiedziałem. — Większe od kurzych i różowawe... Potem przyśnił mi się sen, a właściwie zacząłem majaczyć na jawie. I w tym półśnie zobaczyłem Marię Pawłówna, która tam miała na imię Lusz.

— Tak — powiedział leśnik.

Był strapiiony i zdenerwowany. Nienawiść, z jaką początkowo na mnie patrzył, teraz znikła. Byłem dla niego człowiekiem kłopotliwym, ale niegroźnym.

— Przed bramą stoi motocykl — powiedział leśnik do Maszy. — Pojedziemy? A może chcesz wstąpić do sklepu?

— Wybierałam się do apteki, ale lepiej będzie pójść innym razem.

— Jak chcesz. — Leśnik popatrzył na mnie. — A pan tu na urlopie? — zrobił się nagle niezwykle uprzejmy.

— Tak.

— Tak myślałem, bo jakoś dawniej nie spotykałem tu pana. Żegnam.

— Do widzenia.

Odeszli. Masza o pół kroku za nim. Garbiła się może dlatego, że krępowała się swego wzrostu. Na nogach miała bardzo porządne, drogie pantofle z trochę już startymi obcasami.

Zrozumiałem, że nigdy już ich nie zobaczę, i ruszyłem szybkim krokiem w kierunku wyjścia z bazaru. Dopędziłem ich tuż za bramą.

— Zaczekajcie — powiedziałem.

Leśnik odwrócił się, a potem gestem nakazał Maszy, żeby szła do motocykla.

— Sergieju Iwanowiczu, proszę mi tylko powiedzieć, co to za ptak. Przecież widziałem pisklę.

Masza przywiązywała puste koszyki do bagażnika.

— Pisklę?

— No tak, różowe, szczudłonogie, z długim dziobem.

— A diabli go wiedza. Może potworek się wykluł. Od tej, jak ją tam, radiacji... W ogóle to jajka są zwyczajne.

Leśnik już nie wydawał się silny ani groźny. Jakoś skurczył się, postarzał i chyba nawet zmałał.

— I jabłka też są zwyczajne?

— A po co niby mielibyśmy truć ludzi?

— Takie owoce tu nie rosną.

— Zwyczajne, dobre jabłka. Po prostu taki gatunek.

Ruszył w stronę motocykla. Masza już siedziała w przyczepie.

Z bramy bazaru wyszedł mężczyzna podobny do arbuza. W rękę niósł siatkę z dwoma arbuзами. Arbuzy były wczesne, przywiezione z południa przez młodego chłopaka o orientalnej urodzie, zamyślnego i roztargnionego, niczym wielki matematyk z winietki w czasopiśmie „Rozrywki umysłowe”. Sprzedawał te arbuzy na wagę złota i dlatego ludzie kupowali je niechętnie, chociaż mieli na nie wielką ochotę.

— Sergiej?! ryknął arbużopodobny grubas. — Kopę lat!

Leśnik skrzywił się na widok znajomego,

— Jak leci, jak polowanko? — grubas postawił siatkę na ziemi i arbuzy natychmiast potoczyły się jak żywe. Popędził za nimi. — Już od dawna się do was wybieramy — zawołał — ale człowiek ma tyle spraw na głowie...

Odszedłem. Z tyłu rozległ się warkot motocykla. Najwidoczniej leśnik nie miał ochoty na rozmowę. Motocykl wyprzedził mnie. Masza odwróciła się przytrzymując dłonią włosy. Uniosłem rękę pożegnalnym gestem.

Kiedy motocykl skrył się za zakrętem, zatrzymałem się. Miłośnik arbużów akurat przechodził ulicą. Dopadłem go przed wejściem do sklepu.

— Przepraszam — powiedziałem. — Pan, jak słyszałem, również jest myśliwym.

— Witam, cieszę się, bardzo się cieszę — grubas postawił siatkę na chodniku, a ja pomogłem mu złowić arbuzy, które znów zaczęły uciekać. Rozmawiając przytrzymywaliśmy nerwową siatkę nogami.

— Polowanie jest moją prawdziwą pasją — oświadczył grubas. — A nie polowałem już od dwóch lat. Wyobraża pan sobie? Pan przyjezdny?

— Na urlopie. Jeśli dobrze zrozumiałem, wybiera się pan... — Do Sergieja? Koniecznie muszę go odwiedzić! Czysta, piękna natura, ani żywej duszy na wiele kilometrów dokoła. Wspaniały człowiek, prawdziwy rosyjski charakter, rozumie pan? Tylko pije. Och, jak on pije! Ale to również cecha charakteru, rozumie pan? Samotność, tylko „on i pies...

— Wydawało mi się, że był z żoną...

— Czyżby? Nie zauważyłem. Pewnie kogoś podwoził. A jak on zna las, zwyczajnie zwierząt, ptaków!... Zna nawet botaniczne nazwy roślin. Nie uwierzyłby pan. Nigdzie się pan nie spieszy?

Ja również. To znaczy, kupimy coś i pójdziemy do mnie, zjemy razem obiad. Mam nadzieję, że pan nie odmówi...

Do wsi Sieliszcze dojechałem autobusem. Stamtąd jakąś przygodną ciężarówką do Lesnowki, a dalej pieszo polną dróżką, zarośniętą między koleinami bujną trawą, a nawet niskimi krzaczkami. Najwyraźniej rzadko nią jeżdżono. Dróżka wdrapywała się na pokryte sosnami wzgórki, gdzie spod suchego igliwia wyłaniały się widoczne z daleka kapelusze jędrnych borowików. Potem opadała między bagienka i w koleinach pokazywała się woda, a na poboczach rosła zielona trawa, upstrzona gdzieniegdzie czarnymi punkcikami jagód.

Wystarczyło zatrzymać się na moment, a już rozwścieczone komary rzucały się na odkryte przeguby rąk i spoconą szyję. Na wzgórkach dopędzały mnie ślepaki, które brzęczały nad głową, straszyły, ale nie kąsały.

Trudno powiedzieć, abym był zawołanym myśliwym. W każdym razie udało mi się wyżebrać od cioci Alony dubeltówkę jej nieboszczyka męża, znalazłem trochę nabojów i stary plecak, do którego wrzuciłem jakieś konserwy, koc, szczotkę do zębów. Ta maskarada nie była przeznaczona dla gajowego, lecz raczej miała wprowadzić w błąd ciocię Alonę, której powiedziałem, że umówiłem się na polowanie ze starym znajomym spotkanym przypadkowo na ulicy.

Trudno byłoby mi rozsądnie wytłumaczyć i jej, i komukolwiek innemu, i mnie samemu wreszcie, dlaczego przyczepiłem się do pulchniutkiego miłośnika arbuzów, poczciwego Wiktora Donatowicza, smakosza żyjącego marzeniami o polowaniach, podróżach i o innych bohaterskich przedsięwzięciach, które tak przyjemnie planować, że już nie warto realizować. Zjadłem u niego smaczny obiad, nadskakiwałem tak samo pulchniutkiej i dobrodusznej małżonce, wynudziłem się jak mops, ale zdobyłem adres gajowego. Czym wytłumaczyć moje postępowanie? Miłością od pierwszego wejrzenia? A może fascynacją tajemniczymi zjawiskami? Były przecież sny na jawie, różowe kurczęta, dziwne jabłka, przerażenie kobiety, która reagowała na niecodzienne imię Lusz, był gniew gajowego... Zwykłą ciekawością człowieka, który nie potrafi wypoczywać i dlatego wymyśla sobie zajęcia dające pozór działania? Może zawiniło tu przyzwyczajenie do szufladkowania albo może wreszcie ucieczka od własnych problemów wymagających rozwiązania i chęć odwleczenia tych rozwiązań? Żadna z tych przyczyn nie usprawiedliwiała ani nawet nie tłumaczyła mego głupiego postępowania, a jednocześnie wszystkie one razem wzięte skłoniły mnie do udania się na poszukiwanie śpiącej królowej, kwiatu paproci i diabli jeszcze wiedzą czego. Na swoją obronę mogę powiedzieć tylko to, że ruszałem jednak z ciężkim sercem, gdyż byłem gościem nie oczekiwanym i, co najważniejsze, nie chcianym. Gościem niepotrzebnym, co więcej, sprawiającym swą obecnością przykrość. Gdybym więc był nieco przywoitszy albo przynajmniej silniejszy, postarałbym się zapomnieć o wszystkim, ponieważ sam uważam natręctwo za jedną z najgorszych cech ludzkiej natury.

...Dom gajowego stał na brzegu małego jeziora, w miejscu gdzie las cofnął się znad wody. Do chaty przytykała szopa i niewielki ogródek, otoczony chruścianym płotem. Dom był posiwiały ze starości, ale krzepki, jak te borowiki, które widziałem po drodze. Przy brzegu kołysała się łódka przywiązana łańcuchem. Porywy wiatru chwiały bujną trzcina. Wiatr był ciepły, wilgotny, „komarowy”. Zbierało się na deszcz i powietrze lekko pachniało grzybami i wilgotnymi liśćmi.

Zatrzymałem się na skraju lasu. Masza była w ogródku. Pełna grządk, ale akurat myśliwym. W każdym razie udało mi się wyżebrać od cioci Alony dubeltówkę jej nieboszczyka męża, znalazłem trochę nabojów i stary plecak, do którego wrzuciłem jakieś konserwy, koc, szczotkę do zębów. Ta maskarada nie była przeznaczona dla gajowego, lecz raczej miała wprowadzić w błąd ciocię

Alone, której powiedziałem, że umówiłem się na polowanie ze starym znajomym spotkanym przypadkowo na ulicy.

Trudno byłoby mi rozsądnie wytłumaczyć i jej, i komukolwiek innemu, i mnie samemu wreszcie, dlaczego przyczepiłem się do pulchniutkiego miłośnika arbuźów, poczciwego Wiktora Donatowicza, smakosza żyjącego marzeniami o polowaniach, podróżach i o innych bohaterskich przedsięwzięciach, które tak przyjemnie planować, że już nie warto realizować. Zjadłem u niego smaczny obiad, nadskakiwałem tak samo pulchniutkiej i dobrodusznej małżonce, wynudziłem się jak mops, ale zdobyłem adres gajowego. Czym wytłumaczyć moje postępowanie? Miłością od pierwszego wejrzenia? A może fascynacją tajemniczymi zjawiskami? Były przecież sny na jawie, różowe kurczęta, dziwne jabłka, przerażenie kobiety, która reagowała na niecodzienne imię Lusz, był gniew gajowego... Zwykłą ciekawością człowieka, który nie potrafi wypoczywać i dlatego wymyśla sobie zajęcia dające pozór działania? Może zawiniło tu przyzwyczajenie do szufladkowania albo w tym momencie, kiedy ją spostrzegłem, wyprostowała się i popatrzyła na jezioro. Była sama, Siergiej Iwanowicz poszedł chyba do lasu. Zrozumiałem, że będę tak sterczał choćby do wieczora, ale nie podejść do niej. Przecież nawet na bazarze, w tłumie ludzi, moje nieostrożne słowa wywołały jej zmieszanie. Ukryłem się za pnem starej sosny. Masza skończyła pielenie, podniosła z ziemi motykę i schowała ją do szopy. Skrzypnięcie drzwi rozległo się tak wyraźnie, jakbym stał tuż obok niej. Po wyjściu z szopy Masza zerknęła w moją stronę, ale mnie nie dostrzegła. Potem weszła do domu. Zaczął kropić deszcz. Był drobny, lekki, przenikliwy. Odwróciłem się na pięcie i ruszyłem w stronę Sieliszcza. Mówiłem już, że nie jestem myśliwym, a tym bardziej detektywem.

Las teraz wyglądał zupełnie inaczej. Skurczył się, utracił głębię i barwy, smętnie i pokornie przeczekiwał wieczorną niepogodę. Nad drogą wisiała tylko drobniutka mgiełka, ale na liściach woda zbierała się w grube, ciężkie krople, które spadając dźwięcznie pluskały w kałuże rozlane w koleinach. Dotrę do szosy już w całkowitej ciemności i nie wiadomo, czy uda mi się złapać jakiś samochód. Dobrze mi tak.

Gdzieś daleko zaterkotał motocykl. Zanim zdążyłem zorientować się, kto to może jechać, aby ukryć się w lesie, Siergiej Iwanowicz gwałtownie zahamował tuż przede mną.

— Dzień dobry — powiedział, odrzucając z czapki kaptur peleryny. Nie wyglądał na zdziwionego. — Dokąd idziesz?

— Szedłem do pana — powiedziałem.

— Do mnie w inną stronę.

— Wiem. Doszedłem do skraju lasu, zobaczyłem dom, Marię Pawłównę i ruszyłem z powrotem.

Silne dłonie gajowego leżały nieruchomo na kierownicy. Czapka była nisko nasunięta na czoło.

— I dlaczegoż to zawróciłeś?

— Zrobiło mi się wstyd.

— Nie rozumiem.

— Zdobyłem pański adres, wziąłem dubeltówkę i postanowiłem przyjechać tu, zapolować.

— Zwyczajnie zapolować?

— Właściwie porozmawiać.

— Rozmyśliłeś się?

— Tak. Rozmyśliłem się, kiedy zobaczyłem, że Maria Pawłowna jest sama.

Gajowy wyjął z wewnętrznej kieszeni mundurowej kurtki pogiętą blaszaną papierośnicę, otworzył ją i wziął papierosa. Po chwili namysłu wyciągnął papierośnicę w moim kierunku. Zapaliliśmy, osłaniając od deszczu jaskrawy w nadchodzącym półmroku płomyk zapalniczki. W lesie nerwowo brzęczały komary, listowie nabrało koloru wody w zarośniętej rzęsą sadzawce.



— Siadaj. Pojedziesz do mnie — powiedział gajowy, zdejmując brezent z przyczepy motocykla. Podrzuciłbym cię do Sieliszcza, ale wieczorem nie lubię Maszy zostawiać samej.

— Nie trzeba — powiedziałem. — Jakoś dojdę. Sam sobie jestem winien.

Gajowy uśmiechnął się krzywo.

— Siadaj.

Przyczepa wysoko podskakiwała na nierównościach drogi i zapadała się w koleiny. Właściciel motocykla milczał, ściskając zębami munsztuk zgasłego papierosa.

Masza usłyszała warkot silnika i wyszła otworzyć bramę. Gajowy powiedział:

— Przywiozłem gościa.

— Dzień dobry! — wykrzyknąłem, gramoląc się z przyczepy. Dubeltówka bardzo mi w tym przeszkadzała.

— Dobry wieczór — Masza patrzyła na Siergieja Iwanowicza.

— Powiedziałem, że mamy gościa. Pokaż, gdzie może się umyć. Nakryj do stołu. — Gajowy mówił sucho, wybierając zwyczajne, powszednie słowa, jakby chciał w ten sposób dać jej do zrozumienia, że nie różni się niczym od przypadkowych wędrowców, jacy tu czasem zaglądają. — Spotkałem w lesie myśliwego i podwiozłem go. Gdzie on po ciemku będzie się włókł do Sieliszcza?

— To nie myśliwy — powiedziała Masza. — Po co on tu przyjechał?

— No dobra, nie myśliwy — zgodził się. — Wprowadzę motocykl do szopy, bo nocą może się porządnie rozpadać.

— Nie będę przeszkadzał — zwróciłem się do Maszy. — Jutro z samego rana odjadę.

— Tak właśnie będzie — powiedział gajowy.

Masza uciekła do domu.

— Nie przejmuj się — mruknął Siergiej Iwanowicz, zamykając na skobel wrota szopy. — Ona jest trochę dzika, ale to dobra kobieta. Chodźmy umyć ręce.

W domu paliło się światło.

— Mam w plecaku wódkę — powiedziałem.

— Donatycz kazał ci wziąć?

— Tak — przyznałem.

— A ja już prawie dwa lata nie piję i wcale mnie nie ciągnie.

— Przepraszam.

— Po co przepraszać? Przecież w gości jechałeś. Nie bój się, dla towarzystwa mogę wypić. Masza nie będzie miała za złe. Jak cię wołają?

— Mikołaj.

Umywalka była w sieni. Obok niej na półce stała już zapalona lampa naftowa.

— Nie mamy elektryczności powiedział Siergiej Iwanowicz. — Obiecali przeciągnąć linię z Lesnowki, bo w sianokosy będzie tu mieszkała brygada kolchozowa. Może już w przyszłym roku doprowadzą prąd.

— Nie szkodzi — odparłem. — I tak jest dobrze.

W pokoju stał nakryty stół: pewnie gajowy stale wracał do domu o jednakowej porze. Syczał samowar, a w jego wypucowanych bokach odbijały się płomienie dwóch starych lamp naftowych pochodzących z czasów, kiedy jeszcze starano się je przyozdabiać. Parowały kartofle, obok nich stała śmietana, ogórki. Było przytulnie i spokojnie, tym przytulniej, że na dworze padał deszcz, stukający o szyby i ściekający po nich krzaczastymi strumykami.

— Przywiozłem te krzesła z miasta — powiedział leśnik. — Wyściełane.

— Ładnie tu u was.

— To wszystko zasługa Maszy. Nawet tapety nakleiła. Gdyby przyjechał tu Donatycz albo któryś ze starych myśliwych, za nic by nie uwierzył. Zresztą teraz ich nie zapraszam.

Na etażerze między oknami stało radio tranzystorowe. Za uchyloną zasłonką widać było łóżko z piramidką poduszek. Do ściany, pod portretem Gagarina, była przybita półka z książkami.

— Wyjąć wódkę? — zapytałem.

— Wyciągaj.

— Sergieju Iwanowiczu — powiedziała ostrzegawczo Masza.

— Nie bój się. Przecież mnie znasz. Jak tam twój pieróg, udał się?

— Spróbujcie.

Może ja naprawdę przyjechałem tu w gości? Po prostu w gości.

Masza postawiła na stole brytfankę z pierogiem pachnącym rybą i dwie grube szklanki. Potem usiadła i podparła brodę rękami. Poczulem się straszliwie głodny.

— Za nasze spotkanie — powiedziałem. — Za to, abyśmy zostali przyjaciółmi.

Nie powinienem tego mówić.

— Nie spiesz się — powiedział leśnik. — Jeszcze nawet nie jesteśmy znajomymi.

Upił wódkę ze szklanki, jakby to była woda, i odstawił ją.

— Odzwyczailem się — powiedział. — Ale ty pij, nie krępuj się.

— Prawdę mówiąc to i ja nie piję.

— Ładne rzeczy, zeszło się dwóch pijaków! — gajowy roześmiał się, ukazując równe, mocne zęby. Twarz mu złagodniała. Tam, w mieście, wydawał się starszy, surowszy i bardziej oschły.

Masza uśmiechnęła się. Mnie też przypadła w udziale cząsteczka jej uśmiechu.

Jedliśmy wolno wspaniałą rybą z pierogami, którego nie potrafiłaby tak przyrządzić nawet ciocia Alona. Rozmawialiśmy o pogodzie, lesie i drodze, jakbyśmy się wcześniej umówili omijać inne tematy. Dopiero przy herbacie Sergiej Iwanowicz zapytał:

— Ty skąd jesteś?

— Z Moskwy. Spędzam tu urlop u ciotki.

— Dlatego jesteś taki ciekawy czy też może masz taki zawód?

Pomyślałem nagle, że chyba akurat teraz w Moskwie, w instytucie, tacy sami jak ja rozsądni i pochłonięci swoją pracą ludzie włączyli ekspres do kawy, który starannie ukrywają przed surowym strażakiem, i zazdroszczą mi urlopu, rozmawiając o polowaniu, na które powinni wybrać się za jakieś dwa tygodnie. Będzie to polowanie na zwierza imieniem WEP, co znaczy wolna energia powierzchniowa. Jest to zwierz potężny, którego można napotkać wszędzie, a zwłaszcza na styku różnych ciał. Jego wszystkim znana, ale jeszcze w małym tylko stopniu zbadana i zupełnie nie wykorzystana siła zmusza krople rosy do zwijania się w kulki i rodzi tęczę. Jednak mało kto wie, że WEP jest wszechobecna i gigantyczna: zasoby energii powierzchniowej wszechocianu wynoszą 64 miliardy kilowatogodzin. Oto na jakiego zwierza polujemy ze zmiennym szczęściem. Tropimy go nie po to, żeby zabić, lecz po to, aby zmierzyć i wykorzystać.

— Pracuję w instytucie naukowym — odpowiedziałem.

Ale czy naprawdę pracuję?... Konflikt był w zasadzie niepotrzebny, ale nabrzmiewał od dawna. Landa powiedział, że będę musiał pojechać do Chorogu. Inaczej wszystko się zawali, a poza mną rzekomo nie ma kogo wysłać. A dwa miesiące temu, kiedy wymusiłem na Andrejewie pół roku na myślenie, na prawdziwą pracę, Landa tego nie wiedział? Można przecież uganiać się za żurawiami na niebie\* choćby do samej śmierci, ale prosta wyliczanka faktów jest dobra wyłącznie w książce telefonicznej. Zasłużyłem sobie, ciężko zapracowałem na prawo zajęcia się nauką. Nauką! I

---

\* Przysłowie rosyjskie: „lepsza sikorka w ręku niż żuraw na niebie” jest odpowiednikiem polskiego przysłowia: „lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu”.

powiedziałem o tym Landzie wprost, bo zbrzydły mi do reszty niedomówienia, za którymi kryła się zwyczajna zawiść. Powiedziałem mu to, choć rozwodził się o konieczności, obowiązku, o krzyżu, który wszyscy niesiemy; o tym, że każdy z nas powinien uprawiać nie tylko własne poletko... A mnie znudziły się już cudze poletka! Jednym słowem po tej rozmowie stało się jasne, że do Chorogu nie pojedę i w instytucie nie zostanę...

— A ja nie mam szkoły. Jakoś tak wyszło. Może zabrakło zdolności. Gdyby były, coś bym skończył.

Pił herbatę ze spodka, przegryzając cukrem. Kończyliśmy już po trzeciej szklance, a Masza nie dopiła nawet pierwszej. Ogarnął mnie leniwy nastrój, zapragnąłem powiedzieć coś miłego tym ludziom, siedzieć tak i czekać, aż Masza się uśmiechnie. Za oknem zrobiło się zupełnie ciemno, deszcz lał teraz jak z cebra i jego szum przypominał łoskot morza.

— Dawno byłeś na polowaniu? — zapytał Siergiej Iwanowicz.

— Pierwszy raz się wybrałem.

— Właśnie widzę. Broń nie czyszczona od dziesięciu lat. Gdybyś wystrzelił, rozleciałaby się na kawałki.

— Nawet jej nie nabijałem.

— Napijesz się jeszcze?

— Dziękuję, wypilem już trzy szklanki.

— Mówię o wódce.

— Nie, jakoś nie mam ochoty.

— A ja dawniej piłem jak smok. Przestałem dzięki Maszy.

— Sami rzuciliście — powiedziała Masza.

— Rzadko kto sam rzuca. Prawda? Nawet w szpitalu ludziska nie rzucają.

— Prawda.

— No cóż, trzeba iść spać. Nie pogniewasz się, jeśli ci pościelemy na ławce, Mikołaju, jak ci tam po ojcu.

— Po prostu Mikołaj. Mógłbym być pańskim synem.

— Nie kluj w oczy starością. Może i mógłbyś, ale nie jesteś. Kiedy będziesz szedł na dwór, weź moją pelerynę.

Wstaliśmy od stołu.

— Zawsze tak wcześnie się kładzicie? — zapytałem.

— Jak kiedy. Ale trzeba się wyspać, bo rano cię obudzę. Muszę jechać do roboty, a i przed tobą daleka droga.

Zrobiło mi się przykro. Jeśli ktoś ci się podoba, to chcesz, aby i on cię polubił. A tymczasem okazało się, że mimo wszystko jestem tu obcy. Zwaliłem się im na głowę bez pytania, jutro odjadę i na tym koniec, nie zostanie po mnie nawet śladu, jakbym umarł.

Za piecem cykał świerszcz, a dotychczas myślałem, że świerszcze cykają wyłącznie w literaturze klasycznej. Leśnik położył się na piecu, a Masza za zasłonką. Zasłonka sięgała do pieca i głowa Siergieja Iwanowicza znajdowała się nad głową Maszy.

— Śpicie? — szepnęła Masza.

— Nie, myślę.

— A on śpi?

— Nie wiem.

— Chyba śpi.

Miała rację. Spałem, płynąłem przez ciemny las i ich szept ledwie docierał do mnie przez szelest liści i plusk deszczu. Ale strop izby pieczolowicie zbierał ich słowa i odrzucał w moją stronę.

— Tak się bałam.

— Czego się teraz bać. Wcześniej czy później i tak by się ktoś domyślił.

— To ja jestem wszystkiemu winna.

— Nie dręcz się. Co się stało, to się nie odstanie.

— Myślałam, że on jest stamtąd.

— Nie, tutejszy.

— Wiem. On ma dobre oczy.

Usłyszałem, jak gajowy, ugniata papierosa. Potem zapłonęła zapalka i z pieca zwiesiła się jego głowa. Zamknąłem oczy.

— Śpi — powiedział. — Zmęczył się. Młody jeszcze. On nie z powodu jajek tu przyleciał.

— A dlaczego?

— Przez ciebie. Ładna jesteś, więc przyleciał.

— Nie trzeba tak mówić. Dla mnie i tak nie ma lepszego człowieka niż wy.

— Jestem dla ciebie jak ojciec. Nie znasz jeszcze miłości.

— Znam. Kocham was, Sergieju Iwanowiczu.

Leciutko szeleścił tytoń. Leśnik mocno zaciągnął się papierosem.

Zamilkli. Nie odzywali się tak długo, że pomyślałem, iż zasnęli, ale nie, nie spali jeszcze.

— On nie jest namolny — powiedział leśnik.

Czy to dobrze, że nie jestem namolny? Gdybym był trochę bardziej stanowczy, nikt by we mnie nie orał i Landzie nigdy by nie przyszło do głowy zabierać mi te moje pół roku...

— A dlaczego tu szedł? — zapytała Masza.

— Nie doszedł, zawrócił. Zobaczył cię samą i nie chciał niepokoić. Spotkałem go w powrotnej drodze.

— Nie wiedziałam o tym. Widział mnie?

— Popatrzył na ciebie i odszedł.

Znów milczenie. Tym razem przerwała je Masza:

— Nie palcie, bo wam szkodzi. Rano znów, będziecie kasłać.

— Zaraz kończę.

Zgasił papierosa.

— Wiesz co, Masza, zdecydowałem się. Jeśli on rano znów do tego wróci, wszystko mu opowiem.

— Oj, co wy!

— Nie bój się. Już dawno chciałem opowiedzieć jakiemuś wykształconemu człowiekowi. A Mikołaj jest z Moskwy, w instytucie pracuje...

Poruszyłem się nieostrożnie, ławka skrzypnęła.

— Cicho! — szepnęła kobieta.

Starłem się oddychać równo i głęboko. Wiedziałem, że oboje wsłuchują się teraz w mój oddech.

— Jak się spało? — zapytał Siergiej Iwanowicz, widząc, że otwieram oczy. Był już ogolony i ubrany w starą, wypłowiała bluzę wojskową.

— Dzień dobry. Dziękuję.

Było już dość późno. Przez otwarte okienko wlewało się do izby pachnące, nagrzane powietrze. Buty gajowego były mokre, widocznie chodził gdzieś po trawie. W piecu coś bulgotało, kipiało.

Usiadłem na ławce.

— Szkoda odjeżdżać — powiedziałem,

— Niby dlaczego? — zapytał leśnik spokojnie.

— Ładnie tu u was, chętnie bym został.

— Nie można — odparł Siergiej Iwanowicz i uśmiechnął się samymi wargami. — Maszę mi jeszcze zbałamucisz.

— Przecież ona pana kocha.

— Tak?... Przypadkiem nie budziłeś się w nocy?

— Budziłem się i słyszałem waszą rozmowę.

— Nieładnie. Mógłbyś dać znać.

Nie odpowiedziałem.

— Tak myślałem. Może to i lepiej. Nie trzeba powtarzać. Jak to mówią, nie ma odwrotu.

I nagle mrugnął do mnie, jakbyśmy zamierzali splatać razem jakiegoś psikusa.

— Ubieraj się szybciej, myj się — powiedział. — Masza zaraz wróci. Jest w ogrodzie. Zbiera ci ogórki na drogę. Dla niej będzie lepiej, żebyś jak najszybciej odjechał i o wszystkim zapomniał.

— Ogórki są zwyczajne? — zapytałem.

— Najzwyczajniejsze w świecie. Możesz się wykapać w jeziorze. Woda jest ciepła.

Myłem się w sieni, kiedy weszła Masza, niosąc ogórki w podołku fartucha.

— Dzień dobry — powiedziała. — Nie mamy krowy. Siergiej Iwanowicz jeździ po mleko do Lesnowki. Zanim je dowiezie na motocyklu, od razu robi się masło.

— Pani pewnie myje się rosą — powiedziałem.

Masza zarumieniła się, jakbym pozwolił sobie na jakąś nieprzyzwoitość, ale Siergiej Iwanowicz powiedział:

— Powietrze tu mamy dobre, zdrowe. I odżywiamy się też jak należy. Zobaczylbyś, jak ona wyglądała na początku. Skóra i kości.

Obaj patrzyliśmy na nią z zachwytem.

— Lepiej byście siedli do stołu, zamiast się na mnie gapić — powiedziała Masza. Nasz podziw jednak najwyraźniej nie sprawiał jej przykrości. — A pan, Mikołaju, niech się uczesze. Zapomniał pan się uczesać.

Kiedy ponownie wszedłem do izby, Masza zapytała Siergieja Iwanowicza:

— Pójdziecie?

— Zjemy śniadanie i pójdziemy.

— Przygotuję wam coś na drogę.

— Dobrze. Nie martw się, szybko wrócimy.

Przy śniadaniu gajowy spoważniał, zamyślił się i długo milczał. Masza też się nie odzywała. Wreszcie Siergiej Iwanowicz westchnął, zerknął na mnie znad trzymanego w rękę kubka i powiedział:

— Wciąż się zastanawiam, od czego zacząć.

— Czy to takie ważne, od czego się zaczyna?

— Zastanów się, Mikołaju. Bo potem może będziesz żałował.

— Mówi pan tak, jakby namawiał mnie do wyprawy na niedźwiedzia.

— Co tam niedźwiedź! Gorzej będzie. Zobaczysz takie rzeczy, jakich nikt na świecie nie widział.

— Jestem gotów.

— Oj, młody ty jeszcze jesteś. No dobra, kończ jedzenie, po drodze ci wszystko opowiem. — Zdjął z gwoździa dubeltówkę, wsunął za cholewę buta szeroki nóż. Masza krzątała się po izbie, przygotowując nam zawiniątko na drogę. Ja nie miałem czego zabierać.

— Dam Mikołajowi gumki — zaproponowała Masza.

— Nie przesadzaj — powiedział dobrodusznie Siergiej Iwanowicz. — Tam teraz jest sucho. Buty masz mocne?

Masza podała gajowemu niewielki plecak. Zarzucił go sobie na jedno ramię.

— A to analgina. Agaszę znów bolą zęby. Pewnie zapomnieliście?

— Zapomniałem — przyznał się leśnik, wkładając do kieszeni szeleszczące celofanowe opakowanie z tabletkami.

— Może jednak Mikołaj by został?

Uprzytomniłem sobie, że nie mówiła już o mnie jak o obcym.

— Daleko go nie zaprowadzę. Do wsi i z powrotem.

— Włożyłam do plecaka trochę pierników. Kupiłam je w mieście.

— No to zostań z Bogiem.

— Coś mi dzisiaj niespokojnie na sercu.

— Tylko się nie rozbecz — powiedział leśnik, siadając przed droga. — Okropnie nie znoszę twoich łez. Skąd ci się one biorą?

Masza spróbowała się uśmiechnąć, usta skrzywiły jej się po dziecięcemu i zlizwała łzę spływającą po policzku.

— Nie mówiłem — powiedział Siergiej Iwanowicz wstając. — Zawsze tak jest. Idziemy, Kola.

Masza wyszła z nami za wrota i kiedy spojrzałem na nią, mnie również obdarzyła pożegnalnym spojrzeniem. Na skraju polany Siergiej Iwanowicz zatrzymał się i uniósł rękę. Masza nawet nie drgnęła. Zagłębiliśmy się w las i straciliśmy dom z oczu.

Szliśmy w milczeniu przez kilka minut, a potem zapytałem:

— Daleko idziemy?

— Będzie ze dwa kilometry... Żał mi jej. Kocham ją i żałuję. Powinna iść do miasta, uczyć się...

— Ile Masza ma lat?

— Dokładnie nie powiem, ale wychodzi na to, że jakieś dwadzieścia trzy.

— Pan też nie jest jeszcze stary.

— Akurat! W kwietniu skończyłem pięćdziesiąt pięć. Chcę Maszę wysłać do Jarosławia. Mam tam stryjeczną siostrę.

Skręciliśmy na prawie niewidoczną, rzadko używaną ścieżkę. Gajowy szedł przodem, odsuwając gałęzie leszczyny. Słońce jeszcze nie wysuszyło wczorajszego deszczu i z liści sypały się zimne krople.

— To taka historia, że trudno zacząć — powiedział Siergiej Iwanowicz. — Gdybym ci to powiedział w mieście, za nic byś nie uwierzył.

Przecieliśmy jasną, brzęczącą od pszczoł, wonną polankę. Dalej zaczynał się ciemny, świerkowy bór.

— Już od dawna mnie to męczy. Jak tylko zobaczyłem, że człapiasz z powrotem w deszczu, bo ci się zrobiło żal Maszy, postanowiłem ci powiedzieć.

— Niech mi pan da plecak, bo idę bez niczego, a pan w dodatku ma dubeltówkę.

— Nie szkodzi. Kto z sobą nosi, nikogo nie prosi.

Las zrzedł. Coraz częściej trafiały się zwalone pnie. Wyszliśmy na porębę. Ktoś wykarczował drzewa, ale ich nie wywiózł.

— Nie dziwi cię to? — zapytał Siergiej Iwanowicz.

— To wiatrołom? Ale przecież las dokoła jest nie naruszony!

— Wicher tak nie powali.

W samym środku poręby wznosił się niewielki kopiec, opleciony na wpeł zmurszałymi korzeniami. Dotarliśmy do niego przeskakując z kępy na kępę przez czarne, bagienne kałuże. Kępy porastał długi, ciepły mech, w który nogi zapadały się po kolana. Starłem się iść dokładnie śladem leśnika, ale raz chybiłem i do buta wlała mi się lodowata woda. — No tak — powiedział gajowy z wyrzutem. — Trzeba nam się było posłuchać Maszy i założyć gumki.

Dotarliśmy do wzgórka. Ziemia była tam zupełnie naga, pokryta szarawym nalotem — kurzem czy też jakimiś porostami, kryjącymi krucho gałęzie i korzenie. Siergiej Iwanowicz rozrucił stos chrustu i za nim, pod daszkiem ze splecionych gałęzi, ukazał się czarny otwór.

— Postawiłem tu szałas — powiedział. — Naściągałem świerkowych gałęzi. Wyszły i teraz nie odróżnisz. Odpoczywaj.

— Nie jestem zmęczony.

— Wcale nie mówię, żeś się zmęczył. Potem się zmęczymy.

Nabił dubeltówkę, skrócił pasy plecaka, żeby nie krępowały ruchów.

— Tam jest paskudny zwierz. Niekul. Słyszałeś o takim?

Dał nura w czarny otwór, rozległ się chrzęst chrustu, z góry posypało się rude igliwie.

— Jesteś tam, Mikołaju? — usłyszałem jego głos. — Idź za mną. Ciemności się nie bój. A jak cię skreć, też się nie lękaj. Zamknij oczy. Słyszysz?

Schyliłem się i ruszyłem za nim, wysuwając przed siebie rękę, żeby nie nadziać się w ciemności na jakąś gałąź.

— Siergieju Iwanowiczu! — zawołałem.

Nie odpowiedział.

Ciemność przede mną była głucha i bezdenna. Nie należała do tego lasu, była jakaś pierwotna, nieskończona i nie mógłbym jej porównać na przykład z wejściem do głębokiego szybu kopalni już chociażby dlatego, że kopalnia lub górská jaskinia daje pewność osiągnięcia dna; jeśli rzuci się kamień, kiedyś wreszcie do uszu dotrze stuk lub plusk wody. A tutaj, nawet niczego nie widząc, wiedziałem, że ciemność nie ma końca.

Wiedziałem to i dlatego nie mogłem zdecydować się na zrobienie kroku. Rozumiałem, że gajowy jest już Tam. Że czeka na mnie. Może nawet wyśmiewa się z mojego tchórzostwa. Gdzie się podział?... Nie myślałem o tym, ale podświadomie byłem pewien, że nie jest to zwyczajna grotta, że Siergiej Iwanowicz nie przyczał się w ciemności, lecz był Tam, za czarną kurtyną... Śnię czy bredzę?! Przecież on zaraz wróci i zapyta ironicznie: „No i co z tobą, Mikołaju?...” Zrobiłem krok do przodu.

W tej samej chwili ziemia zapadła mi się pod nogami, a ja oderwałem się od niej i przestałem istnieć, gdyż ciemność nie tylko zwarła się wokół mnie, lecz także przekształciła w swoją część, rozpuściła w sobie i poniosła z szybkością, którą można odczuć, ale nigdy wytłumaczyć lub zmierzyć. W takich wypadkach starzy, dobrzy romansopisarze zwykli byli mawiać: „Moje pióro nie potrafi tego opisać...”

Wszystko to trwało nie dłużej niż mgnienie oka, chociaż równie dobrze mogło trwać rok i jeśli ktoś by mi powiedział, że pędziłem przez ciemność co najmniej trzy godziny, także bym uwierzył.

Ocknąłem się jednak w tym samym szalasie, z tą jedynie różnicą, że ujrzałem przed sobą światło i na jego tle pochyloną sylwetkę Siergieja Iwanowicza.

— Jesteś? — zapytał. — A ja już chciałem po ciebie iść.

Podał mi rękę i pomógł wyjść na zewnątrz. Gęste zarośla otaczały szalas ze wszystkich stron. Siergiej Iwanowicz postawił dubeltówkę między nogami, wyjął papierosy, poczęstował mnie i sam zapalił.

— Obejrzyj się — powiedział. Nie od razu pojąłem, o co mu chodzi. Podeszliśmy do szalasu przedzierając się przez zabagniony wiatrołom. A tutaj za szalaszem ciągnęły się gęste, kolczaste, poskręcane zarośla niemal bezlistnych krzewów. Dokoła nie było też ani jednego powalonego drzewa, kępki mchu, najmniejszego śladu bagna czy kałuży.

— Nie rozumiesz? Ja za pierwszym razem też niczego nie rozumiałem — powiedział gajowy. — Szalas zrobiłem znacznie później. A wtedy, za pierwszym razem, wlałem wprost do dziury... I zapadłem się.



Za plecami Siergieja Iwanowicza stała sosna. Nie, to nie była sosna, lecz stare, rozdwojone na kształt liry drzewo z pniem sosny, które zamiast igliwia miało drobniotkie, wąskie listki. Na korze widać było głębokie nacięcie pokryte naciekami żywicy.

— To po to, żeby znaleźć powrotną drogę — powiedział gajowy. — Drugiego takiego drzewa tu w pobliżu nie ma. Widzisz wejście do szałasu?

Pod gałęziami i pożółkłymi liśćmi ział czarny otwór. Siergiej Iwanowicz zebrał rozrzucony dokoła chrust i zamaskował wejście.

Nie było zbyt gorąco, ale wiatr wydawał się suchy, a liście pokrywała warstewka kurzu. W bucie mi jeszcze chlupotało.

— Droga jest tylko jedna. — powiedział gajowy. — Przez szałas. Możesz sprawdzić;

— Jak? — zapytałem. Nigdy bym się nie podejrzewał o taką tępotę.

— Obejdź dokoła.

Obszedłem szałas. Był ukryty w gęstwinie krzaków, przez które przedzierałem się z największym trudem. Basowo brzęczał jakiś owad, przez rzadkie liście przebijało spłowiałe niebo. Obejrzałem się. Gajowy szedł za mną z lufa dubeltówki opartej na zgiętej ręce. Tylina ściana szałasów była zawalona suchymi gałęziami. Przez szczelinę między nimi dojrzałem to samo blade niebo.

— Przekonałeś się? — zapytał Siergiej Iwanowicz. — Nie ma tu żadnego bagna i ani jednego świerku na wiele kilometrów dokoła.

— Przekonałem się — odparłem.

— Przyszedłeś tu jak do muzeum z przewodnikiem. A pomyśl, jak ja się tu czułem w onegdajszym roku? Sam byłem. I wiesz co, stchórzyłem. Popędziłem z powrotem, a dziurę zgubiłem. Chyba z pół godziny łąziłem po krzakach. Przecież swój las znam jak własne pięć palców. A widzę, że to nie ten las...

Znów wyszliśmy na polankę przed szałasem. Leśnik chciał, abym dokładnie pojął, jak wtedy się czułem:

— Ja chyba z tysiąc razy przechodziłem przez to bagienko. Tam była lisia nora — wskazał papierosem szałas. — Na samym brzegu, nizinki. Całą tę lisią rodzinę znałem, można powiedzieć z imienia i z nazwiska. Bokiem chodziłem, a ten kopiec omijałem. Jakies paskudne miejsce, nawet nie wiem dlaczego. Teraz już nie pamiętam, po co mnie w te wiatrołomy zanosło. Widzę, że coś się czerni, zupełnie jak niedźwiedzie legowisko. Ale puste, wiem, że puste.

— Siergieju Iwanowiczu — przerwałem mu. — A ten las kiedy został powalony?

— Las? Nie wiem. Dawno. No więc wlałem do dziury i coś mnie porwało. Niedźwiedź, myślę sobie, czy sama śmierć? Ale jakoś mi się upiekło, żyję. Wyłażę, a tu deszcz. Po naszej stronie deszczu nie było... Rozumiesz, pod Rzewem, jeszcze w czterdziestym pierwszym, zostałem kontuzjowany. Głowa od tej pory pobolewa. No to pomyślałem sobie, że to skutki kontuzji...

Poryw suchego wiatru przemknął przez zarośla, które zatrzeszczały, zazgrzytały gałązkami, zaszepotały suchymi liśćmi.

Siergiej Iwanowicz rzucił papierosa i przydeptał go obcasem. Zauważyłem, że w pobliżu poniewierało się kilka innych niedopałków, starych, poszarzałych, jednakowo spłaszczonych.

— Idziemy — powiedział. — Pogadamy po drodze. Mam tu trochę spraw do załatwienia. Ludzie czekają.

Przeszliśmy skrajem rozległego pola, porośniętego nie znaną wysoką trawą, po której przetaczał się wiatr i tam, gdzie ją pochylał, źdźbła odwracały się jasną stroną. Seledynowe fale toczyły się w stronę krzewów, co sprawiało wrażenie, jakbyśmy szli brzegiem morza.

— Patrz pod nogi — ostrzegł Siergiej Iwanowicz — tu jest dużo gadów.

Trawa wydzielala ciężki, perfumeryjny aromat. Trawa nie powinna tak pachnieć. Gdzie jesteśmy? Na sawannie? W selwasie?...

— Długo sobie nad tym łamałem głowę — powiedział gajowy. — Wciąż zastanawiałem się, gdzie to mnie zanosło. Do Australii czy co? Ziemia jest okrągła?

Ostatnie słowa zabrzmiały jak pytanie. Wątpliwości rodziły się nie z niewiedzy, lecz z nadmiernego doświadczenia.

— Wyobraziłem sobie dziurę na wylot przez całą Ziemię. Potem przestałem o niej myśleć.

Jego dubeltówka poderwała się nagle do góry i odskoczyła do tyłu. Drgnąłem. Strzał był krótki i niezbyt głośny — krzewy pochłonęły go, stłumiły jak wata. W zaroślach zatrzeszczały gałęzie i na ziemię upadło coś ciężkiego.

— Spokojnie... — powiedział gajowy. Wyjął z kieszeni mały nabój, nabił ponownie broń i dopiero wtedy, nakazawszy mi gestem ręki pozostanie na miejscu, wyciągnął zza cholewy nóż i wszedł między krzewy.

Teraz to był zupełnie inny, właściwie już trzeci człowiek. Pierwszego — ciężkawego, starzejącego się mężczyznę zobaczyłem na targu w mieście. Drugi — poczciwy, gospodarny i silny został w domu z Maszą. A trzeci okazał się szczupły, zwinny i szybki. Strzelał ten trzeci.

— Kola — zawołał z zarośli. — Chodź tutaj. Zobacz, kogo utłukłem.

Przygniatając swym ciężarem długie łodygi traw leżało na ziemi wielkie, szare zwierzę. Miało nieprawdopodobnie długie nogi, zbyt cienkie jak na swój masywny kadłub, i spiczastą jak u charta, lecz znacznie cięższą, niemal krokodylą paszczkę z wyszczerzonymi kłami.

— Już skończył — powiedział leśnik. — Mieliliśmy szczęście, że padł od pierwszego strzału. To paskudztwo jest bardzo żywotne.

— Co to za zwierzę?

— Niekul. One podobno były kiedyś oswojone, jak psy. Później zdziczały, kiedy Sukry zrujnowały pasterzy. Teraz niekule są gorsze od wilków. Znają człowieka i nie lubią go. Polują na ludzi. — Mówiąc to łamał gałęzie i przykrywał nimi ciało zwierzęcia. — Powiem swoim, to później zabiorą. Gdzieś w pobliżu jest legowisko, jeden się już na mnie rzucał, większy od tego.

— Chodzą w pojedynkę?

— Tylko zimą zbierają się w stada... Nie bój się.

Ścieżka wiła się między rzadko stojącymi ostrolistnymi drzewami, potem ominęła rozległą nizinę porośniętą czerwonymi cierniami. Spoza nich wyłaniały się końce opalonych belek.

— Tu dawniej mieszkali — powiedział Siergiej Iwanowicz. — No więc jestem człowiekiem, można powiedzieć, zupełnie zwyczajnym. Nie udało się zdobyć wykształcenia, ale za to niejedno się widziało. Przeszedłem całą wojnę, byłem w różnych krajach i rozmaicie życie się toczyło. Więc nie spiesz się z potępianiem mnie. Wydaje ci się, że nie ma nic prostszego: zobaczyłeś dziurę w lesie, za nią coś zupełnie innego, no to leć, powiedz, komu trzeba, mądrzy ludzie dojdą, co i jak. Ale to nie takie proste...

Zeszliśmy do płytkiego jaru, którego dnem płynął wąski strumyczek. Na jego przeciwległy brzeg prowadził prowizoryczny mostek zbitý z dwóch pni.

— Deszczu dawno nie było — powiedział leśnik tonem, jakim mówi się o suszy u siebie w domu, we własnej wsi. — Najpierw sam chciałem się zorientować, o co tu chodzi. Przecież nie jestem w mieście, gdzie wystarczy zaczepić pierwszego milicjanta. A więc musiałbym jechać do powiatu, trzydzieści pięć kilometrów drogi, a tam dopiero łązić po różnych biurach, objąć progi. A

jak nie uwierzą? Sam bym nie uwierzył, a śmiechu się boję. Dlatego to w ogóle odłożyłem. Zobaczysz dlaczego. Może zrozumiesz. Teraz twoja kolej i ty będziesz musiał zdecydować. Tylko najpierw się przyjrzyj, rozgryź wszystko, a dopiero potem decyduj. Podejrzewam, że to nie jest Ziemia. Rozumiesz? Czego się gapisz, jak wół na malowane wrota?

— Dlaczego pan tak sądzi?

— Gwiazdy nie takie i doba krótsza. O godzinę, ale krótsza. Inne rzeczy się też nie zgadzają... Myśliwi jeszcze wtedy do mnie przyjeżdżali. Nie tyle polować, ile wódę chlać. Jeden wykładowca tam był z nimi, z powiatu, to sobie z nim teoretycznie porozmawiałem. O to go wypytuję, o tamto, ale o dziurze ani mru–mru. Mówię mu: „A gdyby tak i tak?” A on mi na to: „W twoich delirycznych majaczeniach, Siergiej, widziałeś równoległy świat. Jest taka teoria”. Sam pije jak gąbka, a ja, znaczy, mam białą gorączkę... Słuchaj, Mikołaju, słyszałeś coś o równoległych światach? Co nauka o nich mówi?

— Słyszałem. Nauka nic o nich nie mówi.

— Niby taka sama Ziemia, tylko że na niej wszystko jest trochę inaczej. I że takich światów może być nawet sto... Stop. Odejdź no na bok. W krzaki. Bo spłoszysz.

W tym miejscu ścieżka wychodziła na piaszczystą polną dróżkę. Rozległo się skrzypienie kół. Siergiej Iwanowicz wyszedł na drogę i gwizdnął. W odpowiedzi ktoś zawołał półgłosem: „Ej”. Skrzypienie kół ustało.

Żeby tylko jakiś niekul nie domyślił się, że tu stoję sam i bez broni! Gajowy nawet nie zdążyłby dobiec. Kora drzewa była czarna i szorstka. Żółty żuczek z długimi, wytwornie podkreconymi wąsikami zatrzymał się i zaczął nimi obmacywać mój palec, zagradzający mu drogę. Równoległy świat... Nie wiedzieć czemu, interesowała mnie nie tyle istota owego świata, o której będzie można mówić dopiero po pobieżnej chociażby z nim znajomości, ile dziura. Drzwi w bagnie. To jest fakt już w tej chwili oczywisty. Jakie to jest przejście? Czy tak krótkie, jak sam szalas, czy też nieskończenie długie? Skąd bierze się wrażenie upadku, nieprawdopodobnej szybkości? Kotara czy tunel biegnący w przestrzeni? Od natury tych drzwi zależy natura świata, w którym się znaleźliśmy. Jeśli przyjąć, że jest to świat równoległy, to nie ma sensu pytanie o jego lokalizację przestrzenną. Jeśli zaś jest to świat istniejący, powiedzmy, w naszej Galaktyce, to jakie musi być zakrzywienie przestrzeni? Nigdy nie sądziłem, że kiedykolwiek będę musiał sobie łamać głowę nad takimi rzeczami!

— Mikołaju — zawołał gajowy z drogi. — Chodź tutaj.

— Idę.

W kłębach kurzu unoszących się nad drogą niczym poranna mgła stała arba, zaprzężona w parę malutkich, wychudzonych do ostateczności nosorożców. Zwierzaki miały niezwykle wystające żebra, karki otarte przez jarzmo i kosmate nogi. Szara, psia sierść obłaziła kłakami. Nad nosorożcami krążyły ślepaki. Koło arby stał mężczyzna w workowatej odzieży z szarego zgrzebnego płótna. Był bosy. Na mój widok podniósł jedną rękę (w drugiej trzymał postronek przywiązany do pysków swojego zaprzęgu) i przyłożył ją do piersi. Rzadka bródka wyglądała jak narysowana przez niewprawnego dzieciaka. Zielone oczy patrzyły czujnie i podejrzliwie.

— Mój kumpel — przedstawił go leśnik. — Nazywa się Zuj. Powiedziałem mu, że jesteś moim młodszym bratem. Nie obrazisz się?

Zuj przestąpił z nogi na nogę i coś powiedział.

— Mówi, że trzeba się spieszyć. Władz na wóz.

Plecak Siergieja Iwanowicza leżał na brudnej słomie wyściełającej dno arby. Wgramoliłem się do środka i usiadłem na podwiniętych nogach. Nosorożce machały miarowo ogonami, odpędzając ślepaki.

Arba wlokła się niemiłosiernie, porywy wiatru pędziły kurz na nas i wtedy wszystko zniknęło w żółtej mgłę. Przejeżdżaliśmy obok nędznego, byle jak uprawionego pola. Na horyzoncie wznosił się słup czarnego dymu.

— Co to? — zapytałem, ale Siergiej Iwanowicz był pochłonięty rozmową z Zujem i nie usłyszał.

Było w tym wszystkim coś z dręczącego koszmaru, kiedy człowiek doskonale rozumie, że śpi, ale nie może się otrząsnąć, oprzytomnieć, i nawet w końcu zaczyna go interesować, jak rozwinie się ta idiotyczna fabuła. W dole, wyłaniając się z kurzu, kołysały się szare grzbiety nosorożców...

— Zuj mówi, że wczoraj Sukry szukały mnie — powiedział gajowy rozgniatając papierosa.

— Sukry? — Już po raz wtóry usłyszałem to słowo.

— Tutejsi strażnicy.

— Czego oni pilnują?

— Potem ci opowiem. Wiedz, Mikołaju, że dla nich wszystkich ja mieszkam za lasem. Niby tam jest inny kraj, do którego nie wolno wchodzić. O drzwiach oczywiście nic nie wiedzą. Nie chciałbym, żeby któryś z Sukrów do nas trafił. Pamiętasz, jak Masza na targu się przestraszyła? Pomyślała z początku, że jesteś stąd.

— A ona tu była?

— Była, była. Jasne, że była. Nie o nią teraz chodzi, tylko o to, co zrobić z tym wszystkim?

— A jednak, Siergieju Iwanowiczu, nie mogę się z panem zgodzić. Można przecież sprowadzić do lasu fachowców. Oni by zorganizowali...

— Poczekaj — gajowy zapalił, a Zuj z obawą zerknął na dym wydobywający się z jego ust. — Nie mogą się przyzwyczaić. Staram się tu nie palić, żeby nie rozniecać przesądów. Już i tak diabli wiedzą, co wymyślają. No więc powiadasz, zorganizowaliby... No dobra, a co dalej? Przecież by mnie stąd wypędzili. Wybaczcie, Siergieju Iwanowiczu, powiedzieliby, z waszym brakiem wykształcenia i pijacką przeszłością lepiej będzie udać się na zasłużony wypoczynek.

— Nie można tak mówić!

— Można. Na miejscu uczonych tak bym właśnie rozumował. Ten Siergiej Iwanowicz tylko psuje nam obraz całości. Kręci się pod nogami, przeszkadza... A uczeni też wszystkiego nie rozumieją.

— Czegóż to oni nie rozumieją? — zapytałem.

— Życia nie dadzą rady zrozumieć. A co moi beze mnie zrobią? Masza, Zuj, inni? Przecież na mnie liczą. Jeśli do sąsiedniego domu wlaźł bandzior z karabinem, to co będzie rozsądniejsze, spieszyć na ratunek czy też zastanawiać się: „A może on do mnie strzeli?”

— Nie wiem, czy to jest argument. Sąsiedni dom żyje według naszych praw. A proszę sobie wyobrazić, że w innym kraju...

Gajowy rzucił niedopałek papierosa w kurz drogi.

— Nie będziemy się kłócić. Wziąłem cię z sobą po to, żebyś zobaczył, jacy tu są bandyci. A jeśli coś mi się przydarzy, sam znajdziesz drogę...

Arba podskakiwała na wyboistej drodze, kurz zgrzytał w zębach, w zaroślach poruszało się coś wielkiego i ciemnego. Krzaki trzeszczały i kołysały się, ale ani gajowy, ani Zuj nie zwracali na to uwagi.

— Co tam się dzieje? — zapytałem.

— Nie wiem — przyznał się Sergiej Iwanowicz. — Czasami tak bywa. Kiedyś chciałem to obejrzeć z bliska, ale nie puścili. Nie wolno podchodzić, ale jeśli się nie zbliżać — nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

— Czyżby nie chciał pan tego sprawdzić, dowiedzieć się, co to jest?

— Gdyby człowiek wszystko chciał sprawdzać, życia by mu nie starczyło... A dla ciebie w sąsiednim mieście wszystko i zawsze jest jasne?...

Przez jakieś pięć minut jechaliśmy w milczeniu. Potem zapytałem:

— Skąd Zuj wiedział, że przyjdziemy?

— Byłem tu niedawno, w tym tygodniu. Bez uprzedzenia lepiej się do wsi nie pchać. Sukrów można spotkać, a oni mnie nie lubią.

Dopędziliśmy stado. Cztery jednorogie, kosmate bydłatka wlokły się w tumanach kurzu, otoczone grupką jakichś zwierzątek. Nagi chłopaczek biegał wokół nich, odganiał kijkiem, żebyśmy mogli przejechać. Nagle zobaczył mnie i zamarł.

— Syn Kurdy. — powiedział do mnie gajowy. Wyjął z górnej kieszeni bluzy kawałek cukru i rzucił go dzieciakowi.

Cukier natychmiast powędrował do buzi pastuszka.

— Do szkoły powinien pójść — powiedział gajowy. — Ciągle myślę, że może trzeba byłoby go do nas zabrać.

— Pan by pewnie nie tylko jego zabrał — powiedziałem.

— Jasna rzecz. Może jeszcze zabiorę...

Drogę zagradzał płot z żerdzi. Zuj oddał lejce Sergiejowi Iwanowiczowi, zeskoczył z arby i odciągnął parę żerdzi, aby zrobić przejazd. Nie wstawił ich na miejsce, gdyż za nami szło stado bydła. Arba wjechała na szczyt małego wzniesienia i w dole ukazała się wieś. Wieś była otoczona palisadą i szeroką, ale najwidoczniej płytką, pokrytą wodorostami fosą ochronną, przez którą prowadził most z drewnianych belek. Wrota w palisadzie, niegdyś grube i potężne, teraz były uchylone i zwisały krzywo z zawiasów.

— Ej! — krzyknął Zuj, zatrzymując nosorożce przed mostkiem.

Nikt nie odpowiedział. Wieś wyglądała na wymarłą. Nosorożce chciały skrócić w bok, więc Zuj uderzył je batem. Arba szarpnęła się i wjechała na most. Belki zatrzęsły się, jakby miały za chwilę się rozpaść.

Znaleźliśmy się na zakurzonej, udeptanej placu, na który ze wszystkich stron gapiły się czarnymi gębami drzwi nędzarskie lepianki. Wyglądały jak pisklęta w gnieździe, które straciły już nadzieję na pokarm. Z palisady i ze spiczastych słomianych dachów poderwały się szare ptaki i zaczęły kołować nad nami i uschniętym, powykręcany drzewem, przy którym się zatrzymaliśmy.

Znałem tę wieś. Przywidziała mi się wtedy na plaży, ale widziałem ją wówczas z góry. Widziałem też drzewo i człowieka wiszącego na grubym, długim konarze.

Poryw gorącego, suchego wiatru zakołysał ciałem i lekko, jak wahadło, rzucił je w naszą stronę. Serce podeszło mi do gardła.

Gajowy, zeskakując z arby, podał mi rękę i w tej samej chwili zorientowałem się, że to nie jest człowiek, lecz kukła wielkości człowieka, strach na wróble z twarzą prymitywnie namalowaną na białej szmacie — dwie plamy oczu, kreska ust i — prostopadle do niej — kreska nosa. Tak rysują dzieci.

— To ja — uśmiechnął się gajowy. — To mnie powiesili. Zaocznie, że tak powiem, wrogom ku przestrodze.

— Kto powiesił?

— Sukry. Dawno powiesili, już wiosną.

Zuj przywiązał lejce do drzewa, Siergiej Iwanowicz zdjął z arby plecak;

— Bardzo im się nie podobam — powiedział nie bez dumy. — No i musieli zrobić tego stracha.

Agitacja wizualna.

— Dlaczego tu tak pusto? — zapytałem.

— A kto niby ma tu być? Tych parę ocalałych kobiet i starców poszło w pole. Wszystkich chłopów, którzy nie zdążyli się ukryć, zapędzili w głąb góry. Sam rozumiesz...

Zarzucił dubeltówkę na ramię i ruszył w kierunku jednego z domów. Wszedłem za nim przez otwarte drzwi i zanurzyłem się w ciężkim zatechłym powietrzu. Było ciemno, jedynie przez otwór w dachu przedostawało się nieco światła.

— Dzień dobry — powiedział gajowy, kładąc plecak na ziemi.

Nikt nie odpowiedział. Pod strzechą poruszył się ptak i po chwili, błysnąwszy w ukośnym promieniu światła, spłynęło ku mnie znajome różowe piórko.

— Co słyhać? — rzucił w ciemność gajowy.

— Dobry den, Serge — powiedział znany mi, głęboki i czysty głos. — Jak jechałeś?

Oczy zaczęły oswajać się z ciemnością. Siergiej Iwanowicz postawił dubeltówkę pod ścianą i poszedł w głąb izby, gdzie pochylił się nad stertą jakichś łachmanów.

— Dobrze — powiedział. — Pojechałem z bratem. A co u ciebie, Agaszo?

— Żyję — odparł głos. — Gdzie brat?

— Mikołaju, chodź tutaj. Poznaj się z ciotką.

Na stercie szmat leżała staruszka w ciemnej koszuli. Siwe włosy miała gładko uczesane, twarz niemal bez zmarszczek. Ciocia Agasza była jak dwie krople wody podobna do mojej cioci Alony. Tyle, że nie nosiła okularów. Powinna teraz była uśmiechnąć się i z zawodową ironią nauczycielki zapytać: „Czekasz, aż ci ktoś podpowie?”

— Podejdz bliżej — powiedziała staruszka. Wyciągnęła szczupłą, wyschniętą rękę i dotknęła mojej twarzy. Dwa palce miała odrąbane.

— Ona nie widzi — powiedział gajowy.

— Znam twoją twarz — powiedziała ciocia Agasza. — Miałam bratanka z twoją twarzą. On wziął miecz. Zabili go. On był mądry.

— Zapalę świecę — powiedział Siergiej Iwanowicz. — Ciemno tu u ciebie.

— Pamiętasz, gdzie leżą świece? Jak tam Lusz?

— Lusz przysła ci pozdrowienia i podarki — odpowiedział.

— Dziękuję. Nic mi nie trzeba. Zuj mnie żywi.

Wszedł Zuj i z hałasem zrzucił naręcze drzewa na polepę koło glinianego paleniska. — Napijcie się naparu — powiedziała ciocia Agasza. — Jesteście zmęczeni. Nie mam nóg — dodała, zwracając twarz w moją stronę. — Zuj, zrób.

— Agasza mówi po rosyjsku prawie tak samo dobrze, jak ja czy ty — powiedział gajowy. — Raz usłyszysz jakieś słowo i już pamięta. Nie pij za dużo ich naparu. Na pierwszy raz, póki się nie przyzwyczaisz, wystarczy pół garnuszka. Ten napój daje siłę i orzeźwia.

— Jabłka i jaja pochodzą stąd?

— Stąd. Jeśli coś zwyczajnego, nie zabraniam Maszy. Z pieniędzmi u nas nie jest najlepiej, a przecież tutejszym trzeba pomagać. Ale jajkami nie kazałem jej handlować. Surowo zakazałem. Robią z nich kupu, to takie lekarstwo. Ale znasz Maszę, ma charakterek.

W palenisku trzeszczały gałęzie i na twarz cioci Agaszy padały odbłaski płomienia. Staruszka poruszyła się, sięgnęła ręką za pryczę, na której siedziała, i wyjęła stamtąd dwa emaliowane kubki. Kubki były zwyczajne, nasze. Siergiej Iwanowicz powiedział:

— Nie możemy tu za dużo przynosić.

— Tak — powiedziała ciocia Agasza, — Dla nas bogactwo jest niebezpieczne. Kubki czyste. Syn Kurdy mył w gorącej wodzie. Serge boi się niebieskiej gorączki. Wielu ludzi umarło na niebieską gorączkę.

— Nie o siebie się boję — powiedział gajowy. — Boję się zawlec zarazę do nas.

— Teraz nie ma gorączki — powiedziała Agasza. — W naszej rodzinie nikt nie umarł. Serge przyniósł okrągłe kamyki.

Nie zrozumiałem, o co jej chodzi, i popatrzyłem pytająco na gajowego.

— Przyniosłem tabletki — wyjaśnił Siergiej Iwanowicz. — Wybrałem się, rozumiesz, do apteki. Na temat medycyny wiedziałem tyle, ile wyczytałem w miesięczniku „Zdrowie”, prenumeruję go. Kupiłem aspirynę, trochę tetracykliny i etazolu. Antybiotyki dawałem ostrożnie, żeby nie było jakiegoś ubocznego działania. Każdą tabletkę łamałem na pół. Jakoś się udało.

— No wiesz, bracie — powiedziałem. — Czasami to ja cię nie rozumiem. Przecież jesteś dorosły. Mogłeś zaszkodzić. Organizmy...

— Nie mogłem patrzeć, jak ludzie umierają — uciął gajowy.

Wziąłem kubek z naparem. Napój był ciepły, korzenny. Na dnie leżały ciemne jagódki.

— Pij, nie spiesz się — powiedział gajowy. — Czekam tu na kogoś.

Jakby na potwierdzenie jego słów do chaty wszedł mężczyzna. Agasza powiedziała coś surowym głosem cioci Alony.

— Gniewa się, że przyszedł bez uprzedzenia — wyjaśnił gajowy. — A po co się gniewać? Ślepcy zawsze tak. Konspiratorzy.

Potężny, jednooki mężczyzna w krótkim czarnym kaftanie przepasanym rzemieniem, na którym wisiał niezbyt długi miecz, skłonił się cioci Agaszy. Siergiej Iwanowicz wstał i przyciskając rękę do serca podszedł do przybysza, który zaczął mówić tak szybko i gwałtownie, jakby rzucał mu słowami w twarz. Gajowy o coś zapytał i przez kilka chwil zastanawiał się. Potem powiedział ze złością po rosyjsku:

— Przecież mówiłem, uprzedzałem! I co ty teraz zrobisz? — Jego spojrzenie prześlizgnęło się po mojej twarzy, ale pytanie nie było skierowane do mnie. — Idę, bo inaczej wyduszą ich tutaj jak szczenięta.

— Co się stało? — zapytałem.

— Mój brat tu zostanie. — Gajowy mocniej zaciągnął pas na bluzie. Pozostali patrzyli na mnie w milczeniu. Byłem dla nich przeszkodą, ciężarem.

— Na długo? — zapytałem. W pierwszym momencie chciałem się nie zgodzić: jeśli idą wszyscy, pójdę i ja. Natychmiast jednak zmitygowałem się: muszę słuchać Siergieja Iwanowicza, jak słucha się przewodnika w górach. Nie wiadomo tylko, czy on sam zna drogę?

— Na krótko — odparł gajowy. — Zaszła komplikacja. W razie czego, znajdziesz sam drogę? Wiesz, dokąd iść?

— Może jednak pójdę z wami?

— Nie wiesz, o co tu chodzi i jeszcze coś narozrabiasz. Zostawię ci broń. Nie mogę jej wziąć ze sobą.

— Dlaczego?

— A jeśli dostanie się w ich łapy? I tak już mam dość na sumieniu.



— Daj mi kubek, Serge — powiedziała ciocia Agasza. — Dopiję.

Podąłem jej ciepły kubek i zapytałem:

— Może wyjdę i rozejrzę się dokoła?

— Nie chodź daleko — odparła niewidoma. — Nikt nie może cię zobaczyć.

Wyszedłem na powietrze. Arba przejechała już przez most i oddalała się drogą w kłębach pyłu. Wiatr kołysał kukłę uśmiechającą się narysowanymi ustami. Zajrzałem do sąsiedniej lepianki. Pachniało w niej przykurzonym sianem. Jedna z belek powały zwała się w dół i pasmo światła z zawieszonymi w nim drobinkami kurzu leżało na polepie pokrytej odłamkami glinianych garnków i jakimiś patykami. Wieś wypełniały dźwięki zrodzone przez wiatr — skrzypienie żerdzi i desek, szelest śmieci w wąskiej szczelinie między domami. Były to odgłosy pustki i śmierci.

Tak, to nie jest taki sobie inny kontynent. Równoległy świat? Wyobraziłem sobie, jak to przyjezdny myśliwy, znużony wódką i gorącem, pobłażliwie tłumaczy leśnikowi wyczytaną gdzieś ideę równoległych światów. Gdybym wiedział, gdzie jestem, może łatwiej byłoby ustalić sposób postępowania. Żeby to człowiek miał naturę Siergieja: jemu jest wszystko jedno, gdzie leży ten świat...

Ze szczeliny w glinianej polepie wyrastały grzyby na długich, białych nóżkach. Miały, spiczaste kapelusiki, były cherlawe i wiotkie. Zerwałem jeden z nich i patrzyłem, jak mi się kołysze w palcach... A niby jakie grzyby mogły wyrosnąć w selwasie?

Uśmiechnąłem się. Ubawił mnie brak elastyczności w moim myśleniu. Za wszelką cenę chciałem znaleźć jakiegokolwiek wyjaśnienie, które dałoby się wtłoczyć w ramy powszedniości. A jeśli naprawdę jestem w banalnym, zwyczajnym selwasie? Co to zmienia. Poryw wiatru uderzył w ścianę lepianki, skrzypnął tylnymi drzwiami. Przez szparę w deskach widać było zieleni podświetloną słońcem.

Podszedłem do drzwi. Nie dały się otworzyć. Zawiasy tak zardzewiały, jakby nikt nie korzystał z nich od wielu miesięcy. Zrobiłem krok i przeszedłem na wylot przez ścianę. Między chatą a palisadą, której zaostrome końce wznosiły się nad zielenią, leżał ciasny i wąski ogródek cioci Alony: kilka krzewów i krzywa jabłoń z zielonymi, malutkimi jabłuszkami. Spłoszona wrona ciężko i niechętnie zerwała się z drzewa.

Tu było zupełnie inne powietrze — wilgotne, napełnione zapachami znajomych ziemskich floksów, lilii i georginii, wyrastających chaotycznie z wysokiej trawy. Spod pojedynczego krzaczka kwitnących kartofli patrzył na mnie z pełnym zdumienia wyrzutem różowy kurczak. Pszczoła sfrunęła z malwy i odprowadzając wzrokiem jej lot dojrzałem w przeciwległym końcu ogródka dziewczynę. Dziewczyna miała na sobie niebieską sukienkę do samej ziemi, na głowie biały czepeczek z czerwonym krzyżem i białą opaskę z krzyżem na rękawie. Dziewczyna czytała mocno sfatygowaną książkę. Pszczoła przeleciała tuż obok jej twarzy i dziewczyna opędziła się od niej ręką, ale nie uniosła oczu znad książki. Chciałem jej przypomnieć, że już pora iść, ale nie wiadomo czemu znów znalazłem się na placu.

Było tam zupełnie pusto. Wrona siedziała na głowie powieszony kukuły i trzymała w dziobie malutkie zielone jabłko. Wróciłem do cioci Agaszy.

— To ty, młodszy bracie? — zapytała. — Daleko oni pojechali?

— W las. Do ludzi.

— Nic o was nie wiem.

— A co o nas można wiedzieć? Po co dobrze żyjący ludzie mają wiedzieć o tych, którzy źle żyją?

— A mój brat?

— On wie, ale czasami jest jak dziecko. Chce dobrze, ale nie rozumie, że później będzie źle. Nie rozumie najprostszyc rzeczy. To dla ciebie jasne, chłopcze?

— Możliwe. A jak Siergiej do was trafił?

— Nie powiedział ci?

— Dopiero wczoraj do niego przyjechałem.

— To było dawno — powiedziała ciocia Agasza. Ogień dopalał się i dymił. — Mój brat był w lesie. Napadł na niego niekul. Znasz niekula?

— Widziałem.

— Serge zabił niekula. Mój brat długo chorował. Powiedział do Serge: „Moje życie — twoje życie”. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— Mój ród przyjął Serge, ale Sukry mogły się dowiedzieć. Nie wolno przyjmować do rodu obcego. Serge nie chciał u nas mieszkać. Odchodził. Nikt Sukrom nie mówił o Serge. Złamałeś prawo Sukrów — śmierć. Ale jak złamałeś prawo rodu — też śmierć. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— Tamtego roku była gorączka. Wielu ludzi umarło, a wielu uciekło do lasu. Kiedy oni przyszli, nie było mężczyzn, żeby bronić wrót. Sukrom byli potrzebni nowi ludzie. Mój syn zginął. Mój brat został zabity na progu domu. Mnie zostawili, żebym sama umarła, bo komu potrzebna jest stara kobieta? I kiedy przyszedł Serge i przyniósł lekarstwo, mało zostało ludzi, żeby jeść lekarstwo. Powiedziałam do Serge: twój brat, mój brat — nie żyje. Ty jesteś mój brat. Weź jego córkę Lusz. Znajdź Sukra, który zabił brata, i zabij Sukra. A wszyscy, co to słyszeli, powiedzieli: „Tego nie wolno robić, tego zabrania prawo. Wszystkich nas zabiją”. A Serge powiedział: „Prawa ułożyli ludzie i oni je zmieniają”.

— I on zabijał?

Chciałem, aby staruszka odpowiedziała mi: „Nie. Siergiej nie miał prawa sądzić i wykonywać wyroków. Nawet jeśli wydawało mu się, że tak każe sprawiedliwość”.

— Powiedział: „Jeśli zabiję Sukra, przyjdzie inny Sukr. Tylko wszyscy razem mogą ich przepędzić”.

— Słusznie, to niczego nie rozwiązuje.

— A my czekamy — powiedziała staruszka. — I jest nas coraz mniej.

Gdzieś daleko, za wsią, rozległ się niski, przeciągły dźwięk, jakby ktoś szarpnęła strunę gigantycznego kontrabas. Agasza zamilkła, jej niewidzące oczy patrzyły tam, skąd nadszedł dźwięk. Palce wczepiły się w szmatę przykrywającą kolana.

— Co to? — zapytałem.

— Trąby — odparła staruszka. — Musisz uciekać. Serge tak powiedział.

— A gdzie jest Siergiej? Gdzie go mogę znaleźć?

— Serge jest w lesie. Oni szukają Serge. Uciekaj. Nie można spierać się z siłą...

Dźwięk kontrabas rozległ się ponownie. Nieco bliżej. A może mi się tylko tak wydało?

— Agasz-pato! Agasz-pato!

Do chaty wbiegł zasapany pastuszek. Wymachiwał rękoma, pomagając sobie w ten sposób mówić. Staruszka słuchała nie przerywając mu. Potem wyciągnęła rękę. Chłopiec otworzył zaciśniętą piąstkę. Trzymał w niej strzępek papieru. Wyglądziłem go. Na kartce wyrwanej z notesu zobaczyłem parę słów napisanych wielkimi, koślawymi literami:

„Mikołaju, szybko uciekaj. Jeśli nie wrócę, zaopiekuj się Lusz. Ona ma tylko mnie. To rozkaz”.

— Odchodzisz? — zapytała Agasza.

Spojrzałem na zegarek. Za ledwie przed godziną leśnik odjechał z mężczyznami. Nie mogłem wracać sam.

— Idź szybko — powiedziała Agasza. — Syn Kurdy cię wyprowadzi.

— A wy, ciociu?

Wskazała gestem czarną szczelinę za pryczą.

— Schowam się w norze.

— Pójdę do Siergieja — powiedziałem. — On jest moim bratem.

Chłopiec przestępował z nogi na nogę, jakby chciał uciekać, ale nie miał odwagi.

Staruszka powiedziała coś do niego, a potem zwróciła się do mnie.

— Idź do Serge. Jesteś mężczyzną. Nie chcę, żeby go zabili.

— Dziękuję, ciociu Alono — powiedziałem.

Wydostaliśmy się przez dziurę w ścianie jednej z lepianek, przez wyrwę w palisadzie wysłiznęliśmy się na zewnątrz, zbiegliśmy z pochyłości, przeszliśmy w bród płytką fosę i ruszyliśmy przez ściernisko w kierunku nagich skał, wyrastających z odległego lasu. Było gorąco. Pot ściekał po plecach, dubeltówka zrobiła się ciężka i parzyła ręce. Kurz osiadł na spoconej twarzy, wlaził do oczu.

Chłopiec biegł przodem, odwracając się od czasu do czasu, aby sprawdzić, czy mnie nie zgubił. Jego straszliwie chude, spuchnięte w kolanach nogi migały wśród kurzu, włosy były go po ramionach.

Znów rozległ się ryk trąb, niski i złowieszczy. Tak blisko, jakby niewidzialny muzykant stał tuż obok. Malec pochylił się i rzucił w stronę lasu, klucząc jak zając. Druga trąba odezwała się z lewej. Przyspieszyłem, Las zbliżał się wolno, malec znacznie mnie wyprzedził.

Od przodu, stamtąd, dokąd biegł pastuszek, rozległ się krzyk. Przystanąłem, ale szum w uszach i łomotanie serca przeszkadzało słuchać. Kto krzyczał? Swoi? Byłem tu najwyżej od trzech godzin, ale już dzieliłem mieszkańców tego świata na swoich i obcych.

Kiedy dobiegłem do lasu, chłopca nigdzie nie było. Wówczas obleciał mnie strach. Strach zrodzony przez samotność. Złapałem się na tym, że usiłuję odtworzyć w pamięci drogę powrotną do rozdwojonej sosny, do drzwi na bagnie, do rzeczywistości, gdzie kursują autobusy i gdzie ciocia Alona co chwilę zerka w okno, bojąc się, że coś mi się stało. Ale co mogło mi grozić? Że spóźnię się na autobus?

Wyprostowałem się i zwolełem kroku. Nie jestem tutejszy. Nic nie powinno mi się przytrafić. Trzeba znaleźć dzieciaka, on się bardziej boi.

Strzała gwizdnęła mi nad uchem. Z początku nie zorientowałem się, że to strzała. Nigdy jeszcze nie strzelano do mnie z łuku. Strzała wbiła się w pień drzewa i jej opierzony koniec gwałtownie zadygotał. Rzuciłem się w gęstwinię i jeszcze jedna strzała czarną nitką przemknęła mi przed oczyma. Gałęzie biły po twarzy, dubeltówka przeszkadzała biec, ktoś głośno tupał z tyłu, łamał z trzaskiem gałęzie. Grunt zaczął opadać tak gwałtownie, że nawet nie zauważyłem, kiedy znalazłem się na urwisku.

Staczałem się po stromiźnie, uderzyłem w sterczące z niej korzenie, przewalałem się przez jakieś krzaki, ale nie wypuściłem dubeltówki i tylko wolną ręką starałem się uchwycić gałęzi. Zawadziłem o coś boleśnie czołem i rozciąłem sobie policzek. Zdawało mi się, że to spadanie nigdy się nie skończy. Prawdopodobnie straciłem na chwilę przytomność.

Całe ciało bolało. Ostra gałąź uwierała mnie w plecy, nie pozwalała odetchnąć. Spróbowałem wstać, ale gałąź wbita w marynarkę trzymała mocno. Twarz piekła. Znieruchomiałem. Przecież oni mogą usłyszeć. Trzeba oddychać wolniej, ciszej. Chyba ich nie ma... Oparłem się na dubeltówce i gwałtownie szarpnąłem. Gałąź trzasnęła ogłuszająco i puściła mnie.

Ostrożnie usiadłem i obmaciałem zranioną nogę. Nogawka na łydce była rozerwana i zakrwawiona. Podciągnąłem nogę. Zabolęła, ale mogłem nią poruszać. Stałem i spojrzałem na urwisko. Było niewysokie. Zjrzałem do łuf, aby sprawdzić, czy nie nabiło się w nie piasku. Czyste. Marynarkę zostawiłem pod krzakiem. Poszła w strzępy i do niczego się już nie nadawała.

Drogę odnalazłem opodal miejsca, gdzie zanurzała się w las. Była upstrzona śladami kół i nóg ludzkich. Poszedłem w głąb lasu jej skrajem, aby w razie niebezpieczeństwa móc dać nura w krzaki. Wkrótce od drogi odgałęziła się ścieżka. Ślady wiodły właśnie tam — w jednym miejscu koło arby rozgniotło pomarańczowy kapelusz grzyba.

Wtedy zobaczyłem chłopca.

Leżał twarzą w dół, a z jego pleców sterczały dwie czarne, pierzaste strzały.

Wziąłem go na ręce i odniosłem w las. Był zupełnie lekki i jeszcze ciepły.

Nałamałem gałęzi, przyrzuciłem nimi ciało i poszedłem dalej. Zginął przeze mnie. Trzeba było go dopędzić i nie puszczać od siebie. Trzeba było usłuchać gajowego... Trzeba... trzeba... trzeba...

Ten świat musi być okrutny i niesprawiedliwy wobec słabych. To okrucieństwo jest jawne, uświęcone prawem i powszednie. Nie ma nic dziwnego w tym, że gajowy stanął po stronie słabszych i że wrogowie jego wsi stali się jego wrogami. Zajął się ich sprawami nie z chęci wplątywania się w awantury lub wykazania odwagi, lecz po prostu dlatego, że nie mógł inaczej. Dzielił na pół tabletki tetracykliny, walczył z jakimiś Sukrami, tępił niekule, przynosił z naszego świata blaszane kubki i robił chyba jeszcze wiele innych rzeczy, o jakich nie miałem pojęcia.

Ale czy jego działalność jest obiektywnie rozsądna? Czy nie postępuje jak człowiek, który dla uratowania muchy niszczy pajęczynę? Co może tu zdziałać i czy w ogóle jest tu potrzebny? Sprawiedliwość w niesprawiedliwym świecie jest, nierealna. Ugania się za mirażem i nie pozwoli sobie otworzyć oczu... Uprawia cudze poletko, nie pytając dla kogo. W swej zaocznej dyskusji z Siergiejem starałem się nie popuszczać wodzy emocjom i pozostać naukowcem, starałem się najpierw odnaleźć łańcuszek przyczyn i skutków, dotrzeć do mechanizmu zjawiska i dopiero wtedy podjąć decyzję.

Kiedy dojrzałem przed sobą lekki prześwit, zwolniłem, a potem stanąłem. Jeszcze niedawno na polanie znajdował się obóz. Szkielety szalasów były obdarte z pokrycia, gałęzie i konary rozrzucone po trawie. Na zdeptanej zieleni leżał Zuj z brodą zadartą do nieba. W pięści zaciskał ułamek sztyletu. Kryjąc się za pniami drzew, obszedłem polanę dokoła. Wśród niskiego poszycia natknąłem się na znajomy wózek. Nosorożce zniknęły, dyszel opierał się o ziemię.

Wczoraj byłem w lesie. Dzisiaj znów jestem w lesie. Zadawałem sobie pytania, na które nie sposób odpowiedzieć: „Co ja tu robię? Jak tu trafiłem? Jaka siła przyciągnęła do siebie dwa światy i wytworzyła tunel w punkcie ich zetknięcia?” Spróbujmy zbudować teoretyczny model zjawiska na podstawie znanego fenomenu: wyobraźmy sobie SEP — Sumaryczną Energię Planety... Model był dość ułomny, nie mogłem bowiem przyporządkować planety do jakiegoś punktu przestrzeni, gdyż jej skrzywienie musiało być niewiarygodnie złożone, takie, jakie się nie zdarza i zdarzyć się nie może. Nie może, ale istnieje. A co będzie, jeśli potraktować to jako czysto spekulatywny model niemal zamkniętego świata? Już Friedman w latach dwudziestych badał problemy kosmologiczne w świetle ogólnej teorii względności. Stąd wzięła się wymyślona przez Markowa fridmon, cząstka wielkości cząstki elementarnej, ale zdolna pomieścić galaktykę, jeśli udałoby się tylko przeniknąć do jej wnętrza. Wtedy dla tych, którzy znajdują się wewnątrz fridmonu, nasz świat przekształca się w punkt.

Zatrzymałem się, gdyż usłyszałem brzęk metalu, głosy, skrzypienie. Mało brakowało, a wpadłbym na idących przede mną.

Procesja rozciągnęła się na leśnej drodze i musiałem wejść w zarośla, aby ją wyprzedzić.

Byłem nieludzko zmęczony, a na drugi oddech nie mogłem liczyć. Człowiek przez całe życie planuje: będę wstawał pół godziny wcześniej, gimnastykował się, chodził pieszo do pracy. Ale kładzie się późno, rano nie może się zmusić do wstania, goni autobus i znowu myśli: od poniedziałku to już na pewno..

Wyjrzałem zza krzaków. Obok mnie w półmroku ciągnęły wozy. Na wozach leżeli ludzie. Ktoś jęczał. Przed zaprzęgami wlokła się garstka chłopów... I wtedy po raz pierwszy zobaczyłem z bliska ich wrogów.

Kiedyś, za czasów młodości mojego ojca, modne były powieści fantastyczne o rozumnych mrówkach. Autorzy umieszczali je na Marsie i na Księżycu, powiększali do wzrostu człowieka, zaopatrywali w zimny, precyzyjny rozum, opisywali ich perfidię i okrucieństwo. Zniszczone książki o mrówkach leżały już w lamusie, dając świadectwo temu, że i mój ojciec był kiedyś młody. Znalazłem je mając chyba z piętnaście lat. Od tego czasu nabrałem do mrówek wstrętu i lękałem się ich bardziej, niż na to zasługiwały. Potem gdzieś przeczytałem, że owady nie mogą stać się rozumne. Dowód był prosty, dość przekonujący i chętnie weń uwierzyłem, tym bardziej że nowych powieści o mrówkach jakoś nie wydawano... I oto teraz, w świecie Agaszy i Lusz, zobaczyłem, jak gigantyczne, nieco niższe od człowieka mrówki pędzą gdzieś ludzi.

Okrągłe łebki owadów, zakończone z przodu dziobkiem, walcowate kadłuby i cienkie łapki przydawały widokowi wieczornej procesji złowieszczonego zabarwienia koszmaru... Wtedy pomyślałem, czy to aby nie sen. Procesja wolno ciągnęła drogą. Arby. Grupka mrówek z dzidami, kryty wózek, znowu mrówki... Wśród chłopów gajowego nie było.

Nie mogłem uwierzyć w jego śmierć. A może jest ranny i leży na wozie?

Znowu zagłębiłem się w gąszcz, gdzie było już niemal zupełnie ciemno. Po paru krokach nadepnałem na gałązkę, która trzasnęła jak mina przeciwpiechotna. Rzuciłem się w zarośla: gdyby mnie chcieli ścigać, nie uciekłbym, bo za bardzo byłem zmęczony. Wtedy zorientowałem się, że las się kończy.

Stałem na skraju lasu i patrzyłem, jak na poły ukryta w kłębach kurzu kolumna wydostaje się na rozległe pustkowie. Dalej, odbijając przedwieczne obłoki, połyskiwała niebiesko i pomarańczowo rzeka. Za rzeką wznosiła się niewysoka góra o kształcie niemal regularnego stożka.

Nad samą wodą stało kilka mrówek i ich pancerze połyskiwały w promieniach zachodzącego słońca. Strażnicy zaczęli popędzać kolumnę, nosorożce ruszyły truchtem, a ja wciąż bałem się wyjść na otwartą przestrzeń.

Kiedy tak stałem i zastanawiałem się, co mam teraz robić, tamte mrówki podeszły do kolumny. Wszyscy strażnicy otoczyli kryty wózek, otworzyli drzwiczki i wyciągnęli ze środka człowieka. To był Siergiej Iwanowicz. Dostrzegłem zieloną żołnierską bluzę i siwiejące krótkie włosy. Odetchnąłem.

Nie uznałem racji gajowego, nie przeszedłem na jego stronę. Nadal byłem pełen wątpliwości, ale teraz zagłuszyła je Konieczność. Cywilizowany człowiek nie może porzucić innego człowieka w nieszczęściu, choćby nie zamierzał kontaktować się z tym światem. Musiałem uratować Siergieja Iwanowicza nawet w tym wypadku, gdyby wszystkie teorie fizyczne sprzysięgły się przeciwko mnie. W przeciwieństwie do niego nie będę tu organizował powstania i ukrywał się w lesie razem ze Ślepym. Nie jestem „swój” i dlatego będę wciąż zastanawiał się nad słusnością własnych postępów i nieuchronnie dojdę do wniosku, że takie kwestie powinien jednak rozwikłać kto inny, Odpowiedzialny, Kompetentny. Chociaż kto, u diabła, może tu być kompetentny? Każda nieingerencja jest tylko szczególnym rodzajem ingerencji, zazwyczaj dwuznacznej, gdyż nieingerencja zawsze jest komuś na rękę.

Gdy zobaczyłem Siergieja Iwanowicza, uspokoiłem się. Nie wiedziałem jeszcze, w jaki sposób go wyzwolę, ale byłem pewny, że to zrobię. Choćbym musiał utknąć tu na miesiąc. Zapomniałem, że nie znam języka, że każdy przechodzień rozpozna mnie na kilometr, że jestem głodny jak wilk i walę się z nóg ze zmęczenia.

Obserwowałem kolumnę do chwili, kiedy przejechała most i skryła się w górze. Na pustkowie wpełzła znad rzeki mgła przemieszana z kurzem. Za nią płonęło blade światelko.? Szybko zrobiło się chłodno. Dokoła było pusto, a w lesie za moimi plecami rozległo się wycie. Pomyślałem o niekulach i zacząłem wyrzucać sobie, że nie pochowałem dzieciątka. Te bestie mogą się do niego dobrać.

Zdjąłem dubeltówkę z ramienia, wyszedłem na pustkowie i po paru minutach znalazłem się nad rzeka.

Jeszcze niezupełnie ściemniało, a w dodatku wzeszedł księżyc. Droga zbiegała ku wodzie, ale na moście stała mrówka z długą dzidą. Zobaczywszy ją, skręciłem w bok i dotarłem do rzeki o jakieś dwieście metrów od mostu. Niski brzeg tonął w zaroślach trzciny i gdy spróbowałem dojść do wody, nogi grzęzły w mule; musiałem dość długo iść brzegiem, zanim zdołałem znaleźć kawałek piaszczystego dna. W tym miejscu rzeka rozlewała się szeroko, a pośrodku nurtu była wysepka. Miałem nadzieję, iż rzeka nie jest zbyt głęboka.

Do wysepki dotarłem dość szybko, chociaż przemoczyłem ubranie do pasa. Zresztą noc była w miarę ciepła, przymrozki nie groziły, tak że przymusowa kąpiel nie groziła większymi konsekwencjami. Za to w przesmyku, dzielącym wysepkę od przeciwległego brzegu, było znacznie trudniej. Przesmyk był wąziutki i od czarnej stromizny porośniętej krzewami dzieliło mnie nie więcej niż dwadzieścia metrów. Prąd był tu znacznie szybszy i przy pierwszym kroku zapadłem się po kolana, a przy następnym po pas. Napór wody znosił mnie i już wiedziałem, że przy następnym kroku stracę równowagę. Wówczas uniosłem rękę z dubeltówką i z determinacją odepchnąłem się od dna. Woda porwała mnie, bo jedną ręką trudno było utrzymać się na powierzchni. Napilem się wody, ale broni nie zamoczyłem.

Wreszcie jakoś wydostałem się na przeciwległy brzeg, robiąc przy tym więcej hałasu niż stado słoni przepływające się przez Ganges. Przemokłem do — suchej nitki i musiałem, ukrywając się w krzakach i drząc z zimna, ściągać z siebie i wyżywać całe ubranie. Najgorsze było to, że zamoczyłem papierosy, a przecież właśnie papieros byłby dla mnie teraz ratunkiem.

Wciąż trzęsąc się naciągnąłem oślizłe buty na mokre skarpetki. Obrzydliwie zimne spodnie i koszula przyklejały się do ciała. Staralem się zapomnieć o cielesnych cierpieniach i myśleć o tym, co mnie teraz czeka. Myśli jednak były jakieś poplątane i ułomne. W niczym chyba nie przypominałem generała układającego plan decydującej bitwy. Gdyby mnie teraz zobaczył mój moskiewski szef, Landa, nawet on by się nade mną użalił.

W tym rozlanym między dwoma światami wieczorze zagubili się ludzie, którzy nigdy się nie widzieli i którzy istnieli jakby jedynie w mojej wyobraźni: zmarła pół wieku temu Masza, Lusz stojąca obok chatki nad jeziorem, ciocia Alona przeglądająca album rodzinny i ciocia Agasza przyczajona w czarnej jamie za pryczą, Siergiej wzięty do niewoli przez mrówki i chłopczyk, który zginął dlatego, że szedł ze mną.

Losy tych wszystkich ludzi zdawały się tworzyć tamę oddzielającą mnie od moskiewskich przyjaciół i wrogów. Żeby tylko mógł dociec, na ile owa tama jest realna.

Na upstrzonym gwiazdami niebie rysował się czarny garb góry—mrowiska, w którym uwięziono leśnika. Księżyc oświetlił czarne otwory, rzadko rozrzucone po całym stumetrowym zboczu. Największy właz znajdował się na dole, wprost przede mną.

Przedsięwzięcie było całkowicie beznadziejne i gdybym nie był taki przemarznięty, z pewnością wspomniałbym dzieciństwo i wykonał znany z książek rytuał pożegnania z życiem. Na szczęście jednak dygotałem z zimna, kiszki mi marsza grały, okropnie chciało się palić i w dodatku ómił zęb, nie miałem więc siły, myśleć o śmierci.

Mrowiska powinni strzec wartownicy. Nie tylko przy moście, ale również przy wejściach, a w każdym razie przy głównym wejściu. Wobec tego lepiej będzie skorzystać z jakiegoś bocznego otworu. Podszedłem do wzgórza taką drogą, aby nie można mnie było dostrzec z mostu lub od głównego wejścia, i zacząłem gramolić się na czworakach ku czarnemu otworowi, znajdującemu się o jakieś dziesięć metrów od podnóża. Tuż przed włazem rozciągnąłem się plackiem na ziemi i

przez jakiś czas nadśluchiwałem. Było cicho. Ta cisza mogła oznaczać, że nikt nie podejrzewa mojej obecności, ale z równym powodzeniem mogła świadczyć o tym, że wartownicy przyczaili się wyczekując sposobnej chwili, aby schwytać mnie na pewniaka.

Podczołgałem się bliżej. Księżycowe światło przenikało zaledwie na metr w głąb otworu. Dalej nie było niczego, a właściwie mogło być wszystko.

No cóż, uczynimy ten krok? Przecież tobie, Mikołaju, nic się nie może przytrafić. Różne paskudne rzeczy zdarzają się wyłącznie innym. Pocieszałem się w ten sposób do chwili, kiedy wzięła mnie złość na samego siebie. Takie spekulacje nie mogły pomóc gajowemu, a w dodatku zabierały niepotrzebnie czas. Jakie miałem inne wyjście? Uciec do jamy pod rozdwojonym drzewem? Wrócić do Maszy i powiedzieć: „Bardzo mi przykro, Mario Pawłowna, ale wasz Siergiej Iwanowicz został wzięty do niewoli przez mrówki. Tak go chciały schwytać, że nawet powiesiły na placu jego kukłę, i wątpliwe, aby go teraz wypuściły żywego. Ale nie martw się, Maszo, będę się tobą opiekował, kulturalniej i czulej niż gajowy; pokażę ci Moskwę, zaprowadzę do muzeum, wybiorę się z tobą do wesołego miasteczka...”

Poderwałem się z ziemi i nieco pochylony wszedłem do środka. Wolną rękę wysunąłem przed siebie, aby nie nabić sobie guza. Kwaśny, zatechły odór gęstniał w miarę tego, jak posuwałem się do przodu. Czasami gdzieś z góry z głośnym plaśnięciem spadała kropla wody lub rozlegał się jakiś szmer. Starąłem się wmówić sobie, że mrówki nocą powinny spać, mocno spać. Gdzieś w przodzie, jeśli mnie wzrok nie mylił, tliła się żółtawa plama światła. Uznałem, że mój tunel łączy się z innym, oświetlonym. Kiedy wreszcie do niego dotarłem i zobaczyłem za rogiem filującą pochodnię wetkniętą w szczelinę ściany, natychmiast poznałem to miejsce. Byłem tu kiedyś — w majakach. Znałem nawet sople sadzy narosły nad łuczywem, które widocznie palono tam od wielu lat.

Położyłem na ziemi przy zakręcie rozmiękłą paczkę papierosów, aby nie zabłądzić, jeśli trzeba będzie uciekać na złamanie karku. Przygotowałem dubeltówkę do strzału nie dlatego, żeby mogła mnie uratować w tym labiryncie, ale po prostu dla dodania sobie odwagi.

W głębokiej niszy coś białło. Pomyślałem, że to mrówcze jaja, i postarałem się jak najszybciej stamtąd odejść. Przy jajach mogła być przecież straż. Z następnej niszy dobiegło mnie głębokie westchnienie i senny pomruk. Ludzie? Żebym przynajmniej miał zapalną, żeby chociaż jakiś ogarek świecy! Zajrzałem do środka. Była tak cicho, że mogłem policzyć oddechy śpiących ludzi.

— Siergiej! — szepnąłem cicho. Byłem pewien, że leśnik nie śpi. Nikt nie odpowiedział.

Nie, tu go nie ma. Jeśli jeńca wieźli w zamkniętym wózku i starannie pilnowali, to nie mogli zostawić go na noc w otwartej niszy bez dozoru.

Dziwny świat. Ludzie i mrówki. Do czego ludzie mogą służyć rozumnym mrówkom? Uprawiają dla nich zboże i owoce? A może są dla nich żywymi konserwami?

Na skrzyżowaniu tuneli musiałem się przyczaić, gdyż w pobliżu kręciło się kilka mrówek. Nie mogłem im się dobrze przyjrzeć w mętym blasku odległej pochodni i dojrzałem jedynie blade odbłaski światła na ciężkich głowach. To znaczy, że nie wszystkie śpią.

Przebiegłem szeroki tunel i skręciłem w wąskie, ledwie oświetlone przejście zbiegające pochyło w dół. Wiezienia bywają zazwyczaj w piwnicach.

Wtedy usłyszałem śpiew. Smętny, beznadziejny, na dwóch nutach. Śpiew niewolników.

To była wysoka, dudniąca echami, strzelista jaskinia przypominająca gotycką nawę. Światło pochodni nie sięgało stropu, który dzięki temu wydawał się niezmiernie daleki.

Przy wejściu do groty leżał stos mrówczych głów, a nieco dalej piętrzyła się sterta ich kadłubów. Jakby ktoś rozrywał je na części i pożerał, wysysając chitynowe pancerze.



Pośrodku jaskini siedzieli w kółku bladzi, chudzi ludzie ze zmierzwionymi czarnymi włosami, ubrani w czarne obcisłe stroje, przypominające staroświeckie cyrkowe trykoty. Kto to? Sojusznicy, pożeracze mrówek, mściciele ludzkich krzywd?

Przypatrzyłem się uważnie i natychmiast z wielkim trzaskiem rozpadła się moja spójna dotychczas hipoteza. Wystarczy przecież zbudować hipotezę odpowiadającą pozornym faktom, rozwijając ją i uzupełnić legendą, aby hipoteza przekształciła się w teorię, z której niezmiernie trudno zrezygnować. To byli żołnierze–mrówki. Ściągnijcie z żołnierza ogromny, spiczasty; z przodu hełm, zdejmijcie pękaty półpancerz i błyszczące nałokietniki, a wewnątrz znajdziecie człowieka. Moją pomyłkę tłumaczyło to, że masywna zbroja klóciła się z cienkimi kończynami, tłumaczyła też bujna wyobraźnia, przygotowana raczej na widok ogromnej rozumnej mrówki niż plugawego, brudnego człowieka.

Żołnierze śpiewali melodię składającą się z dwóch nut. Najpierw przez minutę ciągnęli jedną — to ciszej, to głośniej — potem spelzali na drugą. Taką rozpaczliwą beznadziejnością wionęło od tej grupki ludzi, przykucniętych na dnie ciemnej pieczary przy mętnym świetle pochodni, których dym siał się po ścianach i po wilgotnych, źle dopasowanych płytach posadzki, że zrobiło mi się wstyd, iż mogłem uważać ich za rozumne mrówki.

Zresztą w istocie nic się nie zmieniło. Odpadło jedynie obrzydzenie, jakie człowiek żywi do owadów.

Tuż obok mnie głośno załomotały czyjeś kroki. Ktoś odepchnął mnie i wszedł do jaskini. To również był żołnierz — bez hełmu, ale w pękatym żelaznym półpancerzu, spod którego wystawała zielona spódniczka. Przybysz coś krzyknął.

Na wszelki wypadek cofnąłem się od wejścia. Zwierzchnik mógł się zorientować i przeliczyć swoją drużynę. W pieczarze rozległ się hałas i pobrzękiwanie żelaza.

Po paru minutach dwaj żołnierze, już w mrówczej postaci — że też mogłem ich wziąć za mrówki! — wyskoczyli na korytarz. Dowódca szedł z tyłu.

Z braku lepszego pomysłu chciałem już pójść za nimi, ale o mało nie zderzyłem się z resztą żołnierzy, którzy jeśli dobrze zrozumiałem, postanowili wybrać jakieś bardziej ustronne miejsce na wypoczynek i o parę kroków ode mnie dali nura w jakąś dziurę. Nikt mnie nie zauważył. Zajrzałem do jaskini. Było w niej pusto. Filowały jedynie pochodnie i leżały sterty hełmów i półpancerzy.

Nie potrafiłem oprzeć się pokusie. Maskowanie uratowało już niejednego!... Hełm wlaź na głowę z wielkim trudem, omal nie urywając mi uszu, natomiast półpancerz w żaden sposób nie dawał się dopiąć. Zaplątałem się w haczykach i paskach, a na domiar złego wydało mi się, że ktoś nadchodzi. Upuściłem zbroję na posadzkę i przy akompaniamencie ogłuszającego łoskotu żelaza wybiegłem na korytarz. Szczelina w hełmie była wąska i żeby cokolwiek widzieć, musiałem stale pochylać głowę.

Na oświetlonym skrzyżowaniu oficer z milczącą zaciekłością łoił na przemian dwóch żołnierzy (nie wiem, czy byli to „znajomi” z jaskini), którzy przewrócili na podłogę ogromny kocioł z jakimś jadłem.

Bezczelnie, jakby mrówczy hełm był czapką niewidką, zatrzymałem się o jakieś dziesięć kroków od oficera i czekałem, czym to się skończy. Skończyło się tym, że oficer zmęczył się biciem żołnierzy, którzy przyklękli na ziemi i zaczęli z niej zbierać garściami obrzydliwe żarcie, wrzucając je z powrotem do kotła.

Stałem i czekałem. Wątpliwe, aby taki stosunek do jada świadczył jedynie o nieznanomości higieny. Żarcie było przeznaczone dla kogoś, kogo należało żywić, nie troszcząc się jednak o jakość pokarmu.

Znudzony oficer powiedział coś do jednego z żołnierzy, który wrócił po chwili z dzbanem wody. Wlał tę wodę do kotła, rozbełtał i wszystko było w porządku. Zszedłem za żołnierzami po

wąskich, śliskich schodach, minąłem co najmniej dziesięć tuneli, jeszcze raz zszedłem na dół. Znajdowaliśmy się już poniżej poziomu gruntu, bo ściany stały się zupełnie mokre, a po posadzce płynął wąski strumyczek.

W głębi rozległ się jakiś hałas. Nie potrafiłem określić, z czego się on składa. Był nierówny, głuchy i monotony. Wypływał z wnętrza góry i zdawał się wypełniać jakieś wielkie, dudniące echami pomieszczenie. Tunel kończył się przy szerokim podeście i kiedy żołnierze skręcili w bok, mogłem wreszcie dojrzeć źródło tego ogłuszającego już teraz hałasu.

Mnóstwo pochodni rozjaśniało ogromną halę. Ich dym i sadza uniemożliwiały oddychanie, a obrazu przez nie oświetlanego nie potrafiłyby wymyślić nawet Dante, specjalista od opisów piekła.

Nie wiem, ilu tam było ludzi — pewnie ponad stu. Jedni rozbijali kamienie, inni podwozili je na taczkach, inni wreszcie odwozili rozdrobnioną rudą gdzieś w dal, w stronę ognia i łoskotu. Ta hala była częścią, wyrażając się współczesnym językiem, łańcucha technologicznego, który najprawdopodobniej zaczynał się przy kopalni rudy, znajdującej się gdzieś niedaleko wewnątrz góry, a kończył na piecach hutniczych i kuźniach.

Jeden z żołnierzy uderzył w kawałek żelaza wiszący na słupie i ludzie zobaczyli kocioł z pożywieniem.

Łomot młotków, skrzyp taczek, grzmot zsypywanej rudy urwał się jak ucięty nożem. Teraz rozległ się nowy gwar, cichy i żalony, który składał się ze słabych głosów, klapania bosych nóg, jęków, przekleństw i westchnień. Nie wszyscy mogli podejść bliżej, niektórzy czołgali się, a ktoś nawet leżał bez ruchu i błagał, żeby i jemu dali się pożywić. Mój Boże, pomyślałem, ileż to razy w ciągu całej historii Ziemi tacy zobojeźniali na wszystko żołnierze, często sami wyczuci z praw i gnębieni, stawiali przed więźniami kocioł, w którym znajdowała się nadzieja, że może śmierć przyjdzie o dzień później.

Ludzie wydobywali jakieś skorupy (jeden nadstawił dłonie) i pokornie czekali, aż żołnierz zaczerpnie im z kotła rozgotowanej stawy, dziś jeszcze gorszej niż zazwyczaj, i można będzie odczołgać się w kącie, żeby; oszukać żołądek.

Dostatecznie znałem historię, aby wiedzieć, że w pojedynkę, nawet w dziesięciu, nie można zmienić moralności i losów tej góry i innych takich samych gór.

Mój leśnik udawał Don Kichota i walczył z wiatrakami. A ja? Wymyśliłem sobie złowieszcze mrówki, bo w bajecznym śnie łatwiej odseparować się od cudzego bólu.

Wędrowałem przez mrowisko sam podobny do mrówki, w ciasnym hełmie, który boleśnie uciskał uszy. Pot ściekał na oczy i zalewał je, omal nie przyprawiając mnie o szaleństwo.

Byłem pewien, że znajdę Siergieja. Góra nie była zbyt wielka, a jej wnętrze już z grubsza sobie wyobraziłem: na różnych poziomach zbiegają się promieniście ku środkowi tunele, przy czym oświetlone są tylko najważniejsze z nich. Na pewno nie zabłądzę. Grozi mi jedynie spotkanie z jakimś oficerem lub ciekawym Sukrem, który zauważy, że moje dzinsy nie są uszyte przez miejscowego krawca. Trzeba jedynie obejść po kolei wszystkie korytarze, nawet jeśli miałyby to trwać całą noc.

Zabłądziłem po paru minutach. Postanowiłem zajrzeć w wąskie przejście, na którego końcu widać było odblask pochodni. Po jakichś dwudziestu krokach śliska podłoga zaczęła się obniżać. Chciałem się zatrzymać, ale nogi nie posłuchały. Żeby nie upaść, zacząłem nimi szybko przebierać, zbiegać po coraz większej stromiznie, i poleciałem do przodu.

Nie spadałem długo i nawet się nie potłukłem. W ciemności plusnęła czarna woda, była bardzo zimna i jakby żywa. Coś śliskiego dotknęło mojej ręki. Poderwałem się gnany wstrętem — tak, raczej wstrętem niż strachem — i pobiegłem przed siebie, rozgarniając butami lodowatą wodę, rozpychając na boki stworzenia krążące wokół mnie opalizującym korowodem.

Zupełnie zapomniałem o bliskości ścian, walnąłem całym ciałem i ogłuszony zsunąłem się w podatną ciecz, która rozstąpiła się, a potem ogarnęła mnie i zaczęła obmacywać każdą swą kroplą, jakby zastanawiając się, czy zatrzymać mnie tu na zawsze, wchłonąć, rozpuścić w sobie, czy też wypchnąć, wydalić jak coś obcego, niepotrzebnego... To zrozumienie zamiarów płynu wypełniającego podziemie zmusiło mnie do wyrwania się z niego, miotania, szukania w ścianie szczeliny lub otworu — ten otwór powinien znajdować się gdzieś wyżej, bo inaczej ciecz odnalazłaby drogę do wnętrza góry, żeby tam szukać i prześladować swą lodowatą ciekawością tych, którzy zamieszkują ciemność.

...Czubek trzewika natknął się na stopień schodków wyrąbanych w kamieniu. Uderzyłem czołem o górną krawędź wjazdu. Lufa dubeltówki brzęknęła o kamień i ten dźwięk przywołał mnie do rzeczywistości. Schodki niebawem się skończyły, dalej biegł tunel. Zrobiło się cieplej i bardziej sucho.

Gdzieś daleko w przodzie zamigotała żółta plama pochodni.

Znalazłem wreszcie ciemnicę, w której trzymano więźniów. Poszedłem za żołnierzami niosącymi garnek z jadłem. Garnek był niewielki — dla kilku ludzi.

Przy ciemnicy stała straż. Wartownicy siedzieli w kucki przy prymitywnie zbitych, masywnych drzwiach i kiedy zjawił się żołnierz z jadłem, jeden z nich podniósł się i odsunął rygiel. Drugi, uzbrojony w wielki topór z dwoma asymetrycznymi ostrzami, stanął za nim. Żołnierz wszedł do środka, pochylił się, postawił garnek na podłodze i chciał wyjść, gdy zatrzymały go głosy z wnętrza. Żołnierz z toporem roześmiał się. Widocznie to, co się działo w celi, wydało mu się zabawne.

Wówczas usłyszałem głos gajowego.

— Barany — powiedział Siergiej Iwanowicz — przecież mówię jak komu mądrymu: jak będziemy jeść, skoro ręce mamy związane?

Pewnie wyczuł, że jestem w pobliżu, i chciał mi dać znak.

Zrozumiałem, ale na razie nie mogłem mu o tym powiedzieć.

Nie planowałem żadnej akcji bojowej, a zresztą żadne planowanie nie miało chyba sensu. Trzeba było coś zrobić możliwie szybko, dopóki okoliczności mi sprzyjały. Żołnierz, który przyniósł garnek, rozpiął półpancerz i wydobyl z za pazuchy parę płytkich misek. Jego koledzy zaczęli się nerwowo krząć zastanawiając się widać, w jaki sposób nakarmić więźniów nie rozwiązując ich.

Wreszcie wymyślili: wywlekli z ciemności leśnika i Ślepego. Obaj mieli ręce związane na plecach. Dwaj strażnicy skierowali na nich dzidy, żołnierz z toporem zaszedł od tyłu, a czwarty rozwiązał im ręce. Przy tym żołnierze pokrzykiwali na więźniów, popychali, na wszelkie sposoby demonstrowali swoją władzę i siłę, co wynikało raczej z niepewności i z przyzwyczajenia do podporządkowania się kuksańcom i pokrzykiwaniom.

Gajowy z trudem wyciągnął z za pleców zdrewniałe ręce i podniósł je do góry, poruszając palcami, aby przywrócić obieg krwi. Moment był sprzyjający, żołnierze akurat rozlewali jadło do misek. Byłem całkowicie spokojny, może dlatego, że padałem z nóg ze zmęczenia i jakaś cząstka mózgu nadal z uporem utrzymywała, że to tylko sen, a skoro tak, to nic mi się nie może stać.

— Herody blaszane, faszyści! — warknął półgłosem gajowy. — Was by tutaj wsadzić. Dobiorę się jeszcze do waszych panów... Żołnierz krzyknął na niego, pchnął ostrzem dzidy w plecy.

— To ty się pospiesz — odparł gajowy. Mówił do nich tylko po rosyjsku, jakby mu nie zależało na tym, żeby go zrozumieli. — No tak — ciągnął, podnosząc miskę z podłogi — nawet łyżki nie wymyślili. Co ja, pies, żebym chleptał?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Żołnierze patrzyli na niego z lękiem, jak na egzotycznego zwierza.

— Nie, takiego paskudztwa jeszcze nie próbowałem — powiedział Siergiej Iwanowicz. — Dałbym ci...

Uznałem te słowa za sygnał. — Dawaj! — krzyknąłem. Mój głos odbił się od wewnętrznej powierzchni hełmu i ogłuszył mnie.

Gajowy usłyszał. Zareagował błyskawicznie, nie stracił nawet ułamka sekundy. Dopiero kiedy miska z żarciem poleciała w pozbawioną hełmu twarz pochylonego nad nim żołnierza, a druga wyleciała z rąk Ślepego, zrozumiałem, że zrobiliby to i beze mnie. Wcale nie liczyli na moją pomoc: Ślepy rozumiał po rosyjsku i ostatnie słowa Siergieja skierowane były do niego.

W następnej minucie wydarzyły się następujące rzeczy: z jakiegoś względu nie strzelałem, widocznie po prostu nie przyszło mi to do głowy. Rzuciłem się na wartowników od tyłu, wymachując dubeltówką jak maczugą i mój atak był całkowicie nieoczekiwany zarówno dla strażników, jak i dla więźniów. Zapomniałem przecież, że zamiast twarzy mam żelazny, mrówczy pysk. Kolba broni spadła z łoskotem na hełm żołnierza i wgniotła go. Żołnierz odleciał pod ścianę i zbił z nóg innego strażnika, mnie zaś opanowało pragnienie natychmiastowego zdobycia podwójnego topora, którym wymachiwał żołnierz, zagrażając raczej swoim niż więźniom. Wczepiłem się w stylisko halabardy i szarpnąłem do siebie. Dubeltówka mi przeszkadzała, ale przestraszony żołnierz puścił topór, a ja, stawszy się posiadaczem dwóch rodzajów broni, wyłączyłem się z walki ze względu na nadmiar środków bojowych. Jednak efekt psychologiczny wywołanego przeze mnie zamieszania był bardzo duży. Podczas gdy strażnicy usiłowali zrozumieć, co to za niebezpieczeństwo spadło na nich od tyłu, Ślepy powalił najbliższego przeciwnika, a z następnym uporał się gajowy, zabierając mu dzidę. Reszta uznała za rozsądniejsze podać tyły.

Z dubeltówką i toporem w rękach podskoczyłem do gajowego. Moje okrzyki, zagłuszone hełmem, przestraszyły Ślepego, który powitał mnie wystawioną do przodu dzidą. Siergiej jednak myślał szybciej. Sądzę, że rozpoznał swoją broń, a dopiero potem straszycło w mrówczym hełmie i podartych dżinsach.

— Zabierz pikę! — zawołał do Ślepego. — To moja inteligencja. Mój braciszek.

— To ja...

— Dawaj broń — powiedział Siergiej Iwanowicz. — Naboi ci było szkoda?

— Jakich naboi? — nie rozumiałem.

Ślepy już przecinał więzy na rękach pozostałych jeńców.

— Oni zaraz wrócą — ostrzegłem gajowego. Nie spodziewałem się wprawdzie, że zgodnie z regułami gry rzuci mi się na szyję z okrzykiem: „Mój ty wybawco!”, ale jak na mój gust był jednak zbyt suchy i rzeczowy.

— Wiem — odparł. — Broń w porządku? W rzece jej nie wykopałeś?

— W porządku.

— No, gdzie są ludzie? — krzyknął gajowy w ciemność celi.

W końcu korytarza narastały krzyki i tupot nóg.

— Nikogo nie wykończyłeś? — zapytał, zrywając ze ściany pochodnię i przydeptując ją butem.

— Nie.

— I nie powinienes. Nie w twoim stylu — powiedział gajowy. — Hełm znalazłeś przypadkiem?

— Prawie.

Jakbym był smarkaczem, który musi ze wszystkiego wytłumaczyć się wujowi. Nie bardzo wiedziałem, czy aprobeuje moje postępowanie czy też nie.

Ślepy wypędzał pozostałych z ciemnicy. Robił to bezceremonialnie, nie wszyscy nawet mieli rozwiązane ręce, rozcinał więc w biegu pęta i pokrzykiwał na chwiejące się cienie. Nawet ich bił. Nie chciałem, żeby bił swoich towarzyszy, chociaż on pewnie by nie rozumiał moich oporów moralnych.

— Pójdiesz za nimi, Mikołaju. Masz topór, osłonisz ich. Zresztą jesteś zabezpieczony hełmem. Ja tu przez chwilę zostanę.

— Ja też.

— Dość tego! — powiedział gajowy. — Przecież tylko przypadkiem nam pomogłeś. Prędzej sam byś zginął. Jasne? Przynajmniej teraz się słuchaj.

Poszedłem więc za więźniami, którzy biegli truchcikiem w kierunku wyjścia z góry. Zdążyli pzbierać broń porzuconą przez żołnierzy.

Ślepy wyprzedził tłum i biegł przodem, zrywając ze ściany nieliczne pochodnie i depcząc je. Obejrzałem się. Sylwetka gajowego tuliła się do zasnutej dymem ściany.

Nagle huknął strzał. Odpowiedział mu daleki krzyk. Sylwetka leśnika oderwała się od ściany. Biegł ku nam.

Nie od razu zorientowałem się, że wyszliśmy na zbocze. Noc była ciemna, księżyc zaszedł i dopiero fala świeżego powietrza uświadomiła mi, że znaleźliśmy się na zewnątrz.

Zatrzymałem się. Minęła mnie pędem reszta uciekinierów. Popatrzyłem w niebo i pomyślałem, że pewnie nigdy już nie zobaczę tych gwiazd.

Szliśmy bardzo wolno. Nogi same podrywały się do biegu, bo przecież przed nami była rzeka, a potem otwarte pustkowie. Trzeba było jednak iść za ledwie wlokącymi się więźniami, nic innego mi nie pozostawało.

Wydawało mi się, że już od dawna, od wielu dni, a nawet miesięcy wędruję przez ten świat i że w istocie nie obchodzi mnie, czy jest to świat równoległy czy friedmanowski, zamknięty w elektronie. Przecież ludzie w nim żyją, cierpią, a nawet zabijają. Ja też w nim żyję. I gajowy.

W krzewach nad brzegiem zrobiło się małe zamieszanie, bo jeńcy bali się wejść do wody. Przez liście widać było sylwetkę mostu, po którym biegały już czarne figurki. Mogli nas odciąć od lasu.

— W tym rękawie jest głęboko — powiedziałem. — Za wyspą jest płycej.

— Wiem — odparł gajowy. — Wielu z nich nie potrafi pływać. A mówiłem Ślepemu, żeby biec na most. Wartę byśmy zlikwidowali. Może zdejmiesz ten hełm? Bo jeszcze cię wywróci, jak statek na burzliwym morzu.

Ślepy, wymachując rękoma i klnąc, wpędzał uciekinierów do wody. Leśnik przyłączył się do niego. Ze zbocza góry zbiegali już żołnierze, strzały z ich luków gęsto świstały między nami.

— Nie wyrzucaj topora! — zawołał do mnie gajowy. — Jeśli ci za ciężko, oddaj Ślepemu.

— Nie jest mi za ciężko.

— Wobec tego płyn pierwszy. Jeśli któryś z Sukrów znajdzie ci drogę na tamtym brzegu, wal w łeb, na nic nie zważaj.

Wskoczyłem do wody i zapadłem się po pas, a potem po pierś. Tym razem nie musiałem chronić dubeltówki i wiedziałem, że pięć kroków dalej będzie płytko. Kiedy wydostałem się na wyspę, strzała tak silnie dziobnęła mnie w potylicę, że aż głowa poleciała do przodu. Mrówczy hełm uratował mi życie. Obejrzałem się. Na środku kanału zobaczyłem kilka głów. Gajowy, stojąc po pierś w wodzie, wpędzał na głębię ostatnich uciekinierów. Ruszyłem dalej.

Tuż za mną na brzegu pojawił się Ślepy. W jednym ręku trzymał dzidę, a drugą podtrzymywał słaniającego się człowieka. Mężczyzna spróbował usiąść na trawie, ale Ślepy syknął na niego, wetknął mu do rąk dzidę i wrócił do wody, aby pomóc następnemu uciekinierowi.

Kiedy do brzegu dotarł gajowy, który zamykał naszą grupę, było już na nim sześciu lub siedmiu ludzi.

Przed nami biała ściana gęstej, mlecznej mgły. Nie zdążyliśmy się w nią zanurzyć, gdy dopali nas strażnicy biegnący od strony mostu.

Nie wiem, czy kogoś zabiłem lub zraniłem w tej krótkiej potyczce na brzegu i potem w drodze przez pustkowie. Wymachiwałem toporem, biegłem, znowu machałem i znów biegłem. Rozlegał się szcęk metalu, ale ludzie w mrówczych hełmach wyłaniający się z ciemności i znów w niej niknący wydawali się fantomami, bezosobowymi, bezcielesnymi i niezniszczalnymi zjawami.

Do lasu dotarliśmy we czterech — Ślepy, gajowy, ja i jeszcze jakiś chłopak z rozciętym głęboko ramieniem, które Siergiej Iwanowicz zabandażował swoją niebieską koszulką gimnastyczną (podartą bluzę mundurową naciągnął potem na gołe ciało).

Skryliśmy się w głębi lasu, gdzie było bujne poszycie. Świtało już. Kilka razy zasypiałem w marszu, ale szedłem, wyczuwając przed sobą szerokie plecy Ślepego, widząc nawet króciutkie, pogmatwane sny, których akcja toczyła się w laboratorium. Dowodziłem w nich Landzie, że wolna energia powierzchniowa planety, skoncentrowana w jednym punkcie zakrzywionej przestrzeni, zdolna jest do wytworzenia pomostu między dwoma światami, ale szef mnie nie słuchał, tylko

wciąż powtarzał: „Spokojnego życia ci się zachciało, co?” Siedzieliśmy w gęstych zaroślach. Gdzieś niedaleko dudniły basowo trąby. Mrowisko ogarnęła panika.

— Chłopiec zginał powiedziałem. — Syn Kurdy.

— Niemożliwe!

— Ciocia Agasza wysłała go ze mną do lasu. Zgubiłem chłopaka na jego skraju, a potem znalazłem. Martwego.

Gajowy zaklął.

— Nie powinienem był go brać ze sobą — powiedziałem.

Oczekiwałem, że zaoponuje, że powie: „Bez ciebie nie dalibyśmy rady się wydostać...” Ale powiedział:

— Wybili cały ród. Nikt nie został.

— Przecież pan temu nie jest winien.

— Nie jestem winien — odparł gajowy twardo. — I tak by ich zabrali, jak z innych wsi. Sukrom teraz jest potrzebne żelazo, potrzebniejsze od chleba. Mają zamiar wojować z sąsiadami. Dopóki chleb był potrzebniejszy, ludzie jakoś żyli.

Odpędził komara i westchnął.

— Zapaliłbym papierosa.

Wzruszyłem ramionami. Dwa lata temu na Pamirze skończyło się nam palenie. Postanowiliśmy skończyć gazikiem do Chorogu i trafiliśmy pod kamienną lawinę. Uratowaliśmy się tylko cudem.

Trąby huczały coraz bliżej. Ranny nie miał już siły iść. Ukryliśmy go w dziupli potężnego drzewa, którego wierzchołek był opalony przez piorun. Jednak nie od razu ruszyliśmy dalej. Wstydziliśmy się chyba, że jesteśmy cali i że możemy uciec. Chłopak milczał. Wyobrażałem sobie, jak się boi zostać sam. Może wziąć go ze sobą? Jakoś dotaszczymy go do szalasu...

Gajowy zarzucił dubeltówkę na ramię.

— Nie trap się, Kola — powiedział. — Nie damy rady go dowlec. Sami zginiemy i jego nie uratujemy. A Ślepy zna rozmaite zioła. Zioła tu mają, można powiedzieć, czarodziejskie. Silniejsze od narkotyków. Zaśnie chłopak na tydzień, a przez ten czas rany mu się zagoją.

Siergiej odgadł moje myśli, gdyż myśleliśmy obaj o tym samym albo niemal o tym samym. Jeśli można odgadnąć cudzą myśl, to jest to pierwszy krok do wzajemnego zrozumienia. A czy nie czas byłoby już nauczyć się czytać myśli, mój miły szefie, znakomity Lando? Ile to już zjedliśmy ze sobą soli przez te prawie dwanaście lat?...

— Idziemy — powiedział leśnik. — Już czas.

Ślepy doprowadził nas do zarośli, skąd prowadziła ścieżka do naszego domu. Do wsi nie można było wracać, bo tam już z pewnością czekają Sukry. Ślepy kierował się do odległego lasu. Przy pożegnaniu zaczął prosić o dubeltówkę, której gajowy mu nie dał, tłumacząc się tym, że nie ma nabojów. Ślepy obraził się. Siergiej Iwanowicz powiedział po rosyjsku:

— Nie zapomnij o rannym chłopaku. On jest z obcego rodu, nikt z krewnych mu nie został.

— Nie zapomnę — odburknął ze złością Ślepy.

— Niedługo wrócę — powiedział gajowy.

— Do kogo? Nie masz do kogo wracać, bo Agaszę zabiorę ze sobą.

Pożegnaliśmy się.

Szedłem wąską ścieżką. Siergiej Iwanowicz odsuwał gałązki, żeby nie były go po twarzy.

— Daj mu broń — burczał leśnik. — A sam co zrobisz? Zresztą oni i tak nie umieją strzelać, a w dodatku nie ma nabojów.

Usprawiedliwiał się przed samym sobą, a ja milczałem.

— A wracać tu rzeczywiście nie ma do kogo. Do tamtego lasu jest trzy dni drogi. Nawet w nim nie byłem. A tu wszystko spustoszone... Nie udało ci się wycieczka.



Słońce stało już dość wysoko, hełm grzał, ale gajowy powiedział, żebym na wszelki wypadek go nie zdejmował. Jeśli nas zobaczą, lepiej mieć go na głowie. Topór uwierał mnie w ramię.

— Daleko jeszcze? — zapytałem.

— Za godzinę będziemy na miejscu. Pić mi się chce.

— Wiesz co, Siergieju — powiedziałem nieoczekiwanie dla samego siebie. — Rozmyśliłem się. Nigdzie nie odejdę.

— Nie rozumiem.

— Nie odejdę z instytutu.

— A dlaczego niby masz odchodzić?

— Długo by trzeba tłumaczyć... Mam takie wrażenie, jakby przesunęła się skala wartości. To, co wydawało się ważne, zrobiło się teraz zupełnie małe.

Odwrócił się do mnie. Ku mojemu zdumieniu uśmiechał się.

— Przesunęła się, powiadasz? To znaczy, że wstrząsnęło tobą? Nie szkodzi, takie rzeczy człowiekowi wychodzą na zdrowie. Żeby tylko dotrzeć do domu. A potem wiesz, co zrobię? Wrócę tutaj.

— Trzeba się spokojnie nad tym zastanowić — odparłem. — Czasami wróbel w garści bywa lepszy...

— A po co nam wróbel? Dobra, pomyślimy. Przecież widzisz, że idę do domu. Masza tam od zmysłów odchodzi. To już drugi dzień... Wrócę. Bo tutejsi są zupełnie jak dzieci. Wiesz, dlaczego wczoraj tak wyszło? Postanowili zaatakować górę, a na tamtych z drugiego lasu nie zaczekali. Do czego to podobne?

Po tych słowach ruszył szybszym krokiem, jakby chciał jak najprędzej wrócić i na serio zająć się tutejszymi sprawami.

— A Masza? — zapytałem,

— Maszę zostawię tobie — odparł gajowy. — Nie rzucisz?

Kiedy mijaliśmy rozległą polanę, ujrzeliśmy z lewej słup dymu.

— Wieś palą — powiedział leśnik. — Żeby tylko nie naszą. Ślepy musi wyprowadzić ciotkę Agaszę.

Wyobraziłem sobie, jak zapalają się wyschnięte lepianki. Każdy stożkowy słomiany dach staje się okrągłym ogniskiem. A jeśli zajmie się palisada, ucierpi również sad.

— Byłeś tam w ogrodzie? — zapytałem.

— Gdzie?

— W małym ogródku za jednym z domów.

— Ocknij się — powiedział gajowy. — Tam na całą wieś jest jedno drzewo, żeby mieli na czym mnie powiesić, a i to uschnięte.

Przed nami, w odległości jakichś stu metrów, przez drogę przebiegł niekul. Zdążyłem dobrze przypatrzeć się jego muskularnemu ciału na długich, smukłych nogach.

— Widziałeś?

— Nie chcę strzelać bez potrzeby — odparł gajowy. — Usłyszają.

— Uważasz, że mogą tu na nas czekać?

— Chyba nie, ale czy to można wiedzieć? Najgorzej, jak człowiek uważa wrogów za durni. Oni przecież wiedzą, z której strony przychodziłem do wsi.

Ta myśl wydała mi się pozbawiona sensu, należąca do innej warstwy snu, do nocnej części koszmaru. Tam nie mogło być strażników, gdyż oni znikają, kiedy kur trzy razy zapieje. Czy warto o nich myśleć, skoro obaj mamy tyle do zrobienia?

Wpadliśmy w zasadzkę tuż przed drzwiami do naszego świata.

Strażnicy nie ośmielili się do nas zbliżyć, tylko krzyknęli z daleka, bo nie byli pewni, kim jesteśmy. Zaczęliśmy biec. Od rozdwojonej sosny dzieliło nas jakieś trzysta metrów, ale Siergiej Iwanowicz nie kierował się wprost do niej, lecz biegł przez zarośla nieco w bok. Zdażył nawet krzyknąć:

— Nie ściągnij ich do nas, zacieraj ślady!

Żołnierze strzelali z łuków. Jedna ze strzał wbiła się w plecy gajowego. Biegł nadal, klucząc między pniami, a opierzenie strzały niczym jakaś dziwaczna ozdoba kołysało się z tyłu. Kiedy upadł, strażnicy stracili nas z oczu, bo do lasu obawiali się wejść.

— Co z tobą?

Leżał z policzkiem przyciśniętym do żółtej, wypalanej trawy.

Chwyciłem drzewce strzały, chciałem ją wyciągnąć, ale przypomniałem sobie, że tutejsze grotty są zębate niczym ostrza harpunów.

— Głęboko siedzi — wychrypiał gajowy. — Głęboko, pod samym sercem. — W kąciku ust ukazała się kropelka krwi. — Nie ciągnij... Ułam...

Ktoś wyszedł na polankę. Odwróciłem się i zacząłem macać ręką po ziemi szukając topora, ale nie zdażyłem. Mocne uderzenie trafiło mnie w hełm i ramię. Nie straciłem przytomności, lecz upadłem skręcając się z bólu. Czuję się tak, jakbym nigdy już nie miał odetchnąć... Wydało mi się, że jednak wstaje, aby obronić leśnika, gdyż nie możemy zginąć tutaj, o dwa kroki od domu.

W oczach nieco mi się przejaśniło i wtedy zobaczyłem, że nad gajowym, odrzuciwszy ciężką gałąź, pochyła się Masza. Gładziła go po policzku, szeptała coś w swoim języku, płakała. Jeszcze nie zdając sobie sprawy z tego, że to właśnie ona mnie uderzyła, biorąc mnie za strażnika, pomyślałem, że Siergiej umarł — tyle bólu było w całej jej postaci. Zanim wstałem i podszedłem do niej, zacząłem ściągać mrówczy hełm, omal nie urywając sobie ucha. To wszystko jednak nie było ważne. Nieważne było, że nie słuchają się ręce i że kręci się w głowie. Masza spojrzała na mnie przelotnie i odwróciła się.

— Lusz — powiedziałem — trzeba uciekać...

Nie chciałem myśleć, że leśnik umarł, wiedziałem tylko, iż trzeba jak najszybciej przenieść go z powrotem do domu i że jeśli to zrobimy, wszystko będzie dobrze...

— Uciekać... — powtórzyła Masza.

Ułamałem strzałę tuż przy samej bluzie, gorącej i mokrej od krwi. Ciągnęliśmy Siergieja twarzą do dołu, bo ani ja, ani Masza nie mieliśmy dość sił, aby go podnieść. Kiedy wreszcie całkowicie wyczerpani upadliśmy na ziemię przy samym szałasie, leśnik powiedział cicho, ale wyraźnie:

— Nie zostawiaj broni.

— Mój Boże — wykrzyknęła Masza. — Po co ci broń...

A ja zmusiłem się do tego, żeby wstać, dowlec się po zmiętej trawie do miejsca, gdzie upadł gajowy, znalazłem dubeltówkę, podniosłem nie wiadomo po co topór z dwoma ostrzami, a kiedy wróciłem, Masza już do połowy wciągnęła Siergieja do szałas. Wtedy niezręcznie, starając się nie upaść, pomogłem jej przepchnąć go i samej wcisnąć się w czarna kurtynę, nieskończoną i krótką jak mgnienie oka, i przywrócić Siergieja jego światu, bagnom, sosnom.

Wiedziałem, że jeśli to nie jest sen, to tam, u siebie, już nie zdołam zrobić nawet kroku i Masza sama będzie musiała biec przez las do drogi, do szpitala, do lekarza, i że może nie zdażyć.

# KONTAKT

## 14 MARCA. PIĄTEK. NOWY JORK

Szeroką betonową autostradą mknie biały policyjny dodge z czerwonym migaczem na dachu. Za nim ciągnie kawalkada długich, czarnych cadillaków. Głos syreny urywa się na wysokiej, historycznej nucie, gdy samochody po przebyciu błękitnego tunelu zatrzymują się u podnóża siedziby ONZ. Sześciu młodych, eleganckich mężczyzn, uśmiechając się zdawkowo w obiektywy fotografów, szybko wbiega po stopniach, wchodzi do wieżowca, gdzie w rozległym hallu, pod wysokim stropem unosi się nasz pierwszy sputnik — stary, jeszcze z lat pięćdziesiątych, dar rządu ZSRR dla Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Ogromna sala posiedzeń jest wypełniona po brzegi. Dziennikarze z ciekawością wpatrują się w szóstkę mężczyzn, siedzących za osobnym stołem. Reporterzy filmowi i telewizyjni wycelowali w nich długie obiektywy swoich kamer.

Rozpoczyna się konferencja prasowa.

— Ladies and gentlemen — mówi przewodniczący. Wspaniała współpraca kosmiczna dwóch wielkich mocarstw — Związku Radzieckiego i Stanów Zjednoczonych — wkracza dziś w nowy etap. Bliski już jest dzień, kiedy pierwsza wyprawa radziecko-amerykańska na Marsa wystartuje ze stacji orbitalnej „Mir-4”. Czuję się niezmiernie szczęśliwy, że z upoważnienia Akademii Nauk Związku Radzieckiego i Agencji Aeronautyki i Przestrzeni Kosmicznej USA mogę przedstawić państwu załogę wyprawy marsjańskiej. Jej skład został ostatecznie zatwierdzony dopiero wczoraj. Na Marsa polecą sławni bohaterowie kosmosu i wybitni uczeni. Dowódcą wyprawy i statku kosmicznego „Gagarin” jest generał major Aleksander Siedow; dowódcą ładownika „Mayflower” i szefem grupy desantowej — generał brygady Allan Redford; obowiązki inżyniera pokładowego pełni doktor John Steinberg, laureat Nagrody Wienera, znany zapewne wszystkim jako konstruktor robota ZOOE, zdolnego do samoreprodukcji. Poza tym w wyprawie uczestniczy zastępca dyrektora Instytutu Problemów Medyczno-Biologicznych Kosmonautyki, doktor habilitowany nauk biologicznych Anzor Leżawa; astrofizyk, autor nowej teorii pulsarów, profesor Michael Lennon Junior i wreszcie geolog wyprawy, profesor Uniwersytetu Leningradzkiego, doktor habilitowany nauk geologiczno—mineralogicznych Jurij Razdolin. Załoga, po zakończeniu wszechstronnych treningów na terenie USA, jutro wylatuje do Związku Radzieckiego w celu kontynuowania przygotowań startowych, a następnie wypoczynku... Nie ulega najmniejszej wątpliwości — mówi dalej przewodniczący — że współpraca obu państw w dziedzinie organizacji pierwszej w historii wyprawy międzyplanetarnej stanowić będzie wspaniały przykład dobrej woli, triumf polityki pokoju dla dobra wszystkich narodów Ziemi... Szanowne panie i panowie! Szczegóły przyszłego lotu znacie już z posiadanych materiałów informacyjnych, proponuję więc przejść do pytań... Proszę! Widzę, że najszybszy był mister Jackson z United Press International...

## 26 MARCA. ŚRODA. MOSKWA

Siedow siedzi w milczeniu na białym obrotowym taborecie w gabinecie swego starego znajomego, internisty Zorina; skupiony wzrok utkwił w podłodze, w palcach obraca linijkę. Cały gabinet lśni oślepiającą bielą. Profesor Zorin jest pod tym względem konserwatystą, nigdy nie brał sobie do serca zaleceń psychologów z Instytutu Estetyki Technicznej, gdyż uważał, że jeśli nawet biały, „szpitalny” kolor peszy nieśmiałego pacjenta, to lekarz ma w ten sposób ułatwione zadanie. W tym jasnym, sterylnym pokoju jedyną ciemną plamą jest kosmonauta.

— Mam nie najlepsze wieści, Aleksandrze Matwiejewiczu — mówi Zorin, przekładając papiery na biurku. — Niektóre wyniki twoich analiz pewnym ludziom nie bardzo się podobają...

— „Niektóre”, „pewnym ludziom”!... — wybucha Siedow. — Warn wszystkim po prostu nie mieści się w głowie, że już dawno skończyłem dwadzieścia lat, a ciągle jeszcze latam, gwałcąc w ten sposób wasze zaśnieżone instrukcje, zalecenia i różne wasze dysertacje...

— Nie życzę sobie rozmawiać w takim tonie — przerywa mu ostro Zorin. Następuje długa pauza. — Zrozum wreszcie — kontynuuje spokojnym, niemal czułym głosem — iż żaden z nas, niestety, wraz z wiekiem nie staje się zdrowszy.

— Zapamiętaj sobie, Andrieju Leonidowiczu — mówi Siedow — że zdrowia wystarczy mi jeszcze co najmniej na dziesięć, a może nawet na dwadzieścia komisji lekarskich,

— Ja również w to wierzę, ale na razie jest to wyłącznie moje subiektywne przekonanie, a obiektywne wyniki badań mówią co innego. — Bierze kartki z wynikami analiz. — Wprawdzie nie ma jeszcze, daję ci na to uczciwe słowo honoru, żadnych podstaw do paniki, ale musimy jeszcze raz cię pomęczyć. To mój obowiązek. Trzyletnia wyprawa na Marsa to nie dwutygodniowy spacer na Księżyc. A z takimi papierkami komisja cię jak nic odwali...

Siedow ściska linijkę tak mocno, że bieleją mu kostki palców.

— Twoja komisja i ty sam zawsze bardziej wierzyliście analizom moczu i kardiogramom niż żywym ludziom. Lekarz powinien być psychologiem, prorokiem, szamanem i hipnotyzerem, a wy przekształciliście się w operatorów elektronicznych pudełek! Bylibyście najszcześliwsi, gdybym tylko zasiadał w prezydiach uroczystych akademii albo zajmował się pisaniem pamiętników! A ja chcę pracować, pracować, nie zaś zajmować doskonale płatne, nikomu niepotrzebne, specjalnie „za zasługi” wymyślone etaty, jasne? A zdrow jestem jak byk!

— Co wolno Jowiszowi, nie wolno bykowi — uśmiechnął się Zorin. — Nie wściekaj się, Sasza! W ciągu swojego czterdziestopięcioletniego życia zrobiłeś wystarczająco dużo, żeby nie opowiadać takich rzeczy... Ale mimo wszystko musimy cię zabrać na jakieś dwa tygodnie. Treningi już skończyliście, a jeździć z Amerykanami po kraju nie musisz, sami dadzą sobie radę. Wyjdzie ci to tylko na zdrowie. Sam wiesz, jak wygląda gruzińska gościnność... Słowem, likwiduj swoje sprawy...

— Łatwo ci mówić — warczy Siedow. — Muszę przecież pojechać na wieś do matki...

— Do matki możesz pojechać — ucieszył się Zorin. — Mleczka sobie popijesz, pospacerujesz...

Siedow wzdycha i macha ręką.

Sala operacyjna Instytutu Badań Kosmicznych. Trzy szeregi ustawionych amfiteatralnie stołów—pulpitów otaczają szerokim łukiem ścianę z niezliczonymi ekranami i tablicami świetlnymi. Lada moment zacznie się normalna „dziesięciominutówka”, wspólna narada radzieckich i amerykańskich służb, odpowiedzialnych za przygotowanie wyprawy na Marsa.

Robota dość żmudna i monotonna, w której śladów romantyki mogą doszukać się tylko początkujący w zawodzie absolwenci wydziału dziennikarstwa. Z wyrazem senności na twarzy wchodzi do sali członek Akademii Nauk, Iłja Djicz Zujew. Podaje rękę generałowi pułkownikowi Wincentemu Kiryłowiczowi Samarinowi, wita się z kosmonautami i operatorami przy pulpitych, na których stoją tabliczki: „Dyżurny balistyk”, „Dyżurny KMB” (Kontrola medycznobiologiczna), „NASA”, „Bajkonur”, „Canaveral”, „Służba Słońca”, „Mir-4”. Zujew leniwym ruchem zdejmuje marynarkę i wiesza ją na oparciu krzesła. Dziewczyna w białym fartuszkowi stawia przed nim filiżankę czarnej kawy.

— Dziękuję — mówi Zujew, upija łyk kawy i zerka na wielką tablicę świetlną zegara cyfrowego. Jest 8.59. Mówi głośno, zwracając się do całej sali: — Zaczynamy, towarzysze! Słuchamy Houston...

Zapłonął wielki ekran, na którym, niczym w zwierciadle, odbiła się dokładnie taka sama sala, z tą tylko różnicą, że tabliczki nad pulpitymi były angielskie, a na miejscu Zujewa siedział Michael Cateway, szef amerykańskiej części projektu.

— Dzień, dobry, mister Cateway — mówi wesoło Zujew. — Prosimy o potwierdzenie startu statku transportowego nr 47.

— Start nastąpił o 19.41.05 czasu uniwersalnego. U nas wszystko w porządku.

— O.K.! — mówi Zujew. — Prosimy o potwierdzenie ze stacji orbitalnej.

Na innym ekranie rozbłyska nowy obraz: dwóch mężczyzn w lekkich dresach w kabinie dyspozycyjnej stałej stacji orbitalnej „Mir-4”.

— Tu „Mir-4”. Start o 19.41.05. Przyjeliśmy. Radioiarnie zaczynają pracę na zbliżenie zgodnie z sygnałem transportowca. „47” cumuje do trzeciej platformy, zgodnie z waszym życzeniem.

— W porządku — mówi Cateway. — Proszę o zapasowy kanał łączności.

— Chwileczkę — odpowiada stacja. Jeden z mężczyzn siedzących za pulpitem nagle unosi się, leci pod strop i wraca na miejsce z dziennikiem pokładowym w rękę. — Wasze zapasowe pasmo od 112,34 do 112,73.

— Czy są jakieś pytania do bazy w Houston? — pyta Zujew.

— Pytanie do doktora Righta — mówi po angielsku Lennon, siedzący przy pulpicie opatrzonym tabliczką „Łączność z załogą”. Na ekranie pojawia się nowa twarz. To Right, konstruktor układów orientacji przestrzennej „Mayflower’a”.

— Halo, Mielcie! Potrzebuję informacji na temat erozji próżniowej powierzchni optycznych fotonowielaczy — mówi Lennon.

— Obliczenia dostaniecie dziś po kolacji — odpowiada Right.

— A wcześniej się nie da

— Po naszej kolacji — uśmiecha się Right. — U was to będzie po śniadaniu.

— O.K.

— Słuchamy teraz „Służby Słońca” — przerywa im głośno Zujew.

— Tu Krym — rozjarza się ekran. Przystojna, mocno opalona kobieta zaglądając do notatek mówi tonem nauczycielki klas pierwszych szkoły podstawowej:

— Mówiliśmy już o tym w nocy, a teraz powtarzamy dla wszystkich. Ze względu na rozbłyski chromosferyczne załoga „Gagarina” musi zawiesić pracę w otwartym kosmosie od godz. 11.00 do 14.00. Prognoza na najbliższą dobę...

W głośnikach narasta ostry gwizd, przechodzący gwałtownie w niskie, przeciągłe dudnienie. Obrazy na ekranach falują, jakby je ktoś siedzący z tyłu wściekle szarpał i rozdzierał. Trwa to zaledwie parę sekund, a potem wszystko wraca na swoje miejsce.

— O co chodzi? Kto odpowiada za łączność?! — krzyczy Zujew poirytowanym głosem.

Znad pulpitu „Dyżurny łączności” młody inżynier, zmieszany i zaczerwieniony, mówi lekko się jękając:

— U nas jest wszystko w porządku, Iljo Iljiczu... Amplituda...

— To się nazywa w porządku?! Nie interesują mnie amplitudy. Nie możemy normalnie porozmawiać z Krymem, a zamierzamy utrzymywać łączność z Marsem! Pytam, jak długo to jeszcze będzie trwało?

— Iljo Iljiczu — zaczyna inżynier, ale Zujew natychmiast mu przerywa:

— Co to za zakłócenia? Skąd te zakłócenia? Kto nam przeszkadza? Trzeba go odnaleźć i przykładowo ukarać!

— Sądzę, że są to zakłócenia o pochodzeniu jonosferycznym...

— Młody człowieku, ja tymi sprawami zajmuję się już prawie od czterdziestu lat — Zujew ze złością rzuca na pulpit białe słuchawki — i jakoś dawniej jonosfera nikomu nie przeszkadzała. Zażądam utworzenia specjalnej komisji. Najwyższy czas skończyć z tym bałaganem! Brak nam podstawowej dyscypliny i elementarnej kultury pracy!

— Nie rozumiem? — pyta przystojna dyżurna krymskiej „Służby Słońca”.

— To was nie dotyczy...

Cateway zimnym głosem pyta po rosyjsku, z silnym obcym akcentem:

— Mister Zujew, kiedy wasza służba nadawała prognozę aktywności słonecznej, u nas nastąpiło zakłócenie w łączności. Co to znaczy?

— U nas też były zakłócenia, ale jeszcze nie wiem, co to znaczy. Zbadamy to i wyjaśnimy...

— Ale to nabiera cech regularności...

— Proszę mi wybaczyć, ale z równym powodzeniem mogę zgłaszać podobne pretensje wobec Houston.

— U nas jest wszystko w porządku.

— I u nas jest wszystko w porządku. Powtarzam, zbadamy sprawę. Na czym to stanęliśmy? Prognoza na najbliższą dobę. Proszę Krym.

— Przewidujemy aktywność w normie. Oczekiwana dawka promieniowania do 11 miliradów na dobę — mówi dobitnie opalona dyżurna.

— To wszystko? — pyta Zujew.

— Wszystko.

— Wobec tego proszę przygotować mi dane na temat aktywności Słońca podczas naszej rozmowy, bo tu niektórzy zwalają własne błędy na jonosferę. — Zujew zerka złym okiem na młodego inżyniera przy pulpicie „Dyżurnego łączności”. — Czy „Gagarin” wie o zakazie pracy w otwartym kosmosie? — pyta zwracając się do jednego z ciemnych ekranów.

Milczenie.

— Wzywam „Gagarina”! — mówi niecierpliwie Zujew.

— Na „Gagarinie” przespali seans łączności — szepcze Leżawa do Razdolina.

Kosmonauci, oprócz dyżurującego Lennona, siedzą w wygodnych fotelach, na których zazwyczaj sadza się „Bardzo Ważne Osobistości”, chętnie odwiedzające ośrodek, zwłaszcza wtedy, gdy istnieje całkowita gwarancja powodzenia jakiegoś eksperymentu kosmicznego.

— Wzywam „Gagarina”! — skanduje głośno Zujew, bębniąc piórem o pulpit.

Ekran zapala się:

— Proszę nam wybaczyć, Iljo Iljiczu! Mamy tu...

— Co tam znów macie? Bez przerwy jakieś niespodzianki! Też „amplitudy”?

— Ależ nie, nic podobnego — uśmiecha się z ekranu zmieszany kosmonauta.

— Zakaz pracy na zewnątrz statku odebraliście?

— Tak. Nie mamy zresztą w planie żadnych prac w otwartym kosmosie. Wszystkie badania i próby statku przebiegają zgodnie ze standardowym harmonogramem. Kontrole awaryjnego systemu łączności zakończyliśmy dziś o 6.35. Żadnych uwag nie mamy. — I kończy nieoficjalnym tonem: U nas wprawdzie wszystko w porządku, ale... — Mówiąc to patrzy gdzieś w bok.

— Co tam się u was dzieje? Wyduście wreszcie! — mówi z niezadowoleniem Zujew.

— Zbiesił się nam wentylator bateryjny. Lata po całym statku i nie możemy go złapać...

— Siatką go, drania! Siatką! — krzyczy Razdolin.

— Jaką siatką? — pyta zdumionym głosem człowiek z ekranu.

— Na motyle.

Wszyscy się śmieją.

— Dlaczego Saszy tak długo nie ma? — pyta Redford pochylając się ku Leżawie.

— Nie znasz lekarzy? Nasi wcale nie są lepsi od waszych — odpowiada Anzor.

Ponownie rozjarza się ekran krymskiej „Służby Słońca” i ta sama przystojna opalona kobieta melduje swym „pedagogicznym” głosem:

— Według naszych obserwacji nie mogły wystąpić zakłócenia łączności wywołane aktywnością Słońca.

— Tak — mówi Zujew. — Dziękuję. Będziemy szukać. I znajdziemy! — wykrzykuje bijąc pięścią w pulpit, aż podskakuje filiżanka po kawie...



## 20 MAJA. WTOREK. OKOLICE MOSKWY

W gabinecie roboczym „bloku marsjańskiego” Instytutu Badań Kosmicznych przy stołach zawalonych wykresami i dziennikami pokładowymi siedzą Redford i Lennon. Wchodzi Steinberg, najwyraźniej czymś zatroskany, co zresztą nie przeszkadza mu żuć gumy.

— Musimy pogadać, boys — mówi ponurym tonem, podchodząc do stołu Allana.

— Teraz? — Redford podnosi głowę.

— Tak będzie najlepiej...

Lennon wstaje od swojego stołu i wolno podchodzi do nich.

— Masz jakieś kłopoty, John? — pyta Steinberga.

— Można to i tak określić. — Steinberg wypluwa gumę i przykleja ją do stołu. — Rozmawiali ze mną chłopcy z naszej służby bezpieczeństwa i prosili, żebyśmy trochę poniuchał.

— A o co chodzi? — pyta Redford.

— O to na przykład, co Rosjanie wyprawiają z łącznością.

— A co oni wyprawiają z łącznością? — pyta Lennon nie patrząc na nikogo.

— Ostatnio regularnie zakłócają łączność ośrodka w Houston, blokują nasze urządzenia telemetryczne. Silne zakłócenia występują nawet na najkrótszych falach, co prowadzi do zafałszowania i całkowitej utraty obrazu w kanale wizyjnym. Z początku Rosjanie usiłowali nas przekonać, że winne jest Sionce, zwalali wszystko na jonosferę. Naiwne tłumaczenie, bo to przecież można bardzo łatwo sprawdzić. Nasi technicy w Houston naturalnie sprawdzili i okazało się, że to wszystko lipa. Jest oczywiste, że nas zagłuszają, zagłuszają nawet systemem obrony przeciwrakietowej. A to, jak sami się domyślacie, przestaje być dowcipne...

— Jak można przypuszczać, że oni to robią umyślnie, skoro te zakłócenia blokują również ich własną łączność? — pyta Redford.

— No, może chcą sobie w ten sposób zapewnić alibi — Steinberg wzrusza ramionami. — To zupełnie co innego, kiedy się wie, że nastąpi przerwa w łączności, a co innego, gdy taka przerwa zaskakuje...

— Słuchaj, Allan — wtrąca się Lennon. — Nawet jeśli nie jest to robione umyślnie, jeśli oni naprawdę nie mogą wykryć przyczyny tych zakłóceń na Ziemi, to jak poradzimy sobie z nimi na orbicie?

— Zastanawiam się nad czymś innym — dorzuca Steinberg. — Jaka rolę mamy odegrać na orbicie, skoro tutaj, na Ziemi, Rosjanie rzeczywiście prowadzą jakąś podwójną grę...

— John, jak ci nie wstyd! — mówi ostrym tonem Redford.

— A niby dlaczego muszę wszystkiemu wierzyć?! — wybucha Steinberg. — Zastanów się, ty idealisto! Wierzysz wszystkim tym umowom, protokołom i innym podobnym papierkom. A wiesz, jak to się u nich nazywa? Świstek!

— Co to jest? — pyta Redford.

— Trickery przekłada beznamiętnie Lennon.

— Chłopaki ze służby bezpieczeństwa chcą, żebyśmy wyniuchali tutaj, jakie to są zakłócenia i dlaczego Rosjanie kręcą — cicho już, ugodowo mówi Steinberg.

— Jestem generałem brygady lotnictwa wojskowego Stanów Zjednoczonych — głucho, lecz twardo odpowiada Redford. — Byłem cztery razy w kosmosie i po prostu nie zdążyłem przejść przeszkolenia szpiegowskiego. Powiedz swoim chłopakom, że nie mam kwalifikacji do wykonania ich polecenia...

— Słuchaj, Allan, kto tu mówi o szpiegostwie? — oponuje zmieszany Steinberg.

— A co wobec tego znaczy wyniuchać?

— Może po prostu spytać i zobaczyć, jak oni na to zareagują — wyjaśnia Lennon, Redford zamyślił się, a potem gwałtownie wstał.

— Zgoda. Idziemy.

W ogromnej hali montażowej, gdzie pod wysokim stropem zawsze rozbrzmiewają odgłosy krzątania i dudniące echa, stoi statek marsjański „Gagarin”, dokładna kopia pojazdu, którego próby kończą się obecnie na przystani stacji orbitalnej „Mir-4”.

Konstrukcja ta, rozmiarami zbliżona do wielkości statku pełnomorskiego, wyglądem swym nie przypomina niczego, co człowiek dotychczas znał. „Gagarin” zmontowany na orbicie będzie latał jedynie w próżni kosmicznej, dlatego jego projektanci nie musieli troszczyć się o zwartość konstrukcji i nadanie statkowi kształtów aerodynamicznych. Próżnia i nieważkość wytworzyły nowy styl, zrodziły niemożliwą do zrealizowania w warunkach ziemskich architekturę międzyplanetarną, w której po raz pierwszy nie trzeba było szukać kompromisów między racjonalizmem a swobodą rozwiązań.

Cały statek opleciony jest przewodami energetycznymi, kablami łączności, węzami zasilającymi, otoczony pulpitemi sterowniczymi i całym mrowiem przyrządów. Stanowi on jądro pozornego laboratoryjnego chaosu, który może wydać się chaosem jedynie laikowi, gdyż dla fachowca pełen jest surowej logiki, wzorem celowości.

Opodal statku za przenośnym pulpitem siedzi na okrągłym obrotowym taborecie Leżawa z teką dokumentów w rękach. Przekłada je, tasuje, wyciąga spinacze i spina dokumenty w innych kombinacjach. Obok grzebią się w papierach Siedow i Razdolin. W rozkładzie zajęć cała ta kancelaria nosiła nazwę „Pracy nad dokumentacją”. Teraz jednak, kiedy zjawili się Amerykanie i nieoczekiwanie rozpoczęli tę rozmowę o przerwach w łączności radiowej, wszyscy naturalnie odłożyli swoje papierki. Pretensje Amerykanów były tak zaskakujące, że Razdolin początkowo nie wiedział, jak na nie zareagować.

— Jestem geologiem i zupełnie się na tym nie znam — powiedział zmieszany.

— Ja również nie jestem specjalistą w dziedzinie łączności, ale nie trzeba być fachowcem, żeby zorientować się, że ktoś robi z ciebie durnia — rzucił ostrym tonem Steinberg.

— Chyba niepotrzebnie poruszyliśmy tę sprawę — powiedział ugodowo Lennon.

— Jak w ogóle mogłeś coś podobnego pomyśleć! — Leżawa napada na Steinberga z całym swym gruzińskim temperamentem. — Uważasz, że robimy z ciebie durnia?!

— Cicho, panowie! Cicho — przywołuje ich do porządku Siedow. — Allan, jestem ci wdzięczny za to, że zwróciłeś się do nas ze swymi wątpliwościami. Chciałbym, żeby również w przyszłości wszystkie niedopowiedzenia między nami były rozstrzygane w ten właśnie sposób. Rzeczywiście nie wiem, co się dzieje z łącznością. Daję ci na to słowo honoru. Uważam, że trzeba zapytać o to Zujewa.

Popatrzył pytająco na przyjaciół. Anzor energicznie kiwnął głową.

— Idziemy — powiedział Razdolin. Amerykanie nie spodziewali się takiego posunięcia.

— Ale czy Zujew znajdzie teraz dla nas chwilę czasu? — powiedział powątpiewająco Lennon.

— Uważam, że nas przyjmie — odparł Siedow.

Szli długimi korytarzami Ośrodka Marsjańskiego, mijali niezliczone drzwi, za którymi pracowały setki ludzi. Ludzie ci pracowali dla nich, dla tej szóstki: kreślili, liczyli, myśleli i niepokoiłi się o nich, chociaż większość załogi ośrodka nigdy nie widziała żadnego z kosmonautów. Robota nagliła i nie było czasu na zaspokajanie własnej ciekawości.

Redford zatrzymał się na chwilę przy automacie z wodą sodową, wyjął z kieszeni monetę i zaczął szukać otworu, do którego mógłby ją wrzucić. Siedow nacisnął guzik i woda popłynęła do aluminiowego kubka. Redford wziął kubek, który okazał się przykuty do automatu cieniutkim

stalowym łańcuszkiem. „Tak, czasami istotnie trudno jest zrozumieć Rosjan” — pomyślał, odstawiając lekko pogięty kubek na myjkę urządzenia.

Wreszcie podeszli do sekretariatu Zujewa. Przed chwilą zakończyła się kolejna narada techniczna i jak zawsze po tego rodzaju zebraniach na korytarzu pod drzwiami sekretariatu i w samym sekretariacie kłębili się ludzie. Jedni z nich oburzali się, inni zdumiewali, inni wreszcie wyraźnie się cieszyli z wyników narady. Kosmonauci przedarli się do drzwi gabinetu przez zadymiony sekretariat, w którym zewsząd słychać było podniecone głosy.

— Byłem przekonany, że Ilja Iljicz nas poprze, bo tylko ślepy nie zauważy, że urządzenie przestaje pracować, jeśli przechył przekracza 8 stopni...

— Czemu się oburzacie? — To już inny głos. — Zujew ma rację. My tu zostaniemy na zielonej trawce, a oni muszą dwa lata lecieć...

— Czy Walery Pietrowicz zdąży czy nie zdąży, to nie jest temat do dyskusji. Zmuszą go do tego, żeby zdążył...

— Może ja się nie znam na technologii, bo przecież to nie moja specjalność, ale dlaczego nie można było wszystkiego zawczasu przewidzieć? Dlaczego Amerykanie niczego nie przerabiają?!

— Przerabiają — rzuca w przelocie Redford. — Bardzo często przerabiają!

— Nie sądzę! — wykrzykuje oburzony dyskutant, nie odwracając nawet głowy.

— Pan nie sądzi, a ja jestem Amerykaninem i wiem — odpowiada dowódca „Mayflowera”.

Sześciu kosmonautów wchodzi do gabinetu, na którego drzwiach widnieje malutka tabliczka: „Członek Akademii Nauk I. I. Zujew”.

Duże biurko z pulpitem selektora. Mała tablica z różnokolorowymi kredami i gąbką. Drewniane uchwyty do zawieszania rysunków technicznych i tablic. Wielki stół konferencyjny ze stojącymi na nim niklowymi ciężarkami, którymi przyciska się arkusze kalek i bristolu. Globusy Ziemi, Księżyca i Marsa. Makieta statku międzyplanetarnego „Gagarin” i przestrzena podobizna amerykańskiego ładownika „Mayflower”. Na ścianach dwa portrety: Ciołkowskiego i Korolewa.

Zujew siedzi za biurkiem, a w fotelu obok niego Siedow. Lennon przysiadł na bocznym oparciu sąsiedniego fotela. Razdolin kręci globus marsjański, Redford z rękami skrzyżowanymi na piersi stoi pod oknem, a Leżawa bezszelestnie przechadza się po dywanie, strzelając palcami rąk. Tylko Steinberg w pozie grzecznego ucznia siedzi przy wielkim stole konferencyjnym.

Wszyscy milczą. Zujew zdejmuje okulary, przeciera oczy, zakłada je z powrotem, wstaje i mówi zwracając się do Siedowa:

— A w ogóle to oni mają rację. Rzeczywiście kręcimy...

Kosmonauci nie oczekiwali takiej odpowiedzi i teraz siedzą w milczeniu, nie spuszczać oczu z Zujewa.

Szef programu kosmicznego ponownie siada za biurkiem i zwracając się już do wszystkich, mówi:

— Tak, kręcimy. Kręcimy, bo wstydzimy się powiedzieć prawdę. Liczyłem się z wieloma rzeczami, wielu niespodzianek oczekiwałem, bo istotnie mieliśmy do rozwiązania masę różnych trudności, ale żeby potknąć się na łączności!... To przecież podstawowa rzecz! Zamęczyliśmy astronomów, Instytut Atmosfery, powołaliśmy trzy komisje radiowców, konsultowaliśmy się z Ministerstwem Obrony i nikt niczego nie potrafi rozsądnie wytłumaczyć...

— Ale to przecież niemożliwe — wzrusza ramionami Lennon.

— Właśnie! — wykrzykuje Zujew.

— Nie wierzę w duchy, mister Zujew — mówi ironicznie Steinberg, — Nie chciałbym również uczestniczyć w wyprawie, której łączność nie zależy od naszego Ośrodka Dyspozycyjnego w Houston.

Zujew patrzy mu prosto w oczy i mówi wolno:

— Doskonale pana rozumiem i nie nalegam. Przygotowałem się do spotkania z ludźmi, którzy postarają się zrozumieć moje kłopoty. Nie chciałem rozmawiać z wami na ten temat, zanim sam nie wyrobię sobie poglądu na to, co się dzieje. Jest to kwestia prestiżu naukowego. Ale skoro doszło do tej rozmowy...

— Słuchaj, Allan — zwraca się Siedow do Redforda. — Czy nie sądzisz, że to dyskusja nie na temat?

— Chyba masz rację — odpowiada Redford.

— Czy przynajmniej wiadomo, gdzie znajduje się źródło zakłóceń? — pyta Siedow.

— Przestań skrzypieć — szepcze ze złością Leżawa do Razdolina, który zatrzymuje wirujący marsjański globus.

— Źródło jest atmosferyczne, a właściwie nawet pozaatmosferyczne, bardzo silne, aperiodyczne, z niezmiernie szerokim i nieostrym widmem częstotliwości...

— Może to jakiś pulsar? — pyta Razdolin bez przekonania.

Lennon śmieje się niewesoło. Na czym jak na czym, ale na pulsarach się zna.

Redford gwałtownie odwraca się do niego i wykrzykuje po angielsku:

— Przestań, Michael!

Potem podchodzi do biurka Zujewa.

— Nie chcielibyśmy, żeby wam... został, jak to będzie?... — denerwuje się i nie może znaleźć właściwych słów. — Został... mud... Jak to będzie po waszemu? — patrzy błagalnie na Razdolina.

— Nieprzyjemny osad — domyśla się Razdolin i natychmiast podpowiada po angielsku:

— We would not like you to have unpleasant memories...

— Tak, tak — przytaknął Redford.

— W porządku — odpowiada Zujew bez uśmiechu.

— Jeśli cokolwiek się wyjaśni, proszę nas zawiadomić — mówi Lennon.

— Obiecałem to już rano Catewayowi. Chciałbym to zrobić jak najwcześniej...

## 12 CZERWCA. CZWARTEK. WIEŚ KALIKINO

Skrajem rzadkiego lasu, między polami i łąkami wije się droga gruntowa, którą jedynie na mapach samochodowych nazywa się „szosą”. W zakurzonej gaziku obok kierowcy, młodego rozczochranego chłopaka w kraciastej koszuli, siedzi Siedow, oparty o metalową poręcz. Oczy ma zamknięte, ale nie wiadomo, czy zmrużył je osłepiony słońcem czy też drzemie znużony drogą...

Wczesny ranek na wsi. Z nizin wypelza mgła, ale słońce przebija się przez nią, wygląda spoza gęstego świerkowego lasu. Siedow wybiega z chaty rozebrany do pasa, w zawiniętych do kolan spodniach od dresu. Oblał się z wiadra zimną, studzienną wodą, wstrząsnął się, niedbale wytarł starym ręcznikiem i ostrożnie stąpając białymi, delikatnymi, „miejskimi” bosymi nogami po mokrej od rosy trawie podszedł do obórki, wziął starą kosę, wyszedł na łączkę za domem i zaczął kosić.

...Przy ognisku stoi rozsiodłany koń. Odblaski płomienia kładą się na jego boki, na Siedowa, na chłopców, którzy wypędzili konie na nocne pastwisko i teraz spokojnie siedzą wokół ognia, czekając, aż dopieką się kartofle, i z ciekawością zerkają na milczącego kosmonautę. Twarzy niemal nie widać, gdyż ogień raczej zaciera ich rysy, zamieniając je w tragiczne maski. Siedow rozgrzebał patykiem gorące węgle i wybiera z popiołu parujące bulwy. Nie czekając, aż ostygną, kruszy je w palcach i dmuchając na poparzone dłonie wrzuca do ust kawałki kartofla.

...Siedow rzucił się do ciepłej, atramentowoczarnej wody i nurkując dotarł niemal do dna, znieruchomiał w gęstej, absolutnej ciemności...

— Towarzyszu generale, przyjechaliśmy — kierowca ostrożnie dotknął ramienia Siedowa.

Na skraju wsi stał niewysoki łuk, który miejscowy artysta najwyraźniej skopiował z paryskiego Łuku Triumfalnego. Na całą szerokość bramy rozciągał się czerwony transparent z napisem: „Serdecznie witamy naszego drogiego ziomka, bohatera Kosmosu, towarzysza Aleksandra Matwiejewicza Siedowa!”

Pod bramą triumfalną zebrali się już wszyscy rejonowi i kolchozowi notable, przestępowali z nogi na nogę członkowie amatorskiej orkiestry pod dyrekcją Lubow Timofiejewny, kierowniczkę miejscowego klubu. Dyrygentka uniosła rękę do góry, opuściła ją energicznie i orkiestra huknęła jakąś uroczystą melodię.

Siedow ciężko westchnął i wysiadł z samochodu. Podeszły do niego wystrojone dziewczęta z chlebem i solą. Pionierzy wręczyli mu bukiet kwiatów. Towarzysze z komitetu rejonowego rozpoczęli przemowę. Siedow tymczasem szukał oczyma matki. Miała na sobie nową bluzkę, którą kupił jej w Sao Paulo, i śnieżnobiałą chustkę...

I oto już siedzą przy długim stole, uginającym się od jadła i napojów, a towarzysz z zaczerwienioną twarzą wygłasza długi toast. Siedow prawie go nie słyszy, gdyż wokół krzątają się i rozmawiają nieznanymi ludziami, dzielący go od siedzących na przeciwległym krańcu przyjaciół, krewnych i sędziwej nauczycielki Nadieždy Iwanowny...

Aleksander Matwiejewicz je obiad wraz z matką i dwoma bratankami. W kącie pokoju świeci niebiesko ekran telewizora. Idzie akurat program dla dzieci i bratankowie nie wiedzą, gdzie patrzeć, na ekran czy na stryjka.

— Szura, zapomniałam ci powiedzieć — mówi matka, dokładając kiszonej kapusty na talerz syna. — Rano, kiedy jeszcze spałeś, przyszli do ciebie pionierzy. Powiedziałam im, żeby wpadli po obiedzie. Wszystkie twoje fotografie już dawno ode mnie wyciągnęli i teraz chcą cię zobaczyć żywego!

— Do pionierów mogę się wybrać — powiedział Siedow. — Oni przynajmniej nie zmuszają do picia...

Nieoczekiwanie obraz na ekranie telewizora drgnął, rozpadł się na wąskie pasma i zniknął, a z głośnika rozległ się ogłuszający, przenikliwy ryk. Siedow podszedł szybko do aparatu i przekręcił potencjometr. Po kilku sekundach równie nieoczekiwanie obraz powrócił. .

— Nie mogę jakoś uregulować — westchnęła matka. — Codziennie ryczy jak wściekły. Czasami tak wrzaśnie, że wszystko człowiekowi leci z rąk. Nasza Luba, która kieruje klubem, dzwoniła do rejonu i skarżyła się na to. Odpowiedzieli jej, że wiedzą i niedługo naprawia... U was pewnie w Moskwie czegoś takiego w telewizorach nie ma...

— Mamo, muszę już jechać — powiedział cicho Siedow.

## 1 SIERPNIĄ. PIĄTEK. TBILISI

Dom Anzora Wachtangowicza Leżawy stoi u podnóża Mtacmindy. Obszerne mieszkanie z wielką oszkloną werandą wychodzi na zbocze góry, gdzie w gęstej, kędzierzawej zieleni kryje się wielka, hałaśliwa i droga restauracja, do której Anzor za żadne skarby świata nie chciał zaprowadzić swoich gości, przekonując ich, że prawdziwe gruzińskie przyjęcie można urządzić jedynie w domu.

Kilku przyjaciół Anzora stoi wokół wielkiego, pięknie nakrytego stołu, podczas gdy jego żona i siostra Lija krzątają się w kuchni, przyrządzają barani udziec, szaszłyki i kurczęta tabaka, kończąc przygotowania, na które nawet najlepszym gospodyniom zawsze zabraknie przynajmniej kwadransa.

Trzy malutkie dziewczynki, córki Anzora, wystrojone z okazji przyjęcia siedzą cichutko w kąci, zmęczone po trzech dniach nieustannych ćwiczeń w grzecznym dyganiu i na śmierć przerażone wykładami mamy i ciotki, które uczyły je prawideł dobrego tonu.

Nareszcie rozlega się dzwonek u drzwi. Cała piątka kosmonautów wpada do mieszkania i po nieuniknionym zamieszaniu siada wreszcie za stołem.

Anzor mówi cicho po angielsku, że jeśli którykolwiek z toastów wznoszonych przez tamadę będzie można pominąć, da znak, kładąc palec na krawędzi kielicha.

Rozpoczyna się gruzińska uczta. Tamada mówi długo i kwieście. Po każdym jego toaście goście patrzą z nadzieją na Leżawę, ale Anzor ani razu nie daje im umówionego znaku. Lekko się czerwieni i rozkłada ręce. Steinberg po każdym wypitym kielichu stawia długopisem „ptaszka” na białej, papierowej serwetce, na której widać już całe stado tych „ptaków”.

Przy stole jest bardzo wesoło i Tamada z największym trudem zmusza gości do słuchania swych oracji.

— Podczas gdy my tu bawimy się i radujemy — mówi — nasz przyjaciel i towarzysz Aleksander Matwiejewicz Siedow jęczy na torturach, zadawanych mu przez lekarzy. Jest nam niewymownie przykro, że nie ma tu tego wspaniałego człowieka. Proponuję wypić toast za jego zdrowie, za to, aby wyszedł zwycięsko ze wszystkich prób na Ziemi, żeby podołał wszystkim przeciężeniom w kosmosie!

Redford wstaje z kielichem w ręku, za nim powstają pozostali.

— Zauważyłem już — mówi Redford — że w Gruzji jest zwyczaj uzupełniania toastów. Chcę więc powiedzieć parę słów na temat Saszy. Cieszę się niezmiernie, że go spotkałem, i bardzo chciałbym razem z nim pracować...

Noc w mieszkaniu Leżawy. W sypialni, na kanapie w saloniku, w gabinecie ojca i na szerokim tapczanie na tarasie śpią goście, których Anzor nie puścił do hotelu.

Lija wraz z żoną Anzora cicho, starając się nie brzęczeć naczyniami, sprzątają ze stołu. Podchmielony Anzor usiłuje im pomagać. Kobiety próbują go namówić, aby poszedł spać, ale on czeka na ojca, którego jeszcze nie widział i z którym koniecznie „musi wypić odrobinę wina”. Ojciec Anzora jest majstrem zmianowym w walcowni blach w hucie żelaza. Wreszcie na dole pod tarasem cicho szcękają drzwi samochodu i do pokoju wchodzi Wachtang Georgiewicz. Całuje syna, myje się, a potem cicho, zerkając na drzwi, za którymi śpią goście, siada przy stole i nalewa wina.

— No, opowiadaj, co nowego, kosmonauto...

— Cicho, oni dopiero co zasnęli — odpowiada Anzor. Cała ich dalsza rozmowa toczy się szeptem. — Nawet nie wiem, od czego zacząć. Jeszcze zanim przyjechali Amerykanie, powzięto decyzję o przeprowadzeniu badań biologicznych. Kiedy referowałem tę sprawę na naradzie, początkowo wszyscy podnieśli wielki krzyk, bo obecnie interesują się wyłącznie przerwami w łączności i biologia nikogo nie obchodzi. Zujew jednak natychmiast wszystkich przywołał do porządku i całkowicie mnie poparł. Obliczyłem koszty i podałem je, a Zujew na to: „Leżawa potrzebuje siedmiu milionów i musimy te pieniądze mu dać. Bo tak trzeba...”

— Ile?! — wykrzyknął ojciec.

— Siedem milionów. Tak. Zapłacimy, powiada, skoro potrzeba.

— A ty jesteś przekonany, że potrzeba?

— Naturalnie. Sam tylko analizator fotosyntezy kosztuje...

— Czekaj. Wyobrażasz sobie, co to jest siedem milionów?

— Wyobrażam sobie. Przecież ci tłumaczę! Analizator...

— Nie, nie wyobrażasz sobie! — Wachtang Georgiewicz podniósł głos, Anzor zamachał na niego rękami, więc znów obniżył głos, do szeptu: — Widzę, że was, młodych, socjalizm rozpieścił, co mówię: rozpieścił, zdemoralizował. Tak, tak, właśnie zdemoralizował. Własnych pieniędzy nie mieliście i nie macie, więc nie potraficie ich liczyć. A pieniądze państwowe to dla was cyferki i papierki! Milion, miliard! Potraficie wymawiać takie liczby bez zmruczenia oka. A porządny człowiek już przy liczbie „tysiąc” powinien się mocno zastanowić.

— Niby dlaczego?! Przecież ja tych pieniędzy nie kradnę!

— Nie, nie kradniesz. Gorzej, ty ich nie czujesz. Za to twoi koledzy — gestem głowy wskazuje pokój, gdzie śpią Amerykanie — bebeczami czują każdego dolara. „Siedem milionów”!

— Słuchaj, tatusiu, to jest ogromny program. Analizatory metabolizmu, obserwacje ekologiczne, szereg problemów z dziedziny ochrony środowiska naturalnego...

— Co ty będziesz mi mydlił oczy swoim środowiskiem! Nie waz się mnie straszyć! Czytałem niedawno w jakimś czasopiśmie, że w Niemczech już w XVIII wieku tacy sami panikarze jak ty stwierdzili, że dym z kominów fabrycznych wytruje wszystkich ludzi. Nie będę się spierał o to, że potrzebne są filtry, że rozmaitych paskudztw nie należy spuszczać do rzeki. Ale siedem milionów! Za te pieniądze można wybudować jeszcze jedną walcownię!

— Ojcie, wstyd mi za ciebie! Jesteś przecież działaczem państwowym, deputowanym... Jaka znów walcownia? O czym ty mówisz?

— Tak, jestem działaczem państwowym i staram się myśleć właśnie jak działacz! Za siedem milionów mogę zbudować walcownię blach cienkich i z tej blachy będą później puszeki. Do puszek w fabrykach ludzie włożą soki, dzemy, owoce, mięso, mleko. — Wachtang Georgiewicz wściekle wymachuje rękami, chwytając ze stołu różne potrawy. — A ty przecież wiesz, że puszek brakuje, że tu, w Azerbejdżanie, gniją oliwki, a na Ukrainie nawet prosięta nie chcą już żreć jabłek. Jestem hutnikiem i nikt mi za oliwki głowy nie urwie, ale jestem także obywatelem, który doskonale rozumie, że głupio jest kupować zagraniczną oliwę, a jednocześnie marnować własne oliwki. Oto, po co mi jest potrzebne siedem milionów!

— Rozumiem. Powiedziałaś prawdę i twoje oburzenie jest szczere. Ale twoja prawda jest malutka. Krajowi potrzebny jest papier, mówili ludzie podobni do ciebie. Dzieciom potrzebne są elementarze, studentom brakuje podręczników. Mówili tak i wycinali lasy na papier. Dzieci czytały „sosna”, a sosen nie było. Studenci pisali prace dyplomowe na temat erozji gleb i nie wiedzieli, że erozję wywołały ich podręczniki. Hydrologowie przegradzali rzeki, aby uzyskać energię, i powodowali zagładę ryb, osuszali bagna i powodowali załamanie się bilansu wodnego na ogromnych przestrzeniach. Sądziś, że robili to wszystko na złość ludziom? Nie obliczali nakładów i zysków? Nie argumentowali tak jak ty? Mówiąc o przyrodzie, traktowaliśmy ją w



kategoriach arytmetyki, a teraz zrozumieliśmy, że potrzebna jest nawet nie algebra, lecz matematyka wyższa!

— Ojcowie zawsze są głupi...

— Nic podobnego. Po prostu chcesz dziś uratować gnijące oliwki, ja zaś chcę, aby one i jutro rosły na drzewach! Lękasz się, że część plonów się zmarnuje, a mnie potrzeba siedmiu milionów, aby ten plon w ogóle był. Ja też jestem obywatelem tego kraju i mogę ci powiedzieć, że komunizmu nie zbudujemy dopóty, dopóki nie nauczymy się myśleć nie tylko o jutrze, lecz także o przyszłych latach!

Redforda obudził ich głośny szept i teraz uważnie wsłuchiwał się w spór ojca z synem. Rozumiał, co mówią, gdyż rozmawiali po rosyjsku.

— Ojcze, doskonale wiesz, że nikt nie da mi tych milionów dla zaspokojenia moich głupich zachcianek — szepcze Anzor. — Uzasadniłem konieczność wydania każdej kopiejki z tych milionów, udowodniłem, że nie mogę się obejść bez najmniejszej śrubki, którą za nie kupię...

— Znam te wasze argumenty. Jesteś człowiekiem uczciwym, ale zaślepionym, więc nieobiektywnym i potrafisz takich rzeczy nagadać...

— Tatusiu! Zrozum, że im więcej człowiek wie, tym więcej może! Weźmy tę zapalniczkę. Ludzie pierwotni spożytkowali krzemień do wyrobu toporów i noży, potem za pomocą krzemienia krzesali ogień, a teraz ten sam krzemień w postaci półprzewodników używamy do budowy komputerów. Kosmonautyka już dzisiaj służy geologom, meteorologom i rybakom, i jeszcze tysiącom innych ziemskich zawodów!

Anzor krzyczał i wszyscy jego goście dawno się już obudzili. Tylko Steinberg spał jak zabity, ściskając w rękę serwetkę ze swymi „ptaszkami”.

— A przypomnij sobie, co sam mówiłeś — nacierał syn. — Przypomnij sobie, jak razem z dziadkiem kapałeś się w naszej rzece, jak łowiliście w niej pstrągi, jak polowaliście na bażanty pod Tyflisem. Medejka zapytała mnie kiedyś: „Tatusiu, widziałeś kiedyś dzięcioła? Bardzo bym chciała kiedyś zobaczyć dzięcioła...” A ty gadasz o walcowni, o puszkach do konserw...

— A jednak bez puszek i dzięcioł nie sprawi radości — kręci głową ojciec. — Jeśli Medejka nie będzie miała puszek, nie zechce też patrzeć na dzięcioła.

Lija, która wchodząc do pokoju usłyszała ostatnie słowa, wykrzyknęła:

— Powariowali. Jakie puszkki? Jakie dzięcioły? Już siódma. Kładźcie się i pośpijcie przynajmniej ze dwie godziny. Idę na targ. Dom jest wymieciony do czysta, czym nakarmię Amerykanów, kiedy się obudzą?

Głos zza drzwi:

— Amerykanie już się obudzili.

Drzwi otwierają się cicho i do pokoju wchodzi Redford. Ubrany jest w farmerki i jaskrawą letnią koszulę z krótkimi rękawami. Z szacunkiem podaje rękę Wachtangowi Georgiewiczowi i mówi w zadumie:

— Przepraszam, ale słyszałem waszą rozmowę... Nie chodzi o to, który z was ma rację. Może to zabrzmieć dziwnie, ale akurat ta kwestia wydaje się nie mieć najmniejszego znaczenia...

## 8 SIERPANIA. PIĄTEK. TBILISI

Przez poczekalnię dworca lotniczego w Tbilisi przeciskają się zwartą grupką kosmonauci pod przewodnictwem Anzora. Leżawa otwiera drzwi z tabliczką „Pokój dla deputowanych do Rady Najwyższej” i wpuszcza wszystkich do środka. Dywany, wyściełane meble, w kącie włączony kolorowy telewizor, niewielki stół z owocami i winem, trzy kelnerki w wykrochmalonych fartuszkach i koronkowych przepaskach na włosach.

Leżawa rozlewa białe wino do kieliszków.

— Znowu? — pyta z niepokojem Steinberg patrząc na kieliszki i wyjmując z kieszeni długopis.

— Obyczaj uświęcony tradycją — mówi surowo towarzyszący im dystyngowany Gruzin. — Przed daleką podróżą należy wypić róg wina! Nie myśmy to wprowadzili, nie my będziemy zmieniać...

Jego słowa zagłusza ryk telewizora. Steinberg podchodzi do odbiornika, przycisza go i mówi spokojnie:

— Znów to samo. Silne wyładowanie w antenie odbiorczej.

Wycie i zakłócenie obrazu, które zazwyczaj trwało zaledwie kilkanaście sekund, nie znika. Steinberg jeszcze silniej przykręca gałkę wzmocnienia, ale nawet teraz telewizor trzeszczy tak, jakby go najpierw rozżarzone do czerwoności, a teraz polewano wodą. Amerykanin zdumiony patrzy na swych przyjaciół, którzy milczą równie jak i on zaniepokojeni.

W szklanej kabinie wieży kontroli lotów dyspozytor krzyczy do mikrofonu, ale samolot podchodzący do lądowania nie słyszy go, zrywa więc z uszu słuchawki i rzuca je na pulpit.

Gabinet naczelnika lotniska. Dzwoni telefon. Naczelnik podnosi słuchawkę i słyszy coś takiego, co na moment odbiera mu mowę:

— Włodzimierzu Stiepanowiczu, cały system łączności radiowej nie funkcjonuje. Cały!

— Jak to cały?

— Tak, cała łączność przestała funkcjonować. Nie działa łączność dalekosiężna, łączność bliskiego zasięgu, wewnętrzna, pelengatory i nawet telewizory w poczekalniach. Wszystko zdechło, rozumiecie, Włodzimierzu Stiepanowiczu? Jedyne radar na pasie startowym jeszcze dyszy, ale to wszystko.

— Czekaj, przecież wszystko naraz nie mogło się zepsuć, prawda?

— Włodzimierzu Stiepanowiczu, zepsuło się wszystko naraz i na tym polega największy dowcip...

Alarm bojowy. Zapalają się światelka na pulpity sterowniczych podziemnych sztolni międzykontynentalnych rakiet balistycznych i stalowe płyty, osłaniające je od góry, wolno odjeżdżają na bok wraz z całym swoim kamuflażem: drzewami, stogami siana, pasiekami... Następuje błyskawiczna sztafeta krótkich raportów wojskowych, podobnych do siebie jak dwie krople wody, tylko ich kolejni odbiorcy mają coraz więcej gwiazdek i złota na pagonach. Sztafeta kończy się na Kremlu, gdzie mężczyzna w podeszłym wieku, ubrany w skromny szary garnitur, zdejmując słuchawkę z dziwnego białego telefonu, a inny mężczyzna na drugim końcu przewodu również zdejmując słuchawkę i mówi do niej odwrócony ku oknu, za którym widać zielony trawnik i zastęp śmiertelnie poważnych skautów, pełniących wartę wzdłuż niskiego metalowego ogrodzenia.

W owych dniach świat czytał:

„Człowiek nie jest już najważniejszym aktorem na scenie Wszechświata!”

„Tragedia na lotnisku w Dakarze”  
„Statek kosmiczny czy automatyczny szpieg?”  
„Jedenaście statków oceanicznych zaginęło bez wieści”  
„Senator Steinson jest przekonany, że mamy do czynienia z nowym trikiem Moskwy”  
„Boom religijny przynosi Watykanowi codziennie siedem miliardów lirów dochodu”  
„Spisek wymierzony przeciwko rewolucyjnym narodom na całym świecie!”  
„Koniec świata czy początek nowej ery?”

Szok, w który ludzkość została wtrącona tak błyskawicznie i nieoczekiwanie, na szczęście i na chwałę człowieka bardzo szybko ustąpił miejsca energicznym próbom opanowania sytuacji. Wrzaski zaciekłych ekstremistów, bredzących o „umyślnym ataku radiowym”, zostały szybko wyciszone i zdezwuowane wiadomościami, iż gigantyczne zakłócenia nie ominęły ani jednego kraju. W ten sposób zwolennicy rozpętywania hysterii wojennej momentalnie utracili grunt pod nogami. Jednakże świadomość tego, że owe tajemnicze, niezrozumiałe, niejasne co do ostatecznych celów poczynania, których źródło lub ośrodek dyspozycyjny znajduje się poza Ziemią, nikogo nie uspokoiła, lecz wywołała chyba jeszcze większą obawę.

Osiągnięte w ostatnich latach zacieśnienie współpracy międzynarodowej, rozwój kontaktów ekonomicznych i kulturalnych na coraz dalszy plan odsuwało groźby konfliktów zbrojnych. Ludzie na całym świecie zaczęli żyć spokojniej, coraz bardziej pewni jutra. I oto zupełnie nieoczekiwanie zjawilo się nowe realne niebezpieczeństwo, nieporównanie groźniejsze, bo wymierzone przeciw wszystkim. A fakt, że jest to zagrożenie, niemal w nikim nie wzbudzał wątpliwości. Szereg wielkich katastrof transportowych, spowodowanych nagłym zakłóceniem łączności radiowej, wymownie świadczył o wrogości nieznanymi sił.

Astronomowie, zazwyczaj niezmiernie dalecy od bieżących wydarzeń politycznych, zostali niezwłocznie wezwani „na samą górę”, aby wytłumaczyli czynnikom oficjalnym najwyższego szczebla naturę dziwnego zjawiska. Nie potrafili niczego określonego powiedzieć, więc z rozczarowaniem i rozdrażnieniem zostali odesłani do swych obserwatoriów, gdzie badania nie ustawały ani na chwilę i ludzie przez okrągłą dobę nie odchodzili od teleskopów. Praca obserwatoriów cieszyła się zainteresowaniem nie znanym w całej dotychczasowej historii astronomii, dziennikarze i reporterzy telewizyjni dosłownie szturmowali ich mury i ogromne „zasieki” anten dalekiej łączności kosmicznej. Często luźne uwagi poszczególnych uczonych były komentowane dość dowolnie, co powodowało nowe lawiny plotek i pogłosek.

Chcąc nieco uspokoić opinię publiczną, sekretarz generalny ONZ zaprosił na posiedzenie Organizacji Narodów Zjednoczonych najwybitniejszych specjalistów z wszelkich dziedzin astronomii, aby wysłuchać ich opinii na temat powstałej sytuacji. I choć upłynęło już dość wiele czasu od wystąpienia niezrozumiałych, zdumiewających zakłóceń radiowych, żaden z uczonych nie potrafił powiedzieć nic rozsądnego na ich temat. Była to zupełnie wyjątkowa i może jedyna sytuacja w historii nauki. Astronomowie i astrofizycy mogli zażądać od swoich rządów wszystkiego i niezwłocznie wszystko by otrzymali. Ale żądali czasu, a tego akurat nikt im nie mógł dać. Ogromne siły i środki, lawiny słów zużywane były jak na razie zupełnie na próżno.

## 19 SIERPANIA. WTOREK. NOWY JORK

Jako pierwszy zabrał głos Polak, profesor Andrzej Brzozowski:

— Panie i panowie! Przede wszystkim chciałbym przypomnieć fakty, na których wszyscy moi szanowni koledzy opierają swoje hipotezy. Jest to konieczne również dlatego, że w zalewie dezinformacji dosłownie utonęły wiadomości prawdziwe i rzeczowe. Oto fakt numer jeden: nasza planeta, jak wiadomo, poddawana jest ostatnio silnemu napromieniowaniu w widmie częstotliwości radiowych, co prowadzi do poważnych zakłóceń łączności radiowej w nader szerokim zakresie długości fal. To jest bezsporne. Gdzie leży źródło tego promieniowania? Dzisiaj możemy już z wielką dozą prawdopodobieństwa założyć, że to hipotetyczne źródło znajduje się w skali kosmicznej bardzo blisko, gdzieś pomiędzy Ziemią a Księżycem. Ponieważ obserwacje optyczne nie dały jak dotąd żadnych wyników, uważamy, że obiekt ten ma znikome rozmiary. Z drugiej strony, jeśli założyć, że źródłem promieniowania jest jakaś nie znana nam kometa lub inne ciało naturalne, poruszające się po określonym torze, to prawa mechaniki niebieskiej pozwoliłyby Ziemi wyjść ze strefy jego działania w ciągu zaledwie paru godzin. To z kolei daje podstawy do przypuszczenia, że mamy do czynienia z nadajnikiem celowo zorientowanym.

Reakcja sali była gwałtowna. Profesor uniósł rękę i kontynuował, nie czekając, aż na widowni zapanuje spokój.

— Jest całkiem prawdopodobne, że zetknęliśmy się z obcym intelektem, który usiłuje nawiązać z nami kontakt. Próbujemy zbadać obiekt będący źródłem promieniowania i planujemy wystrzelenie w rejon tego obiektu statków bezpilotowych oraz stacji automatycznych. Nie chcemy ryzykować. Tak w największym skrócie wygląda sytuacja i najbliższe zamierzenia na przyszłość. A teraz — zakończył Brzozowski — gotów jestem odpowiadać na pytania.

Przewodniczący uniósł się ze swego miejsca, ale uprzedził go korespondent jednej z gazet francuskich, który nie czekając na udzielenie głosu niemal wykrzyknął swoje pytanie:

— Czy można założyć, że Ziemi i całej ludzkości zagraża niebezpieczeństwo?

Nastąpiła pauza.

Profesor Brzozowski nie odpowiedział od razu. Wszystkie oczy były skierowane na niego. Niektórzy dziennikarze nawet powstawali ze swoich miejsc.

— Musimy być przygotowani na wszystko...

Pytanie: — Czy jest możliwe, że promieniowanie to zawiera jakieś sygnały, jaką informację. Czy przedsięwzięto próby jej rozszyfrowania?

Richard Coguel, obserwatorium Jodrell Bank, Anglia:

— W tej chwili możemy stwierdzić jedynie, że pomiary promieniowania, dokonane przez obserwatoria na całym świecie, nie wykryły najmniejszych fluktuacji jego parametrów. Od chwili gdy to promieniowanie wykryto po raz pierwszy, dosłownie nic się nie zmieniło. Jakby ktoś nagle zapalił żarówkę, która od tego czasu świeci równo i jasno bez chwili przerwy. Nie wykryto promieniowania optycznego ani rentgenowskiego.

Pytanie do sir Coguela:

— Czy można powiedzieć, iż Ziemia poddawana jest swoistej kontroli radarowej?

— To jest mało prawdopodobne... Gdybyśmy dysponowali źródłami o takiej mocy i chcieli przeprowadzać badania radiolokacyjne nie znanej planety, wybralibyśmy zupełnie inną metodykę i inny zakres częstotliwości...

Pytanie: — Czy nauce znane były dawniej źródła promieniowania o takiej mocy?

Doktor Thorchana, profesor Uniwersytetu Madraskiego, Indie:

— Naturalnie! Nauka zna źródła promieniowania o nieporównywalnie większej mocy, które funkcjonują we wszechświecie od niepamiętnych czasów. Są to tak zwane radiogwiazdy. Jeśli jednak założyć, że mamy do czynienia z błędzącą radiogwiazdą, to nie wiadomo, w jaki sposób tego rodzaju obiekt kosmiczny mógł znaleźć się niespodziewanie w granicach Układu Słonecznego, gdyż normalnie powinien być zaobserwowany już wiele lat temu, i to w ogromnej odległości od naszej planety.

Pytanie do doktora Thorchany.

— Czy astronomowie stykali się z superkarłowatymi, błędzącymi gwiazdami radiowymi?

— Nie, nikt nigdy nie zaobserwował ciała, które w najmniejszym nawet stopniu przypominałoby źródło promieniowania, jakie znajduje się obecnie w pobliżu Ziemi.

Pytanie: — Czy dysponujemy choć przybliżonymi danymi co do wielkości emitera i jego kształtu geometrycznego.

Doktor Michael Lennon Senior, profesor Uniwersytetu Harvardzkiego, USA:

— Nic na ten temat nie potrafimy powiedzieć. Jak już mówił mój kolega, mister Brzozowski, źródło promieniowania nie jest widoczne w teleskopach optycznych. Dysponujemy jednym tylko doniesieniem z Australii, że na tle tarczy księżycowej zauważono niewyraźny czarny punkcik, ale obserwatorzy nie byli pewni, czy nie ulegli złudzeniu, i prosili o skontrolowanie tej wiadomości.

Obserwacji nie udało się powtórzyć. Kontrola radiolokacyjna w tych warunkach jest niemożliwa. W tej sytuacji skłonny jestem przypuszczać, że średnica emitera nie przekracza kilkudziesięciu metrów.

Pytanie do profesora Lennona:

— Czy znane są metody generowania tak wielkich mocy w równie niewielkich ciałach?

— Teoretycznie tak. Można przypuścić, że w kosmosie znajduje się bardzo doskonałe urządzenie termojądrowe lub generator energii, działający na zasadzie „spalania” antymaterii. Ale podczas pracy tego rodzaju urządzeń energetycznych musiałyby wydzielać się ogromne ilości ciepła. Tymczasem brak zakresu podczerwonego w widmie promieniowania dowodzi, że źródło jest zimne, zaś metody usuwania takich ilości ciepła nie dość, że nie są znane praktyce kosmonautycznej, lecz wydają się wręcz teoretycznie niemożliwe. Krótko mówiąc nie znamy procesów, które mogłyby podtrzymywać równowagę energetyczną takiego zwartego układu przez czas dłuższy niż parę sekund.

Pytanie: — Jeśli istotnie mamy do czynienia z posłańcami hipotetycznej cywilizacji pozaziemskiej, to czy przynajmniej możemy się domyślać, co skłoniło ich do odwiedzenia właśnie naszej planety?

Członek Akademii Nauk Związku Radzieckiego Aleksander Ponomariow, obserwatorium w Pułkowie:

— Wizyta tego rodzaju obiektu w Układzie Słonecznym da się łatwo wytłumaczyć.

Według naszej teorii pojawienie się życia jest najbardziej prawdopodobne na planetach krążących wokół gwiazd klasy spektralnej F8KO, a do tej właśnie klasy należy nasze Słońce. Zrozumiałe jest również zainteresowanie się Ziemią, wyróżnienie jej spośród Układu Słonecznego. Praca ziemskich stacji telewizyjnych sprawiła, że nasza planeta pod względem mocy promieniowania elektromagnetycznego w zakresie metrowym ustępuje tylko Słońcu. Jej emisja radiowa jest co najmniej milion razy silniejsza od podobnej emisji Wenus i Marsa. Dlatego sygnał, który nazywamy zakłócającym, dociera do nas właśnie na tym zakresie.

Pytanie do Ponomariowa:

— Ale dlaczego ci gwiazdni przybysze tak długo nie zmieniają metod sygnalizacji, dlaczego nie podejmują żadnych innych kroków?

— Kiedy mówimy o szeroko pojmowanym kosmosie, musimy pamiętać o względności takich pojęć jak mało i wiele, szybko i wolno... Jest całkiem możliwe, że dla innej cywilizacji tydzień naszych lęków i niepokojów nie trwa dłużej niż dla nas mgnienie oka... Zbyt mało o nich wiemy, aby wyciągać jakiegokolwiek wnioski...

## 19 SIERPNIĄ. WTOREK. KOSMODROM

Na kosmodromie niepogoda. Siąpi deszcz. Na platformie startowej stoi statek łączności orbitalnej. Przypomina obelisk opleciony rusztowaniami. Opodal platformy, za skarpą kanałów odprowadzających gazy odlotowe, widać peryskopy schronu, w którym mieści się stanowisko kontroli przedstartowej i urządzenia zdalnego odpalania rakiety. W oddali, na zboczu niskiego wzgórza, za kurtyną drobnego deszczu bieleje hala montażowa. Jej ogrom przyprawia o zawrót głowy. W tym kosmicznym hangarze przygotowuje się do startu statki i rakiety nośne. Bocznica kolejowa łączy halę montażową z platformą kosmodromu.

W hangarze trwa kolejna, ostatnia już kontrola statku kosmicznego. Ilja Iljewicz Zujew, którego trudno rozpoznać w szarym kombinezonie kosmonauty, stoi w otoczeniu kilku inżynierów pod czerwonymi osłonami dysz rakiety nośnej.

— Pamiętajcie, że drugi statek może być nam potrzebny w każdej chwili. W każdej chwili, rozumiecie? — Zujew jest bardzo poważny. — Nawet na kilka godzin przed „każdą chwilą”... Nie wolno zwlekać z montażem. Intensyfikujcie wszystkie prace, rozpalcie wszystko do czerwoności, ale przyspieszajcie!... Nie odlatujecie przecież na rok. Powiedzcie Orłowowi, żeby zapomniał o dotychczasowym harmonogramie. Ci cholerni przybysze nie liczą się z naszym harmonogramem!

— Ale my już i tak, Iljo Iljiczu, pracujemy na trzy zmiany. Ludzie po prostu padają ze zmęczenia...

— Rozumiem, doskonale to rozumiem. Dostaniecie więcej ludzi. Ja też nie zamierzałem lecieć na stację orbitalną, myślałem, że już wylatałem swoje, ale lecę. Muszę popatrzeć na wszystko własnymi oczyma. Przecież ta historia z przybyszami to nawet nie fantastyka, to wręcz... — Szuka odpowiedniego słowa. — To cholera wie co! Wydawało się nam, że jesteśmy przygotowani na wszystko... Opracowaliśmy język kosmiczny, zwoływaliśmy konferencje i narady na temat cywilizacji pozaziemskich. A oni tymczasem przylecieli i niczego nie możemy zrozumieć... Dobra, idziemy do bunkra. Chłopaki pewnie już nie mogą się mnie doczekać.

Bunkier to centralna dyspozytornia kosmodromu. Tylna, przeszklona ściana sali otacza amfiteatr foteli, przy których umieszczono głośniki łączności selektorowej. Przez szybę widać ogromny świecący ekran — słowem jest to zwyczajna dyspozytornia kosmiczna, nie lepsza i nie gorsza od innych.

Zujew z kosmonautami przysiadł w kąci i uparcie powtarza swoje:

...Powinniśmy iść na pewniaka, ale nie możemy, bo wiemy zbyt mało. Rozumiem waszą niecierpliwość, pojmuję waszą gotowość aktywnego działania. Mój Boże, jestem wprawdzie starym człowiekiem, ale wszystko doskonale rozumiem i nie musicie mnie agitować. Lecz ani ja, ani żaden inny człowiek na Ziemi nie potrafi powiedzieć wam w tej chwili niczego konkretnego. Dlatego bardzo was proszę, abyście przestrzegali dotychczasowych instrukcji, trzymali się starego planu. Co tam macie? „Atlantyde”? No to ćwiczcie tę swoją „Atlantyde”... Pamiętajcie przy tym, że antena laserowa, którą tam wysłaliśmy, jest konstrukcją absolutnie nową i niezmiernie precyzyjną. Nauczcie się montować to urządzenie i posługiwać się nim. Ta antena bardzo się wam może przydać... I nie myślcie, że o was zapomnimy!

— Przepraszam, Iljo Iljiczu, ale ja tego zupełnie nie rozumiem! — wybucha nagle Leżawa. — Zaszło coś prawdziwie fantastycznego, wydarzył się prawdziwy kosmiczny cud, a nie chcecie ani na jotę zmienić programu przygotowań marsjańskich! Dopiero co przesiedzieliśmy dwie doby w symulatorze, który imitował awarię elementów paliwowych przy jednoczesnym wyłączeniu się

wszystkich baterii słonecznych. Komu to potrzebne, skoro tuż obok naszej planety wisi kosmiczna radiolarnia, która być może zwiastuje wyjście człowieka w inne światy, do innej galaktyki, w inne wymiary!...

— Właśnie dlatego — przerywa mu ostro Zujew. — Właśnie dlatego powinniście być gotowi do natychmiastowego działania. A żeby być gotowym, nie należy beczynie czekać, tylko pracować. Trzeba być w formie. My tymczasem postaramy się czegoś dowiedzieć...

— Nie dowiecie się niczego, dopóki nie wyślecie człowieka w pobliże emitera — odparowuje Lennon. — Trzeba wierzyć w rozum i dobrą wolę tych, którzy przysłali tu swój gigantyczny nadajnik radiowy.

— Ach tak, „trzeba wierzyć w rozum”! — ironizuje Zujew. — Przecież my, mili panowie, mieszkamy na tej samej planecie i jesteśmy do siebie podobni jak dwie krople wody, ale dopiero teraz z wielkim trudem uczymy się tej „wiary w rozum”. Przypomnijcie sobie... Chociaż nie, jesteście za młodzi, aby pamiętać. A ja pamiętam swoją pierwszą podróż do Houston. Nie mówmy więc na razie o innych galaktykach! Tymczasem... — głos Zujewa staje się na moment zimny i oschły.

— Jako członek Międzynarodowej Komisji Specjalnej i jako przewodniczący Komitetu RadzieckoAmerykańskiego oświadczam wam oficjalnie, że dopóki nie wyjaśni się coś konkretnego, nie będziemy zmieniać programu waszych treningów przedstartowych ani forsować ich przebiegu. Nie będziemy zmieniać niczego — skanduje. — A teraz chodźmy na dół, na mnie już czas... Nie martwcie się i uwierzcie w mojego nosa. Bez was i tak niczego nie przedsięwzięmiemy...

Kosmonauci widzą na ekranie telewizora, jak do wjazdu kabiny statku orbitalnego zbliża się klatka windy.

— Po co on leci? — pyta milcząco do tej pory Steinberg. — Nie dowierza swoim ludziom na stacji orbitalnej?

— Człowiek, któremu Zujew nie dowierza, nie pozostanie na orbicie nawet przez godzinę — odpowiada spokojnie Siedow. — Ale Zujew nie puści „Gagarina” chociażby na Księżyc, zanim sam nie sprawdzi każdego guziczka bez względu na to, czy przybysze istnieją czy tylko stanowią wytwór naszej wyobraźni. Zujew to jest Zujew. Trudno to wytłumaczyć. Dla niego nie istnieje nic poza „Gagarinem”, tak samo jak poprzednio wszystko przysłał mu „Mir”, „Zwiezda”, a jeszcze wcześniej „Saluty” i „Sojuzy”...

Odezwały się głośniki łączności wewnętrznej:

— Rozpoczynam odliczanie. Godzina do startu. Powtarzam: godzina do startu! Rozpocząć ewakuację, platformy...

Po cielsku rakiety zaczynają sphywać skłębione pary tlenu.



### 31 SIERPNIĄ. NIEDZIELA. MOSKWA

Obszerna kuchnia w mieszkaniu Aleksandra Matwiejewicza Siedowa. Tylko w niedzielę całej rodzinie udaje się zasiąść wspólnie do śniadania.

— Wiera! Jak ty siedzisz? — irytuje się ojciec. — Co ty wyprawiasz z nogami? Usiądź prosto. Jak długo jeszcze będę ci musiał o tym przypominać?!

Dziewczynka siada przy stole patrząc spode łba na rozgniewanego ojca. Żona Aleksandra Matwiejewicza w milczeniu nalewa mu kawę.

— Co to się dzieje z naszą pocztą? — tym samym poirytowanym tonem ciągnie Siedow. — Już dziewiąta, a gazet nie ma!

— Na razie posłuchaj sobie radia — mówi uspokajająco żona.

— Co tu ma do rzeczy radio?

Dziewczynka ześlizguje się z taboretu i wychodzi z kuchni.

— Co trzeba powiedzieć mamie?! — krzyczy za nią Siedow.

— Dziękuję — dobiega z przedpokoju głosik córki.

— Sasza, co z tobą? — mówi czule żona. — Czy my jesteśmy temu winne?

Siedowa ogarnia wstyd. Weronika ma świętą rację, uważając, że zachowuje się poniżej wszelkiej krytyki. Tak, nerwy rzeczywiście zaczynają odmawiać mu posłuszeństwa. Całkiem możliwe, że Zorin i jego koledzy nie bez kozery chcą zatrzymać go na Ziemi. Bo jeśli i w kosmosie zaczną tracić równowagę... No, dobra. Już niewiele tego czekania, niebawem wszystko się zdecyduje.

Siedow ujmuje rękę żony i mówi zupełnie innym, przeprasającym i zmęczonym głosem:

— Wiesz, co najbardziej mnie irytuje? To, że oni zawsze udają okropnie zapracowanych. Dawno już na to zwróciłem uwagę. Komisja zbiera się w niedzielę! Wszyscy jej członkowie spodziewają się pochwał za niezmierną pracowitość... To rekordziści udawania, mistrzowie działań pozorowanych. Wszystko na pokaz! Żebyś zobaczyła, jak zachowują się na kosmodromie. Na twarzach maski z gazy, wszędzie porozwieszali tabliczki „Witajmy się bez podawania rąk”, niezwykle zatroskanie na obliczach. Sądzisz, że tylko nasi są tacy? Amerykanie są jeszcze gorsi! Gdy kosmonauta idzie korytarzem, to włączają syrenę i ludzie uciekają, kryją się po kątach jak przed zapowietrzonym. A dzisiaj jest „komisja”! Cóż to w końcu za problem przeznaczyć na złom Siedowa albo łaskawie zezwolić staruszkowi, żeby sobie jeszcze trochę poskakał... Znużyło mnie już to, okropnie znużyło! Wiem, co powiesz. Tak, nalatałem się już, wszystko już widziałem, ale właśnie dlatego muszę tam być! Jestem tam potrzebny, rozumiesz? Te konowały nie potrafią zrozumieć całej wagi wydarzenia. A przecież od tego, jak się tam — pokazał palcem na sufit — wszystko potoczy, może zależeć cała nasza przyszłość, całe nasze życie!

— Ale jeśli teraz będziesz szalał, niczego to nie zmieni i nikomu nie przyniesie żadnego pożytku. Postaraj się uspokoić...

— Dobrze. Już jestem spokojny. Jestem spokojny jak kamień, jak Sfinks, jak Steinberg! Spokojnie zabieram córkę i spokojnie jadę z nią... do ogrodu zoologicznego, jak przystało wzorowemu ojcu, który spędza niedzielę na łonie rodziny. Wierka, chcesz pojechać do ogrodu zoologicznego? — krzyczy w otwarte drzwi przedpokoju.

Dziewczynka, która jak wszystkie dzieci znakomicie wyczuwa nastrój, nie podskakuje z radości, tylko pytająco patrzy na matkę. Matka uśmiecha się. Dzieciak uwierzył w końcu, że nikt z niego nie żartuje, i krzyczy głośno „hura”

— I nie spodziewaj się nas przed obiadem! — Siedow całuje żonę i wychodzi.

Weronika odprowadza go uśmiechem, ale kiedy drzwi na klatkę schodową zamykają się, opada na krzesło i wybucha płaczem.

## 31 SIERPANIA. NIEDZIELA. KOSMOS

W dole wisi błękitna Ziemia. Nad Europą jest chmurno, ale przez jasne, upalne niebo bardzo wyraźnie przebija żółtawy Półwysep Arabski. Zielonkawy klin Indii rozcina migotliwe, drżące odblaskami przestwory oceanu, a na północy stromo zapadają za rozmyty horyzont czekoladowobiałe Himalaje. Zujew patrzy na Ziemię przez iluminator międzyplanetarnego statku kosmicznego „Gagarin”, przycumowanego do jednego z pomostów stacji orbitalnej „Mir-4”. Potem w milczeniu odpływa od iluminatora...

Kolejna transmisja telewizyjna z pokładu stacji orbitalnej. Przy mikrofonie Zujew.

— Nie dość, że nie potrafiliśmy nawiązać kontaktu z obiektem kosmicznym, to jeszcze w dodatku nadal nie znamy jego parametrów fizycznych. Jediną pewną rzeczą jest to, że bez przerwy emituje fale radiowe o stałym natężeniu i charakterystyce kierunkowej. Szeroka strefa zakłóceń radiowych przesuwana się po powierzchni kuli ziemskiej w miarę jej obrotu. Dobrze przynajmniej, że obecnie wiemy dokładnie, gdzie w danym momencie zakłócenia te występują. Na przykład w tej chwili stożek promieniowania nakrył wschodnią część USA od Atlantyku do rejonu Missisipi, całą Kubę, kraje Ameryki Środkowej, Ekwador, zachodnie terytoria Kolumbii i Peru, i strefę przybrzeżną Chile, a na północy Wielkie Jeziora amerykańskie i centrum Kanady. Strefa zakłóceń przesuwana się na zachód z prędkością obrotową Ziemi...

### 31 SIERPANIA. NIEDZIELA. MOSKWA

Między wybiegami dla zwierząt nowego ogrodu zoologicznego, założonego niedawno w południowej dzielnicy Moskwy, spaceruje Siedow z córeczką, na próżno usiłując zapomnieć o przekłętą komisji, która, choć może to zabrzmieć zbyt górnolotnie, miała naprawdę zdecydować o jego losie.

— Tatusiu, dlaczego gęsi mają czerwone nóżki? — pyta Wieroczka. — To dlatego, że nóżki im stale marzną?

— Co? — Aleksander Matwiejewicz nie usłyszał, a w każdym razie nie zrozumiał pytania. — Co czerwone? Pewnie marzną... Tak mi się przynajmniej wydaje...

— Przecież jest ciepło!

— Tak, chyba jest ciepło... Kto tam wie, jak jest z tymi gęsiami nogami...

Wielu spacerowiczów rozpoznaje go i pozdrawia z radosnym uśmiechem. Inni po prostu zerkają z ukosa i wymieniają szeptem jakieś uwagi. W ogrodzie zoologicznym, mimo niedzieli, zwiedzających jest niewielu. Do Siedowa podchodzi chłopczyk i prosi o autograf. Za nim kilku innych.

— Przepraszam was, chłopcy, ale ja również chcę trochę odpocząć — mówi Siedow zrzędlawie i szybko odchodzi.

Przez chwilę idą w milczeniu zupełnie bezludną alejką.

— Tatusiu — pyta Wieroczka — dlaczego dawniej wszystkim podpisywałeś, a teraz nie?

— Dlatego, że dawniej byłem kosmonautą.

— A teraz?

— A teraz... — patrzy na zegarek. — A teraz nie wiem, kim jestem. Może po prostu generałem w stanie spoczynku.

### 31 SIERPNIA. NIEDZIELA. DNO MORZA CZARNEGO

W domku kosmonautów trwa jałowy, idiotyczny w swej beznadziejności spór, który rozpoczął się trzy tygodnie temu i to przygasając, to rozpalając się z nową siłą nie ustaje właściwie ani na chwilę.

— ... to wszystko bardzo piękne, ale zadam wam pytanie, z którym zwrócił się do mnie mój ojciec i na które nie potrafiłem mu sensownie odpowiedzieć. Dlaczego właśnie my doznaliśmy tego zaszczytu, dlaczego właśnie nam złożył wizytę jakiś superintelekt? — gorączkował się Lennon. — Czym się wyróżniamy spośród innych?

— Wyróżniamy się tym, że istniejemy — ł odpowiada Leżawa.

— Słuchaj, Anzor, skoro wszystko wiesz, to wytłumacz mi, dlaczego oni badają nas tak długo? Chyba już najwyższy czas, żeby, wyrobili sobie jakieś zdanie i zdecydowali wreszcie, czy w ogóle opłacało im się tu lecieć? Jeśli to statek turystyczny, to gdzie u diabła są turyści?

— Słusznie — przytakuje Lennon. — Czy możecie sobie wyobrazić, aby Ziemianie przelecieli miliony, miliardy, a może nawet miliony miliardów kilometrów i nawet nie spróbowali pogadać z istotami, które odkryli po przybyciu do celu podróży?

— Nie gorączkuj się, Michael, bo może oni akurat usiłują w tej chwili z tobą pogadać — rzuca spokojnie Leżawa.

— W ten sposób można wymyślić wszystko, co tylko dusza zamarzy — rozkłada ręce Razdolin.

— Święta prawda — mówi beznamiętnym tonem Leżawa. — Absolutnie się z tobą zgadzam! Istotnie, wymyślić można wszystko.

### 31 SIERPNIĄ. NIEDZIELA. MOSKWA

— Tatusiu, a dlaczego krokodyle zawsze śpią? — wykrzykuje zdumiona Wieroczka.

— Śpią? Krokodyle? powtarza Siedow. — Masz rację! Nie mają nic do roboty, córeczko, nie mają żadnych kłopotów, więc śpią. — Patrzy na zegarek, rozgląda się dokoła i mówi nie wiadomo dlaczego szeptem: — Wieroczka, może pojeździmy sobie na rowerze? Przecież lubisz jeździć na rowerze?... — I nie czekając na odpowiedź zaczyna przeciskać się w stronę wyjścia z terrarium. Niemal biegnie przez teren ogrodu zoologicznego. Tuż przy bramie zatrzymuje wolną taksówkę.

— Tatusiu, to my na rower tak się spieszymy?

— Na rower, córeczko, na rower...

Moskiewscy taksówkarze to ludzie bystrzy, — odcytani i oblatani. Kierowca rozpoznał więc słynnego kosmonautę i miał ogromną ochotę uciąć sobie z nim rozmowę. Powstrzymała go jedynie wyjątkowo skupiona i poważna twarz niecodziennego pasażera. Wreszcie powiedział:

— Do Instytutu Medycyny Kosmicznej?

— Nie, jedziemy jeździć na rowerze — odpowiada głośno Wieroczka.

Siedow milczy i w ogóle zachowuje się tak, jakby nie usłyszał pytania.

— Tak, narobili nam ci Marsjanie kłopotów — mówi kierowca w przestrzeń. — Cóż też te dranie wyprawiają!...

— A co właściwie wyprawiają? — Siedow odwraca się od okna i patrzy z zaciekawieniem na kierowcę. — Są jakieś nowości?

— Pewien pasażer, on ma zresztą też coś wspólnego z kosmośm — odparł z ożywieniem kierowca — mówił mi, że to jest statek z Marsa, a ci Marsjanie są podobni do naszych pajaków, jednym słowem paskudztwo. No więc oni nas teraz badają, a jak skończą badać, to zaraz zaczną.

— Co zaczną? — pyta Wieroczka.

— Podbijać narody Ziemi — odpowiada kierowca bez cienia wątpliwości w głosie. — Ten pasażer mówił, że słyszał to na własne uszy w swoim instytucie, na poufnym zebraniu. Poważny człowiek, nie powinien chyba łąć — kończy na poły pytająco.

— Ale łże jak pies — mówi Siedow i znów odwraca się do okna.

Samochód zatrzymuje się przy bramie opatrzonej błyszczącą tabliczką z napisem „Instytut Medycyny Kosmicznej”.

W chwilę później Siedow z córeczką siedzi już w sekretariacie dyrektora Instytutu. Wieroczka zachowuje się spokojnie, chociaż bardzo się nudzi. Aleksander Matwiejewicz patrzy na obite skórą drzwi, za którymi obraduje komisja.

— Tatusiu, kiedy będziemy jeździć na rowerze? — pyta cichutko Wieroczka.

— Zaraz pójdziemy, córeczko... Zejdziemy do sali gimnastycznej — zwraca się Siedow do sekretarki. — W razie czego proszę mnie zawołać.

— Oczywiście, Aleksandrze Matwiejewiczu, oczywiście...

Znaleźli się w sali, w której Siedow spędził niezliczone godziny zarówno sam, jak i z przyjaciółmi. Wieroczka z zaciekawieniem myszkowała między przyrządami treningowymi, aż wreszcie ujrzała połyskujący nikiem weloenergometr. Krzyknęła radośnie „rower, rower!”, szybko wskoczyła na siodelko i zaczęła wesoło kręcić pedałami. „Przeklęty rower!” — myśli Siedow. Ileż kilometrów na nim nakręcił!... Nie ma zresztą na tej sali ani jednego przedmiotu, żadnego sprzętu, który by nie przypominał ciężkiej pracy, napięcia, skupienia, najwyższego wysiłku ciała i ducha, rozkoszy wypoczynku i znów pracy, pracy, pracy... W tej sali ludzkie serca wyprodukowały chyba

tyle energii, ile wytwarza średnia elektrownia... A niech to diabli wezmą! Przecież nie jest wykluczone, że znalazł się tu po raz ostatni... Przyszedł pożegnać się...

— No, gratuluję! Wszystko w porządku, a ty się bałeś! Przecież mówiłem... — tymi słowami Andriej Leonidowicz Zorin przerywa smętne rozmyślenia Siedowa.

Kosmonauta przez dłużą chwilę patrzy w milczeniu na lekarza, a potem podchodzi do huśtawki, przyrzędu na pozór niewinnego, a w istocie bodajże najtrudniejszego do opanowania. Popycha ławeczkę i z uśmiechem obserwuje jej regularne, zegarowe w swej precyzji ruchy.

## 9 WRZEŚNIA. WTOREK. DNO MORZA CZARNEGO

Na Krymie widać już pierwsze oznaki nadchodzącej jesieni. Żłociste słońce oświetla wyblakłą zielen parku. Ale barwy tej wczesnej krymskiej jesieni nie są dostępne kosmonautom. Podwodny dom już wielokrotnie używano do treningów kosmicznych. Na dno morza u krymskich wybrzeży przyjeżdżali budowniczo wiekich stacji orbitalnych, kosmiczni montażyści. Trenowali tam wszyscy ci, którzy mieli pracować w otwartym kosmosie, a i teraz, chociaż program lotu marsjańskiego nie przewidywał opuszczania statku, Zujew dopiął swego i Samarin skierował kosmonautów do „Atlantydy”, bo tak nazywało się podmorskie laboratorium. Dzisiaj w mesie „Atlantydy” zostali tylko Steinberg i Razdolin. Reszta była „na wyjściu”, jak Razdolin zapisał w dzienniku pokładowym. Siedział w samych tylko slipach przy wielkim iluminatorze i uważnie obserwował Wszystko, co się działo pod wodą. W ręku miał mikrofon ultradźwiękowego urządzenia łączności podwodnej. Ze swego miejsca widział opadającą stromo w dół mieliznę piaskowa, po której przebiegały słoneczne zajęczki. Odbłyśki światła skakały również po metalowej płycie, imitującej poszycie zewnętrzne „Gagarina”. Program dzisiejszego treningu przewidywał instalowanie specjalnej anteny zewnętrznej do łączności laserowej, którą w trybie awaryjnym postanowiono zamontować na „Gagarinie”, gdyż był to jedyny środek łączności, który nie bał się zakłóceń „Proteusza”, jak ostatnio dziennikarze zaczęli nazywać mityczny emiter.

Trzej mężczyźni z akwalungami na plecach wolno wirują w pstrym blasku refleksów słonecznych, starając się umocować na płycie przedmiot z grubsza przypominający zamkniętą parasolkę. Obracają parasol „rączką” do góry, usiłując trafić „dolnym okuciem” w gniazdo płyty, ale nie udaje się im to, gdyż jeden z nich wypuszcza „rączkę” i parasol wolno wali się na bok. Dwaj pozostali nurkowie próbują podeprzeć go od dołu, ale „okucie” wyskakuje z gniazda.

— Nie — mówi spokojnie Razdolin, patrząc na ich krzątaninę przez szybę iluminatora. — W ten sposób nic nie zrobicie... Allan, podprowadź ją do gniazda, a Michael i Anzor niech lekko przytrzymują antenę od góry. Tylko leciutko, bez szarpaniny! Zaczynajcie.

Nurkowie ponownie unoszą parasol i zaczynają go prostować.

— O to mi właśnie chodziło — komentuje Razdolin. — Michael! Nie naciskaj! Przecież im przeszkadzasz! Masz tylko podtrzymywać. Anzor, uważaj, antena zaraz na ciebie spadnie. Nie puszczajcie jej od góry, dopóki Allan nie wyprostuje zastrzału... Dobra! Michael może puścić, Anzor niech jeszcze trzyma. W porządku. Mocujcie!

Za plecami Razdolina Steinberg, który tego dnia pełni dyżur, krząta się przy maszynie elektrycznej. On również jest w kąpielówkach, ale uzupełnił swój strój minimum białym, wykrochmalonym fartuszkim. Na kuchence stoi duża patelnia z rozgrzaną słoniną i pokrojonymi w plasterki pomidorami, na które Steinberg wbija jajka.

— To ty wymyśliłeś taką jajecznicę? — pyta Steinberg nie odwracając głowy.

— Nic podobnego, wymyślili ją Ukraińcy na jakieś pięćset lat przed moim urodzeniem — odpowiada Razdolin.

Przez iluminator widać, jak ogromny parasol zaczyna się otwierać pod wodą na kształt gigantycznego kwiatu. Wewnętrzna powierzchnia uniesionej ku górze czaszy jest wypolerowana do zwierciadlanego połysku i cienie maleńkich fal, biegnących gdzieś wysoko nad nią, odbijają się w antenie laserowej, wywołując fantazyjną grę światła.

— Bardzo mi się podoba kuchnia rosyjska — mówi Steinberg, zerkając z satysfakcją na pełną patelnię. — Tylko wasz chleb mi się nie podoba.

— Powiedział, co wiedział! — odwraca się do niego Razdolin.



Z głośnika na ścianie odzywa się Redford;

— Nie zrozumiałem. Powtórz. Razdolin mówi do mikrofonu:

— To nie do was. U was wszystko jest w porządku. Zamocujcie antenę i wracajcie do domu.

Jestem głodny.

Głos Lennona:

— John naturalnie śpi?

Steinberg podchodzi do Razdolina i mówi głośno w mikrofon:

— Za taką odżywkę dostaniesz swoją porcję oddzielnie.

— Nie rozumiem.

— Zrozumiesz.

— Dość rozmówek. Wyłączam się — ucina Razdolin.

Na uchwycie mikrofonu gaśnie mały czerwony guziczek. Steinberg bierze polietylenową torebkę, wkłada do niej jajko, kawałek słoniny, pomidor i kartkę, na której uprzednio napisał: „Śniadanie mister Lennona”. Zawiązuje torebkę szpagatem i wrzuca do wody w sztolni wejściowej. Razdolin ze śmiechem obserwuje jego poczynania. Wstaje, przeciąga się i mówi:

— Powiadasz, że nasz chleb ci nie smakuje? Ale przecież amerykański chlebuś przypomina w smaku watę.

— Dlaczego watę? — obraża się Steinberg.

— No dobrze, niech ci będzie! Nie watę, tylko styropian — poprawia się Razdolin.

— Ty niczego nie rozumiesz! — mówi John.

— Rozumiem, mój stary, że obaj jesteśmy patriotami — odpowiada ze śmiechem Razdolin, klepiąc Steinberga po ramieniu. — To zresztą bardzo dobrze! — Milczy przez chwilę, a potem kontynuuje poważnym tonem: — Jakże szczęśliwa byłaby nasza planeta, gdybyśmy spierali się tylko na temat smaku chleba...

— Skończyliśmy — melduje selektor głosem Redforda.

Razdolin zerka na wielki zegar elektryczny z wyraźnym czerwonym sekundnikiem, podchodzi do mikrofonu — zapłonął czerwony guziczek — i mówi obróciwszy się w stronę iluminatora:

— Gratuluje. Dziewiętnaście minut. To już nie czterdzieści trzy.

Jeden z kosmonautów spogląda na przegub i po chwili selektor oponuje nieco urażonym głosem Leżawy:

— Nie dziewiętnaście, tylko siedemnaście. Dokładnie zapamiętałem czas rozpoczęcia operacji.

— Niech ci będzie — zgadza się Razdolin. — Koniec treningu. Podano do stołu!

Wolno poruszając płetwami, trzej nurkowie płyną do podwodnego domu...

## 9 WRZEŚNIA. WTOREK. KOSMOS

Seans łączności ze stacją orbitalną „Mir-4”. Przy mikrofonie Japończyk, profesor Yataki, jeden ze współtowarzyszy kosmicznej wyprawy Zujewa.

— Ostatnio uzyskane dane potwierdzają hipotezę, sformułowaną na kilka godzin przed naszym startem przez szanownego profesora Lennona. Największa powierzchnia przekroju emitera istotnie nie przekracza trzydziestu metrów kwadratowych — mówi Japończyk. — Jak na międzygwiazdny statek pilotowany są to wymiary nieprawdopodobnie małe, aby nie powiedzieć fantastyczne. Precyzyjne, z dokładnością do jednej setnej procenta, ulokowanie emitera w tym punkcie przestrzeni, gdzie nawzajem znoszą się siły przyciągania Ziemi i Księżyca, świadczy o wielkiej czułości aparatury grawitacyjnej i o dążeniu do optymalizacji trajektorii. Odnosi się wrażenie, że emiter pieczołowicie oszczędza energię dzięki wyborowi takiego właśnie toru, a jednocześnie wypromieniowuje takie jej ilości, jakie z trudem mogą wytworzyć wszystkie elektrownie Ziemi. Ale najbardziej zastanawia nas w tej chwili to, dlaczego emiter jest taki mały? Wszystkie nasze obliczenia dowodzą, że nie powinien taki być. Moglibyśmy spróbować wysnuć jakieś wnioski co do natury emitera, gdyby był chociażby sto, a jeszcze lepiej tysiąc razy większy. Ale tak...

## 9 WRZEŚNIA. WTOREK. DNO MORZA CZARNEGO

Podwodny domek „Atlantyda”. Przy stole, wokół jajecznicy, rozsiedli się kosmonauci w kąpielówkach i frotowych koszulkach plażowych. Naturalnie spór trwa nadal.

— Jeśli masz rację — mówi gorąco Leżawa do Lennona — to wytłumacz mi, dlaczego i po co grzebiemy się z tą anteną?

— Po to, żebyśmy mogli porozumiewać się z Ziemią, gdyż „Proteusz” zagłuszy nasze transmisje radiowe — mówi Razdolin, odkrawając sobie solidny kawał konserwowanej szynki.

— Ale jeżeli polecimy na Marsa, emiter nie powinien nam przeszkadzać! — zauważa Redford. — Michael, wytłumacz mu, jesteś przecież astronomem.

— Wystarczy, aby „Proteusz” przesunął się o piętnaście stopni na swej obecnej orbicie i już będzie mógł nas zagłuszać wzdłuż całego toru — cedzi beznamiętnie Lennon. — O czym ty zresztą mówisz! Gdy tylko zechcą, to dysponując emiterami o takiej mocy nie dadzą nam nawet pisać! Ani w pobliżu Ziemi, ani w okolicach Marsa.

— Mówcie sobie, co chcecie, a ja jestem pewien, że wylecimy jej naprzeciw — potrząsa głową Razdolin.

— Nie jestem wprawdzie znawcą języka rosyjskiego — zauważa mimochodem Steinberg — ale dziwi mnie fakt, że o jednym i tym samym raz mówicie „on”, a raz znów „ona”.

— Wiele bym dał za to, żeby się dowiedzieć, czy to jest „on”, pilotowany statek kosmiczny, czy też „ona”, automatyczna stacja badawcza! — wykrzykuje Leżawa.

— A jeżeli to jest „ono”? — śmieje się Razdolin. — Coś trzeciego, coś zupełnie nam nie znanego?

Redford wstaje od stołu, podchodzi do telewizora i włącza tylko obraz. Czerwoni i biali piłkarze bezszelestnie biegają po zielonym boisku.

— Chcę sprawdzić zegarek — mówi nie odwracając głowy od ekranu.

Obraz telewizyjny nagle drgnął, zamigotał i rozpadł się na strzępy. Wszyscy spojrzeli na wielki zegar ścienny.

— Zgadza się co do sekundy — spokojnie mówi Redford i wraca do stołu.

— Zdumiewająca rzecz! Zachowujemy się tak, jakby nic nie zaszło. Przywykliśmy już do tego, że telewizor nie może dobrze działać — mówi Leżawa. — Czasami wydaje mi się, że ci „Marsjanie” byli zawsze.

— Zdolność adaptacji do zmieniających się warunków bytowania nie jest słabością, lecz siłą rodzaju ludzkiego — mówi Steinberg. — A poza tym ludzie wierzą, że przybyszami zajmują się różni uczeni, którzy nie pozwolą skrzywdzić szarego człowieka. Już dziś wiele wiemy, a jutro będziemy wiedzieć jeszcze więcej...

— A pojutrze jeszcze więcej — samymi wargami uśmiecha się Lennon. — Jak ja nienawidzę biurokratów! Kongres nie może dogadać się z NASA, NASA nie chce podejmować decyzji bez Senackiej Komisji do Spraw Kosmosu, komisja uzgadnia swoje wnioski z Komitetem Astronautycznym Izby Reprezentantów...

— A w rezultacie my tutaj rozkoszujemy się życiem, natomiast „Proteusz” spokojnie sobie lata, co zresztą mało już kogo obchodzi — konkluduje ze smutkiem Redford. — Zainteresowanie „Proteuszem” skończyło się po tygodniu. Gdyby nie zakłócenia w łączności radiowej, dziś nikt by nawet o nim nic nie wspomniał. Dziewięćdziesiąt procent ludzi nawet nie potrafi sobie wyobrazić wagi tego wydarzenia. „Proteusz” w zasadzie nie przeszkadza im w robieniu interesów, dlaczego więc miałby ich obchodzić? Twojemu biznesowi przeszkadza, no to się denerwujesz.

Biznes Johna również jest zagrożony, wobec czego John także trochę się niepokoi...

— Słuchaj, Allan, co tu ma do rzeczy czyjś biznes? — krzywi się niechętnie Razdolin. — „Proteusz” nie jest problemem ekonomicznym ani technicznym, tylko moralnym. Wierzmy, że wszechświat jest skończony i poznawalny, że za prawdę nadal warto oddać życie, a tym bardziej część swego dobrobytu. Wolimy mieć jeden samochód mniej, jeśli w zamian znajdziemy się o centymetr bliżej prawdy!

— Jedyna rzecz, jakiej nam jeszcze do szczęścia brakowało — uśmiecha się krzywo Steinberg — to dyskusja na tematy polityczne.

— Och, nie mogę! — wykrzykuje Leżawa. — Nie mogę już dłużej! Jakże mi obrzydły takie rozmówki! O czym my tu gadamy? Jak długo to będzie trwało? Zamiast działać, ciągle tylko przelewamy z pustego w próżne...

— Czego jeszcze chcesz? — przerywa mu Lennon. Powiedzieliśmy Zujewowi, że chcemy lecieć do emitera, rozmawialiśmy z Catewayem... Decyzja należy do nich.

— A to niby dlaczego! Dlaczego to oni mają decydować? — wybucha ponownie Leżawa. — Porozmawialiśmy! Czyżbyś nie znał Catewaya? A twój ukochany Zujew znów zamknął nas na dnie morza, żebyśmy mu się nie plątali pod nogami. Siedzimy, jemy, gramy w szachy, oglądamy telewizję! Wypisz—wymaluj dom weteranów sceny. Mnie nie jest potrzebna imitacja nieważkości, rozumiesz? Ja żyłem w nieważkości przez bite dwa miesiące! I te idiotyczną antenę mogę w warunkach prawdziwej nieważkości sam zamontować w ciągu dziesięciu minut!

— Pogratulować — uśmiecha się Redford.

— Najbardziej oburza mnie to, że zachowujemy się tak, jakby absolutnie nic się nie zmieniło. A skutki tego wydarzenia mogą być straszliwsze od wszystkich naszych wojen razem wziętych.

— Nie dopuszczasz możliwości, że to wydarzenie równie dobrze może przynieść nam niewyobrażalne korzyści? — przerywa mu Lennon.

— Dopuszczam taką możliwość, ale bez względu na rodzaj następstw zanosi się na przewrót w losach cywilizacji ziemskiej. Czy nie możecie tego zrozumieć?

— Słuchaj, Anzor, czym ci się naraziliśmy, że tak na nas krzyczysz? — pyta z udawanym spokojem Steinberg.

— Naraziłeś się tym, że ćpasz jajecznicę ze skwarkami, zamiast lecieć w kierunku emitera!

— To ty ją ćpasz — zauważa z niezmaconym spokojem Steinberg. — Ja ją smażę...

Redford podchodzi do regału, przekłada na nim jakieś papiery, znajduje pojedynczą kartkę i wraca z nią do stołu.

— Spróbujmy spokojnie zastanowić się nad całą sprawą — mówi. — Coś już tu naszkicowałem...

Wszyscy obracają się ku niemu.

— Co to jest? — pyta Lennon.

— Zarys programu lotu w kierunku emitera. Naturalnie bardzo pobieżny...

— Jak zastanawiać się, to wszyscy razem! Na dźwięk tego wesołego, dobroniusznego głosu kosmonauci odwracają się jak na komendę. W sztolni wejściowej podwodnego domu wystaje z wody ludzka głowa o twarzy zasłoniętej maską do nurkowania. W domku zapada taka cisza, że słychać skrzypienie gumy, gdy przybysz ściąga maskę.

— Sasza, to ty? — pyta szeptem Redford.

— Ja — odpowiada z uśmiechem Siedow. Redford zamyka oczy, nabiera pełne płuca powietrza i krzyczy ze wszystkich sił:

— Hura! Sasza wrócił! Hura!

Pięciu wesołych, półnagich mężczyzn tarmosi i ściska mokrego Siedowa.

— No, mów! Wszystko w porządku?

— Przywiozłeś jakieś wiadomości?

— Wiadomości niedługo będą — uśmiecha się Siedow.

Głośno dzwoni telefon.

— Tu „Atlantyda”... Sasza, do ciebie — mówi Razdolin, który podniósł słuchawkę.

— Słucham. Tak... Dziękuję. Wszystko w porządku. Tak, przywitali mnie nieźle. — Zerka na kolegów. — Rozumiem... A porządek dzienny? Ach tak! — wykrzykuje radośnie. — Dziękuję...

— Naturalnie, naturalnie... Do widzenia.

Odkłada słuchawkę i z uśmiechem patrzy na stłoczonych wokół niego kosmonautów.

— No?! — nie wytrzymuje Razdolin.

— Są wiadomości — mówi Siedow. — O godzinie dwunastej w czwartek odbędzie się narada radzieckoamerykańska. Będzie na niej omawiana sprawa zmiany programu naszego lotu. Skończyły się wasze wczasy!

## 11 WRZEŚNIA. CZWARTEK. KRYM

Trzy jednakowe samochody pędzą górską drogą w stronę pięknego, białego pałacyku, którego malownicze wieżyczki i arkady kryją się wśród drzew bujnego parku.

W jednym z wozów Lennon, odwracając się z siedzącego z tyłu Razdolina, mówi:

— Słuchałem dziś waszego radia. Wiesz, jak dziennikarze nazwali nasze dzisiejsze spotkanie? Drugą Konferencją Jałtańską!

— A propos — Razdolin wskazuje ręką jeden z budynków. — W tym pałacu mieszkał prezydent Roosevelt...

Krótką pauza.

— A im było łatwiej — mówi powoli Lennon.

— Dlaczego?

— Wszystko było jasne i zrozumiałe. Był konkretny wróg i oczywisty cel.

— No, jednak nie łatwiej. Bądź co bądź była wojna.

— A ty jesteś pewien, że jutro nie zacznie się taka rzeź, w porównaniu z którą wszystkie poprzednie wojny wydadzą się niewinnymi zabawami?

— Jestem pewien — mówi twardo Razdolin.

— Dlaczego?

— Dlatego, że jestem komunistą, a co za tym idzie — optymistą. Świadomość społeczna może w jakiejś mierze pozostawać w tyle za rozwojem techniki, ale różnica poziomów nie będzie nigdy zbyt wielka.

— Co tu ma do rzeczy świadomość społeczna?

— Tego przedmiotu, który tam lata — Leżawa pokazuje palcem w niebo — nie mógł zrobić ktoś jeden, jakaś jednostka, bo jednostce nie jest to do niczego potrzebne. Jest ich wielu, a więc pojęcie świadomości społecznej da się zastosować również i do nich.

W drugim samochodzie jedzie Siedow ze Steinbergiem.

— Sasza — mówi John i natychmiast milknie, gdyż to słowo wyrwało mu się mimo woli, jako że nigdy nie zwracał się do swego dowódcy po imieniu. Siedow natychmiast wyczuł napięcie Steinberga i udał, że niczego nie zauważył. — Wiesz — Steinberg przełknął ślinę, jakby go coś dławilo w gardle — to ja wówczas rozpętałem tę sprawę... No wtedy, kiedy byliśmy u Zujewa... Później wiele o tym myślałem... Wszyscy już o tym zapomnieli, a ja wciąż pamiętałem. Chciałem więc... Zaprzagnąłem, żebyś wiedział...

— Dziękuję ci, John — Siedow położył mu rękę na ramieniu. — Zrozumiałem. Zrozumiałem wszystko jak należy, dziękuję...

Samochody zatrzymują się przed pałacowym tarasem. Na jego stopniach oczekuje kosmonautów generał pułkownik Samarin, Zujew oraz profesor Yataki i profesor Delongue, którzy byli z nim na orbicie, i szef amerykańskiej części „Programu Mars” Michael Cateway. Żartobliwe okrzyki, uściski dłoni, przyjacielskie poklepywania po ramionach. Z tarasu obserwuje tę scenę kilka kamer telewizyjnych i liczne obiektywy aparatów fotograficznych i filmowych.

— Przybyli posłowie Neptuna, można zaczynać — mówi ktoś głośno.

Wszyscy ruszają po schodach w górę... Jasna, obszerna komnata. Lustra na jej ścianach sprawiają, że wydaje się jeszcze większa niż w istocie. Wiatr lekko kołysze muślinowe firanki w otwartych oknach. Wielki okrągły stół, a na jego środku dwie chorągiewki — radziecka i amerykańska. Kosmonauci tym razem rozdzielili się na dwie grupy. Po lewej siedzą Amerykanie, po prawej — przedstawiciele ZSRR.

— Panowie, towarzysze! — zagaja Zujew. — Zebraliśmy się tu, aby omówić możliwość zmiany programu lotu statku kosmicznego „Gagarin” w związku z nieprzewidzianymi okolicznościami, które wszyscy doskonale znamy. Załoga nalega na wprowadzenie tych zmian. Wiem, że nie wszyscy się z tym zgadzają, że istnieją argumenty przemawiające przeciwko tym zmianom. Proszę o wypowiedzi.

Cateway prosi o głos. Uśmiecha się do siedzących przy stole i mówi po rosyjsku, ale z bardzo silnym obcym akcentem:

— O ile wiem, Rosjanie powiadają, że nie należy łąpać dwóch srok za ogon. Jest takie przysłowie? To bardzo mądre porzekadło i dlatego jestem przeciwny wyprawie w rejon nie znanego emitera i nalegam, aby lecieć na Marsa zgodnie z dotychczasowym programem. Chodzi głównie o to, że ów program opracowywaliśmy wspólnie przez wiele lat, że wiemy, dokąd i po co lecimy. Nasz statek został przeznaczony do tego właśnie celu. Jest to aparat o wieloletniej samowystarczalności, z idealną załogą, wybraną i przygotowaną do wykonania zadań ekspedycji marsjańskiej. W skład załogi oprócz nawigatorów i techników wchodzi biolog, fizyk i geolog. Zbliży się wreszcie opozycja Marsa, a następna nastąpi dopiero za szesnaście lat. To wszystko nie pozwala na zmianę programu. Już od kilku lat ludzkość oczekuje wyprawy na Marsa... W drugim wypadku — kontynuuje Cateway — nie dysponujemy żadnym programem. Nie wiemy, w jakiej odległości od emitera powinniśmy się zatrzymać, nie wiemy też, co właściwie powinniśmy przedsięwziąć. Statek nie jest przystosowany do lotu zwiadowczego i nie posiada wyposażenia do penetracji otwartego kosmosu. Jego załoga nie jest przygotowana do wykonania zwiadu, gdyż wyjście w otwarty kosmos przewiduje jedynie program awaryjny. Zgodzicie się chyba ze mną, że do wykonania takich zadań niezbędna jest zupełnie inna ekipa, do której byłoby rzeczą skrajnie nierozsądną włączać tak znakomitych fachowców jak astrofizyka Michaela Lennona i geologa Jurija Razdolina. Nie wiemy zresztą zupełnie, jak zachowa się emiter i co może zrobić w ciągu najbliższych paru minut. My tu obradujemy, a on może już spokojnie odleciał. — Cateway usiadł i znów uśmiechnął się do wszystkich zebranych.

— Największy paradoks polega na tym, że Cateway ma świętą rację — mówi Siedow pochylając się w stronę Razdolina. — Ale mimo to musimy z nim dyskutować...

Siedow prosi o głos. Wstaje, wypręża się niemal na baczność. Jest błądy i zdenerwowany, chociaż stara się to ukryć. Mówi szybko, połykając końcówki słów:

— Towarzysze, panowie! Jestem wojskowym i wykonam każdy rozkaz, jaki otrzymam. Jestem dowódcą statku i poprowadzę go tam, dokąd wyśle go zatwierdzony ostatecznie program. Ale w imieniu własnym oraz w imieniu moich towarzyszy, siedzących po obu stronach stołu, chcę powiedzieć kilka słów. Doskonale rozumiemy, czym jest lot na Marsa. Pojmujemy też dokładnie, że my, członkowie tej załogi, już nigdy nie zobaczymy Marsa, o którym wielu z nas marzyło przez długie lata. To, co wy nazywacie zmianą programu, dla nas oznacza przekreślenie życiowych planów. Ale rozumiemy także, że Mars jest przywiązany do Słońca i nigdzie nie odleci. Po latach nasze dzieci spełnią to, co zaplanowaliśmy, i zrobią to z pewnością lepiej od nas. Ale ani dzieci, ani wnuki, ani wszystkie następne pokolenia nigdy nam nie wybaczą, jeśli dzisiaj udamy, że niczego nie słyszymy i niczego nie widzimy. Mister Cateway ma absolutną rację. Może istotnie nasza narada jest zupełnie jałowa, gdyż emiter już odleciał. Co poczujecie, jeśli tak się stanie? Ulgę? Przecież wszystko pozostanie po staremu... Nie! Opanuje was poczucie bezpowrotnej straty, a nawet wstydu za nas wszystkich, za nasze niezdecydowanie, nieufność i podejrzliwość, za to, co tak często przeszkadza nam na Ziemi i co teraz, niestety, przenosimy w kosmos... Usilnie proszę o zmianę programu lotu „Gagarina” i zezwolenie naszej załodze — całej załodze, bez dokonywania w niej jakichkolwiek zmian — na przeprowadzenie rekonesansu w okolicach emitera kosmicznego!

Siedow siada na miejsce. Nagle w ciszy, która zapadła po jego przemówieniu, rozlegają się pojedyncze oklaski. Wszyscy odwracają głowy. To Redford oklaskuje Siedowa. Dołączają do niego najpierw kosmonauci, a potem pozostali uczestnicy narady.



### 30 PAŹDZIERNIKA. CZWARTEK. KOSMOS

Kabina łączności na stacji orbitalnej „Mir-4”. Przy kamerze telewizyjnej stoi operator w błękitnym kombinezonie. Jego nogi tkwią w „strzemionach” przymocowanych do podłogi. Siedow, unosząc się swobodnie w powietrzu, stara się zawisnąć nieruchomo w miejscu, które wskazuje mu operator. Jest skupiony i nieco poirytowany niewygodą, którą powoduje nieważkość. Dlatego zaczyna mówić bez żadnych wstępów, „bez rozbiegu”:

— Proszę wybaczyć mi lapidarność, ale musimy znaleźć się na statku... — patrzy na zegarek — za dwadzieścia dziewięć minut. Jak wiecie, zamierzaliśmy lecieć na Marsa. Nasza trasa uległa zmianie, co nie znaczy, że stała się łatwiejsza. Z wielu tysięcy punktów poprzedniego programu w obecnym został tylko jeden — zrozumieć. Głęboko wierzę, że nam się to powiedzie. Nasza załoga pozdrawia Ziemię. Do widzenia.

Wolno popłynął w stronę śluzy wyjściowej...

Zujew nacisnął kilka guzików na pulpicie zainstalowanym w małym gabinecie roboczym i powiedział pospiesznie, głosem pełnym zatroskania:

— Połączcie mnie z Siedowem, tylko szybko!

Kiedy jednak na ekraniku zapalił się napis „Proszę mówić”, ton Ilji Iljicza uległ całkowitej zmianie, stał się wesoły, a nawet bez troski:

— Aleksandrze Matwiejewiczu! Czemuś taki smętny? — odezwał się głos Zujewa w selektorze stacji orbitalnej.

Siedow jest sam w śluzie. Sprawdza wskazania przyrządów na tabliczkach rozrządnych plecakowych silników odrzutowych, a dopiero później pieczołowicie umieszcza je w miękkich pojemnikach. Odkłada sprawdzany właśnie silnik i mówi tonem, jakim przed chwilą zwracał się do kamery telewizyjnej:

— A niby czemu mam się cieszyć? Przecież czeka nas przerażająca robota...

Zujew, zaskoczony nieoczekiwaną odpowiedzią, przez dłuższą chwilę milczy.

— W jakim sensie przerażająca? — pyta wreszcie.

— W najdosłowniejszym. Przeraża nas odpowiedzialność. Przecież losy całej Ziemi zależą teraz od nas... — mówi spokojnie Siedow.

Znów następuje długa pauza. Potem Zujew odzywa się już nie tym dziarskim, wesołym głosem, lecz wolno, z niezachwianym przekonaniem:

— Masz rację, Aleksandrze Matwiejewiczu. Rad jestem, że to rozumiesz i że mi to powiedziałeś.

### 30 PAŹDZIERNIKA. CZWARTEK. ZIEMIA–KOSMOS

Czarna otchłań upstrzona mrowiem nieruchomych gwiazd. Głęboki cień pomostu cumowniczego stacji orbitalnej, przy którym spoczywa „Gagarin”, widoczny jest tylko dlatego, że w tym cieniu nie ma gwiazd. Jedyne łańcuszek światel pozycyjnych statku kosmicznego błyszczy obok oświetlonych iluminatorów stacji. Nagle ogniki te drgnęły i wolno ruszyły z miejsca. Dziwaczny w kształcie kolos zaczął wypelzać z czarnego cienia, błyszcząc oślepiająco w promieniach słońca. Statek odbijał wolno i majestatycznie, niczym wielki okręt liniowy. Żadnych strumieni odrzutu, jakie niezmiennie towarzyszą startowi raket z Ziemi. Całkowita cisza, jedynie wewnątrz „Gagarina” słychać przenikliwy, wysoki gwizd silników magnetoplazmowych, dźwięk zupełnie nam jeszcze nie znany, melodia startu orbitalnego statku międzyplanetarnego. „Gagarin” rozpoczął swą drogę ku tajemnicy.

Kabina dowodzenia. Dość ciasne pomieszczenie z wielkim, łukowato wygiętym pulpitem, przed którym stoją trzy fotele. W środku siedzi Siedow, po jego lewej stronie Redford, a po prawej Steinberg. Siedow prawą ręką ujmuje rękojeść steru, przypominającą krótki lewarek zmiany biegów w samochodach sportowych, i wolno odchyła ją od siebie. W iluminatorach widać fragment stacji orbitalnej na tle rozmytej, błękitnawej tarczy Ziemi. Z głośnika, niezauważalnego wśród mnóstwa przyrządów na pulpicie, rozlega się równy, spokojny głos Zujewa:

— „Gagarin”, tu dwudziesty. Wystartowaliście bardzo dobrze. Miętko, płynnie. Na razie nie włączajcie skrajnego silnika, gdyż jego strumień plazmowy może wytrącić stację z orbity. Nie róbcie im kłopotów. Kąt penetracji ustalcie po odejściu na większą odległość, zgodnie ze standardowym programem lotu.

— Tu „Gagarin” — zrozumiałem — odpowiada Siedow. — Kąt penetracji dwadzieścia sześć sekund łukowych. Ustalimy go w odległości dwudziestu kilometrów. U nas wszystko w porządku, parametry lotu w normie. — I nagle dodaje głosem pełnym podniecenia i zachwytu: — Iljo Iljiczu! To się nazywa statek! Żeby taki ogrom dał się tak łatwo prowadzić!...

— A czyja to robota? — odpowiada z dumą w głosie Zujew.

Głos Steinberga: — Tu trzeci. Dziesiąta minuta lotu. Parametry plazmy w normie.

Głos Leżawy: — Tu czwarty. Układy bezpieczeństwa załogi w normie.

Głos Lennona: — Tu szósty. W dziesiątej minucie lotu odległość od stacji cztery tysiące osiemset trzydzieści cztery metry.

— Tu drugi — mówi Redford. — Dziesiąta minuta, raporty przyjąłem.

Radość, a nawet zachwyty wywołany posiadaniem tak sprawnego statku przytłumiona jest pełnym niepokoju napięciem, gotowością udzielenia natychmiastowej pomocy. W zasadzie „Gagarinem” może kierować jeden człowiek, a nawet komputer, który w rasie jakichkolwiek odchyłeń od programu błyskawicznie zanalizuje przyczyny i w mgnieniu oka, nieporównanie szybciej od najlepszego pilota, znajdzie najskuteczniejszy sposób usunięcia dowolnych zakłóceń. Ale teraz, kiedy statek robi swoje pierwsze kroki, członkowie załogi zachowują się jak troskliwe niańki trzęsące się nad niemowlęciem. Siedow uważnie czuwa nad plazmowym sercem napędu. Razdolin pomaga mu siedząc przy rezerwowym pulpicie sterowniczym w głównym laboratorium fizycznym. Przełaz, na czas startu szczelnie zamknięty, łączy laboratorium fizyczne z komora służową, skąd przez łącznik można dotrzeć do „Mayflowera”, maleńkiego stateczku, który miał wylądować na powierzchni Marsa.

Przy pulpicie kontroli biologicznej siedzi Anzor Leżawa. Sterylna, szpitalną biel zespołu biomedycznego przyjemnie ożywia zieleń maleńkich cieplarenek. Wśród nich stoją klatki z białymi myszkami i świnkami morskimi, które już zdołały oswoić się z nieważkością i teraz siedzą na siatkach sufitowych lub śmiesznie pływają w powietrzu. W kardanowych uchwytach tkwią kuliste akwaria z rybkami, a pęcherzyki włączanego do naczyń powietrza nie dążą jak zazwyczaj ku górze, lecz wirują wokół ścianek.

Michael Lennon, kontrolujący pracę automatycznych urządzeń nawigacyjnych, znajduje się w obserwatorium. Ta kabina różni się od pozostałych pomieszczeń „Gagarina” znacznie większymi iluminatorami i sposobem zainstalowania aparatury, która zdaje się przenikać na wylot przez ściany. Lennon siedzi — jak by najprecyzyjniej określić? — na bocznej ścianie, jeżeli przyjąć, że fotel Leżawy jest przymocowany do podłogi. „Gagarin”, zmontowany na orbicie stacjonarnej i przeznaczony wyłącznie do rejsów między planetami, nie zna pojęcia ciężenia, a więc także pojęcia „dołu” czy „góry”. Nic więc dziwnego, że konstruktorzy umieścili niektóre stanowiska robocze, wyjścia i wejścia jak na nasz ziemski gust dość dziwacznie. Na statku sześć kabin załogi ulokowano wokół szerokiej rury, pełniącej obowiązki korytarza. Jeśli wszyscy kosmonauci przymocują się pasami do swych posłań, to okaże się, że każdy z nich śpi w stosunku do któregoś z kolegów „do góry nogami”... Sens budownictwa prostokątnego zatraca się w warunkach nieważkości. Dlatego wielka mesa ma kształt kuli. Jedyna magnetyczna nóżka fotela, tocząc się po sferycznej powierzchni, może zająć w niej dowolne położenie, nic więc dziwnego, że Lennon może pracować „siedząc na ścianie”.

„Gagarin” legł na kurs prowadzący do tajemniczego emitera. Siedow wyprostował się w swym fotelu, przetarł pięściami oczy, musnął przycisk łączności wewnętrznej i powiedział wesoło:

— Przechodzimy na lot automatyczny. Dziękuję za dobrą robotę. Dyżur w sterowni obejmuje Steinberg. Pozostałych proszę na obiad...

Z różnych kabin i laboratoriów do kulistej mesy spływają kosmonauci. Po drodze wyjmują ze ściennych lodówek torebki i tuby z pokarmem, wsuwają je do podgrzewanych otworów w stole.

Razdolin włącza elektromagnes stołu, mocując w ten sposób na płycie sztucze oraz metalową folię tub i opakowań.

— Spośród wszystkich ludzkich wolności najtrudniejszą do zdobycia, wymagającą największych poświęceń i samozaparcia jest swoboda myśli — mówi Redford, wysysając grochówkę z tuby. — Nam, ludziom lecącym w kierunku „Proteusza”, tak samo trudno jest wyobrazić sobie odmienną psychologię i logikę, jak kilka lat temu konstruktorom nie mieściło się w głowach, że pokój w kształcie kuli jest idealnym pomieszczeniem do życia w nieważkości.

— Czemu jednak mówisz wciąż o odmiennej logice i psychologii? — oponuje Razdolin. — A jeśli u nich wszystko jest takie samo jak u nas?

— Jeśli tak jest — Siedow wyręcza w odpowiedzi Redforda — to po co, u diabła, przylecieli tu i brzęczą nam nad głowami? Gdybyś poleciał na inną planetę, też byś tak brzęczał?

— Słuchajcie, chłopcy — wtrąca się Leżawa — a może to brzęczenie zawiera jakieś informacje?

— Przecież ten Anglik — odzywa się Siedow — zapomniałem jego nazwiska...

— Coguel — podpowiada Lennon.

— Dziękuję. Przecież on wykazał, że promieniowanie emitera nie jest w żaden sposób modulowane. Utrzymuje stale tę samą moc, amplitudę i częstotliwość. Wyobraź sobie grubą księgę bez jednej chociażby litery, książkę składającą się wyłącznie z czystych stron. To właśnie będzie ich zbiór opowiadań, zapis ich komunikatu.

— A ja jestem przekonany, że w tej pozornej monotonii coś się jednak kryje — nie daje się przekonać Leżawa. — W przeciwnym razie należałoby przyjąć...

Przerywa mu głos Steinberga, rozlegający się z głośnika łączności wewnętrznej:

— Dowódcu! Tu trzeci. Można odnieść wrażenie, że stoimy w miejscu, chociaż z drugiej strony wszystko wskazuje na to, że lecimy. Niczego nie rozumiem...

Ludzie w mesie milkną. Siedow wciska jeden z klawiszy na stole i mówi:

— Tu pierwszy. Co to znaczy, że stoimy?!

— Ze wskazań aparatury wynika, że nie lecimy naprzód — odpowiada Steinberg niepewnym tonem.

— Dokąd więc lecimy? — pyta Redford.

— Gdzieś lecimy, ale nie w jego stronę! — wykrzykuje zdumiony Steinberg.

— Poczekaj, zaraz zorientujemy się, o co chodzi...

Wszyscy szybko nurkują w szeroki otwór przełazu prowadzącego do kabiny dowodzenia.

— Lecimy w kierunku emitera i jego promieniowanie było naszym zasadniczym pelengiem. Im bardziej się do niego zbliżamy, tym silniej go słyszymy. To jest oczywiste — tłumaczy Steinberg, kiedy wszyscy kosmonauci zebrali się przed pulpitem. — Oto przesunięcie widma częstotliwości wywołane naszym ruchem.

— Efekt Dopplera — mówi Siedow.

— Tak jest — zgadza się John. — Poziom nieustannie rósł. — Wciska przycisk i na jednym z ekranów pojawia się jaskrawozielona linia, wznosząca się równomiernie do góry. — Tak było, a potem zaczęło się coś takiego... — Nacisnął inny guzik i linia przestała się wznosić, przez jakiś czas szła poziomo, by wreszcie wolno i łagodnie opaść w dół. — Z tego wynika, że w tym miejscu zatrzymaliśmy się — John wskazał punkt na wykresie — a potem poleciliśmy gdzieś w bok od emitera.

— Co wykazuje namiar laserowy z Ziemi? — zapytał pośpiesznie Redford.

— Że oddalamy się od niej dokładnie według programu lotu — Steinberg wskazał ręką inny ekran.

— Wszystko jasne — mówi nagle Lennon, unosząc się ponad oparciami foteli. — Odpowiedź może być tylko jedna, ale nie mieści się w głowie! Chłopaki, czyżby to była prawda?

Sala ośrodka kontroli lotów Instytutu Kosmicznego. Na wielkim ekranie ściennym widnieje świetlny wykres z Ziemią, Księżycem, pulsująca czerwona gwiazdka emitera i białym krążkiem, pełznącym wolno w jego kierunku — „Gagarinem”. Przeskakują cyfry w okienkach opatrzonych napisami: „Czas pokładowy”, „Czas moskiewski”, „Czas Houston”, „Czas uniwersalny”. Za szeregami pulpیتów siedzą dyżurni. Przy jednym z nich, opatrzonym tabliczką z napisem „Kierownik techniczny lotu”, tkwi Ilja Iljicz Zujew. Marynarkę powiesił na oparciu krzesła, zawinął rękawy koszuli, rozpiął kołnierzyk i rozluźnił węzeł krawata. Jest zmęczony, oczy ma zaczerwienione i od razu widać, że spędził przy tym pulpicie już wiele godzin. Wolno popija kawę z maleńkiej filiżanki, stojącej wprost na blacie pulpitu. Na sali panuje senna atmosfera, wszystko toczy się zgodnie z planem i jak to zwykle bywa, gdy nic szczególnego się nie dzieje, napięcie pierwszych godzin lotu „Gagarina” ustąpiło miejsca pewnej apatii. Dlatego nieoczekiwanie głośny okrzyk młodego koordynatora łączności zabrzmiał szczególnie alarmująco:

— Dwudziesty, dwudziesty szósty i trzydziesty, proszę o uwagę! Tu sto siódmy. Obserwatorium w Goldstone donosi, że o godzinie 17.25.43 czasu uniwersalnego rozpoczęło się zmniejszanie mocy sygnału emitera w tempie 183,3 kilowata na minutę. Spadek mocy utrzymuje się już od czterech minut. Zujew dosłownie podskoczył na swym foteliku:

— Uwaga, sto siódmy! Zapytajcie Goldstone, czy zaobserwowano zmianę współrzędnych emitera?

— Przyjąłem.

— Ładna historia! — westchnął Zujew. — Czyżby odlecieli? Właśnie teraz?! A niech to diabli wezmą! Ale z jaką szybkością trzeba lecieć, żeby tracić sto osiemdziesiąt trzy kilowaty na minutę? To przecież ludzkie pojęcie przechodzi! Stali, stali i nagle ruszyli z kopyta!

— Tu sto siódmy. Współrzędne emitera pozostały bez zmian. Informację z Goldstone potwierdziły obserwatoria w Mount Palomar i w Caracas.

— Przyjąłem — powiedział radośnie Zujew. — Dziękuję, sto siódmy. Uwaga czterdziesty! Jaka będzie moc nadajnika przy dotychczasowym spadku promieniowania i szybkości „Gagarina” zgodnej z programem lotu w momencie jego podejścia do ciała kosmicznego? Czekam.

Nacisnął klawisz na pulpicie i powiedział półgłosem po angielsku:

— Cateway! To ja! Jak ci się to podoba?! Milkną! Wyobrażasz sobie?

— Trzeba zawiadomić chłopców — odpowiada Cateway z malutkiego ekraniku na pulpicie.

— Jestem pewien, że oni już to zauważyli!

— Ale lepiej będzie ich uspokoić. . — Zaraz, tylko otrzymam prognozę.

— Uwaga, dwudziesty. Tu czterdziesty. Jeśli natężenie promieniowania nadal będzie spadać w takim tempie, po zbliżeniu się „Gagarina” na sto metrów do emitera jego moc będzie równa się zeru.

Zujew znów podskakuje do góry:

— Oni w ten sposób wskazują nam, w jaki sposób trzeba cumować! A niech to diabli porwą!

Przez salę przetoczyła się fala pełnego troski ożywienia. Po niedawnej apatii nie zostało nawet śladu. Wiadomość, że emiter, który przez te wszystkie zwariowane tygodnie działał bez najmniejszej zmiany, nieoczekiwanie milknie, wytrąciła wszystkich z równowagi.

— Uwaga, stacje obserwacyjne! Uwaga, wszyscy dyżurni! Uwaga, „Gagarin”! Tu dwudziesty, uwaga, „Gagarin”!

— Dwudziesty, tu „Gagarin”, słuchamy was — rozlega się głos Siedowa.

— Rozpoczął się spadek mocy emitera. Od 17.25.43, powtarzam, od 17.25.43 moc spada w tempie 183,3 kilowata na minutę. Według naszych obliczeń w chwili waszego podejścia nadajnik powinien zupełnie zamilknąć. Jak mnie zrozumieliście?

— Zrozumieliśmy doskonale. Już przedtem to zrozumieliśmy. To zasługa szóstego, który natychmiast zorientował się w sytuacji.

— Moje gratulacje dla szóstego. Chłopcy! Wygląda na to, że was zauważyli, obserwują i zdają sobie sprawę z waszych zamiarów.

Rozumiecie, jakie to jest ważne?! — Zujew jest bardzo podniecony. Unosi się z fotela, obejmuje za ramiona stojących obok niego operatorów i niemal krzyczy do mikrofonu: — Zrozumcie, zrozumcie, chłopcy! Całkiem możliwe, że znajdujemy się teraz w punkcie zwrotnym historii ludzkości! Zapamiętajcie tę chwilę! Zapamiętajcie wszystko: ludzi, pogodę i kawę, którą piliście... Zapamiętajcie! Zanotujcie w pamiętnikach!... Potomkowie, wasze dzieci i wnuki, zapytają was: a jak to wszystko się odbyło?...

— Koniec — mówi Siedow zwracając się do kolegów otaczających go w kabinie dowodzenia. — Na dziś przygód wystarczy. Wachtę obejmuje Razdolin. Pozostali idą spać. Jutro czeka nas trudny dzień.

Kosmonauci płyną w stronę wyjścia. Redford zatrzymuje się na chwilę, patrzy w iluminator i nie odwracając głowy mówi do Razdolina:

— Popatrz, jaki dziś mamy wspaniały księżyc... i w ogóle, Jura, ogromnie wiele piękna jest na tym świecie...

### 31 PAŹDZIERNIKA. PIĄTEK. ZIEMIA–KOSMOS

Ranek. Zresztą, jaki tam ranek?! Po prostu początek nowego dnia roboczego w kabinie dowodzenia „Gagarina”. Rozpoczął się ten dzień od nowych zagadek.

— Niczego nie rozumiem — zwraca się Siedow do Redforda. — Przecież promienie słoneczne powinny teraz oświetlać „Proteusza”, a zamiast wyraźnego kształtu widzimy jakąś ciemną, rozlaną plamę.

Na rozgwieżdżonym niebie tylko z największym trudem można dostrzec podłużny cień bez występow, ostrych krawędzi, nadbudówek i anten, bez najróżnorodniejszych wielkich i małych detali, nieodzownych na każdym statku kosmicznym Ziemian. Ten ciemny przedmiot bardzo wolno zbliża się i lekko wiruje.

— „Gagarin”! Dlaczego milczycie? Opowiadajcie wreszcie, co się tam u was dzieje! — mówi poirytowanym głosem Zujew.

Stojący obok generał Samarin kładzie mu rękę na ramieniu:

— Iljo Iljczu, nie popędzaj ich.

— Trudno powiedzieć coś konkretnego — odzywa się Razdolin. — Ciemne ciało. Barwy nie potrafię określić. Kształtu również. Nieprawidłowy elipsoid. Mówiąc po prostu, wygląda to jak bulwa ziemniaczana...

— Co ty mi będziesz opowiadał o kartoflach! — rozzłościł się Zujew. — Jesteście o dwa kilometry od obiektu i nie potraficie powiedzieć o nim niczego rozsądnego. Jak on wygląda? Jak jest zorientowany? Co znaczy „ciemny”? Przecież on nie może być ciemny!

— Nie może, ale jest... — próbuje oponować Razdolin. — Widzimy tylko jego niewyraźną sylwetkę...

— Iljo Iljczu! — Siedow ostrym tonem przerywa geologowi. — Proszę, aby Ziemia zostawiła nas w spokoju! Pozwólcie nam samym zorientować się w sytuacji. Nic wam nie możemy powiedzieć, gdyż sami na razie niczego nie widzimy.

— Ale przecież Słońce powinno go oświetlać... — już innym tonem próbuje upierać się Zujew.

— Powinno, ale nie oświetla! — niemal krzyczy Siedow. — Nie chce oświetlać i już... Nie ma nic, tylko jakaś zamazana bryła za iluminatorem, rozumiecie?!

— W porządku — mówi sucho Zujew. — Nie zadaję więcej żadnych pytań. Sami prowadźcie rozeznanie.

Lennon przegląda wyniki obliczeń zakończonych przed chwilą przez komputer pokładowy. Rozwicherza sobie włosy prawą dłonią i wykrzykuje w niebotycznym zdumieniu:

— To przecież niemożliwe!

Z kartką w rękę płynie do kabiny dowodzenia i „cumuje” za fotelem Siedowa.

— Dowódco! Zrobiłem parę obliczeń. Skoro niczego nie widzimy, znaczy to, że emiter pochłaniania niemal całe promieniowanie widzialne. Wynika z tego, że musi mieć zupełnie niewiarygodny współczynnik odbicia. Przecież żadne ciało w przyrodzie nie ma takiej charakterystyki pochłaniania!

Redford mówi do Siedowa:

— Na Ziemi wciąż zastanawialiśmy się, skąd on bierze energię... Zewsząd. Ze Słońca, z gwiazd, z Ziemi, z Księżyca. On po prostu pożera światło...

Leżawa, obserwując zdumiewający obiekt przez iluminator swego laboratorium, również wpada w podniecenie.

— Tu czwarty — melduje do kabiny dowodzenia. — Sasza, głupia sprawa, ale wydaje mi się, że” on oddycha...

— Oddycha? Jak to oddycha?! — podskakuje Siedow.

— No, jeśli dobrze się przyjrzeć, to jego kontury lekko drgają. Sprawdźmy zapis radiolokatora, to powinno być widoczne na wykresie.

— Radiolokator pracuje bardzo źle — odzywa się Razdolin. — Sygnał odbity jest bardzo słaby, niemal na granicy odbioru...

— Ale spróbować zawsze warto — nalega niecierpliwie Redford.

Na zielonkawym ekranie ukazuje się drżący, nieprawidłowy owal. Widać wyraźnie, że jego kontury lekko pulsują, wybrzuszą się i znów opadają, ale bardzo wolno, płynnie, prawie niezauważalnie.

Mesa „Gagarina”. Znajdują się w niej wszyscy kosmonauci, poza pełniącym wachtę Leżawa.

— Dlaczego on wykazuje taką absolutną obojętność i nie reaguje zupełnie na naszą obecność? — mówi w zadumie Razdolin, machinalnie przebierając palcami po guziczkach automatycznej fonoteki. Rozlegają się strzępki „Bolera” Ravela, to znów głęboki głos lektora deklamuje fragment jakiegoś poematu...

— Jura, przestań, bardzo cię proszę! — mówi Steinberg po angielsku.

— A mnie zdumiewa — włącza się Lennon — ignorowanie prawa zachowania energii. Emiter pochłania energię i niczego nie oddaje w zamian. Gromadzi? Jak? Gdzie? W takiej znikomej objętości? Nawet czteropiętrowy dom jest większy od niego. Nie wiem, czy śmiać się czy płakać... Gdyby jeszcze...

Przerywa mu zdumiony okrzyk Leżawy, pozostającego na wachcie w kabinie dowodzenia:

— Patrzcie! Patrzcie!...

— Na miejsca! — krzyczy Siedow.

— Co tam się u was dzieje? — pyta z niepokojem głośnik. — „Gagarin”! Tu dwudziesty. Zameldujcie sytuację.

— Tu czwarty. Wszystko widać, wszystko widać jak na dłoni — mówi Leżawa głosem przerywanym ze zdenerwowania.

A w iluminatorze odbywa się zaiste zdumiewająca transformacja. To, co jeszcze przed chwilą było jedynie rozmytą, ciemną plamą, po prostu w oczach zaczyna nabierać kształtów. Dziwne, srebrzystozielone ciało zawieszona w kosmosie zupełnie nie przypomina statku międzyplanetarnego. Jest to raczej powiększony do gigantycznych rozmiarów model pierwotniaka, niewiarygodny mikroorganizm pulsujący wolno, niczym kropla nierozpuszczalnej cieczy wisząca w wodzie. Te ruchy — nieregularne, nie dające się przewidzieć na podstawie wcześniejszych obserwacji — nie miały w sobie niczego groźnego czy niepokojącego, a jednocześnie tak nieodparcie przykuwały wzrok, iż wręcz nie można było oderwać oczu od tej niewiarygodnej, kosmicznej fantasmagorii.

## 15 LISTOPADA. SOBOTA. ZIEMIA–KOSMOS

Zujew siedzi przy wielkim, okrągłym stole w jednym z gabinetów Ośrodka Kontroli Lotów:

— ...Jedynym wynikiem dwutygodniowych obserwacji jest mocno naciągane, bardzo sporne równanie równowagi energetycznej emitera. Nie wiemy nadal, czy to jest pilotowany statek czy też automat. A mister Wilkins — pochylił głowę w stronę wysokiego, siwego mężczyzny, również siedzącego za stołem — słusznie dziś zauważył, że to wcale nie musi być siedziba istot rozumnych, lecz jedna myśląca istota, żyjąca samoistnie w kosmosie i podróżująca bez pomocy jakiegokolwiek aparatury. Brzmi to wprawdzie fantastycznie, ale również jest możliwe. Dlaczego niby nie?

— A dlaczego niby tak, Iljo Iljiczu? — pyta cicho inny uczony, siedzący opodal Zujewa. — Po co nam te wszystkie zmyślenia rodem z powieści fantastycznych? Potrzebne są nam fakty i tylko fakty, a nie „myślące superameby”...

Jeszcze inny uczestnik narady mówi leniwie, obcinając starannie gilotyną koniuszek cygara:

— Powiedzmy sobie szczerze, że wszystko wyobrażaliśmy sobie nieco inaczej. Mówiliśmy o kontakcie, a tymczasem minęło czternaście dni i żadnego kontaktu nie ma...

— To już wiemy — przerywa Zujew mężczyźnie z cygarem. — Czy ma pan jakieś pozytywne propozycje?

— Nie mam nawet propozycji negatywnych — odpowiada zagadnięty tym samym ospałym tonem.

Półciemna kabina dowodzenia na „Gagarinie”. W fotelu przy pulpicie siedzi tylko wachtowy — Siedow. Małe lampki sygnalizacyjne ledwie oświetlają jego twarz.

Wydaje się, że on śpi. Ale nie, po prostu myśli.

— Sasza... — z ciemnego przełazu wypływa Redford. — To ja...

— A, Allan, siadaj. — Siedow prostuje się. — Czemu nie śpisz?

— Nigdy dobrze nie śpię w kosmosie. Chwilę milczą.

— Sasza, ciągle o tym wszystkim myślimy, ale znów na coś czekamy, tak jak czekaliśmy na start w podwodnym domku. Ja też jestem wojskowym i szanuję rozkazy, ale doskonale rozumiesz, że trzeba działać.

— Ziemia na razie milczy.

— Co to znaczy milczy? — irytuje się Redford. — Zapytaj jeszcze raz!

— Zujew nie należy do ludzi, którzy lękają się krzyku, wiesz o tym nie gorzej ode mnie.

— Co on mówi? — pyta Redford.

— Odpowiada tak, jak można się tego było spodziewać: „Gagarin” powinien utrzymywać stałą łączność z Ziemią i czekać na dyspozycje. Inna rzecz, że powiedział to dość niecodziennym tonem.

— Najgłupszą rzeczą, jaką może zrobić Zujew, jest radzenie się Catewaya — warknął Redford. — Jestem święcie przekonany, że kiedy mamusia Catewaya leżała w klinice położniczej, nasz przyjaciel mimo to zdołał uzgodnić z Kongresem swoje przyjście na świat.;

Sala konferencyjna w Ośrodku Kontroli Lotów. *Table ronde* uczonych.

— Cateway radzi czekać, ja natomiast wiem, że nie mamy na co czekać — mówi poirytowanym tonem Zujew.

— Jednak nic nam nie przeszkadza w czekaniu — odpowiada człowiek z cygarem.

— Ma pan niewątpliwie rację — wzrusza ramionami Zujew. — Z drugiej jednak strony czekać mogliśmy z równym powodzeniem na Ziemi. Wyprawę wysłaliśmy nie po to przecież, aby czekać, lecz po to, żeby zorientować się w sytuacji, żeby poznać i zrozumieć!...



— Dowiedzieliśmy się wielu rzeczy — mówi mężczyzna z cygarem. — Kontaktu nie ma, a to również jest wynik. W badaniach naukowych brak rezultatu pozytywnego nie przekreśla ich wartości konstruktywnej.

— I znów trudno mi zaoponować — mówi coraz bardziej zdenerwowany Zujew. — Chciałbym jednak zapytać, co mam powiedzieć kosmonautom? Jedyna propozycja działania jak na razie wyszła od nich. Czekają na naszą zgodę już od trzech dni.

— A kto weźmie na siebie odpowiedzialność za taką zgodę? — pyta złośliwie staruszek w czarnej, „akademickiej” czapeczce.

Następuje pauza. Wszyscy nawzajem unikają swoich spojrzeń i z nagłym zainteresowaniem zaczynają gapić się w stół.

— Ja — mówi półgłosem Zujew. — Ja wezmę, a poza tym posiadam pełnomocnictwa, udzielone mi w tym względzie przez nasz rząd.

Zebrani jak na komendę obracają się w jego stronę.

— To wielkie ryzyko, Iljo Iljiczu — mówi staruszek.

— Kto nie ryzykuje, ten nie wygrywa — odzywa się człowiek z cygarem.

Zujew podskakuje jak użądłony.

— Nie jestem hazardzistą! — skanduje.

Komora śluzowa „Gagarina”. Redford i Leżawa mają już na sobie skafandry. Siedow, Razdolin i Lennon krzątają się wokół nich, coś poprawiają, pomagają zapiąć silniki plecakowe, wygładzają tkaninę skafandrów — słowem zachowują się tak, jak rodzice wysyłający jedynaka po raz pierwszy do szkoły. — Podejdiesz i powiesz w nienagannej angielszczyźnie — wygłupia się Razdolin, kładąc rękę na ramieniu Redforda: „Serdecznie zapraszam na moje rancho w Teksasie...”

— Gdy tylko umocujecie analizatory, wracajcie nie tracąc ani sekundy — po raz któryś z rzędu przypomina Siedow. — Nie wiemy, jakich reakcji można się po nim spodziewać. Żadnych oględzin, żadnych oblotów. To rozkaz!

— Wyobraź sobie, Anzor — nie daje za wygraną Razdolin — że tam w środku siedzą malutkie, wylupiastookie ludziki, wypisz, wymaluj żabki rzekotki. Stoły nakryte, zapraszają was, częstują... Siadacie, a potem cap taką pijaną żabkę i w nogi!

— A jeśli oni nas wsadzą do kieszeni? — pyta wesoło Leżawa.

Cała ta pozornie głupia gadanina, niezbędna do utrzymania wewnętrznej równowagi, zdaje się przemykać bokiem, nie zahaczając nawet o napięcie, które w równej mierze czują zarówno ci dwaj, którzy za moment wyjdą w otwarty kosmos, jak i ci, którzy pozostaną na statku i będą czekać.

— No dobra — powiedział półgłosem Redford i wszyscy natychmiast spowaźnieli. — Już czas...

Obejmują się, całują. Z głośnika odzywa się Steinberg:

— Dowódcu, jest 18.00. Trzeba zacząć śluzowanie...

— Idziemy — odpowiada Siedow.

Cateway odpowiada na pytania dziennikarzy:

— Obiecałem was poinformować o wszystkich wydarzeniach, a ja zawsze dotrzymuję słowa. Tak więc podjęto decyzję wysłania dwóch kosmonautów w otwarty kosmos.

Rozlegają się podniecone głosy: — Kto? Kto wychodzi?

Kilku dziennikarzy już popędziło do sąsiedniej sali, aby skorzystać z telefonów i dalekopisów.

— Allan Bedford pierwszy zbliży się do emitera, a następnie Anzor Leżawa umocuje na jego powierzchni komplet czujników. Wyjście na zewnątrz statku zaplanowano na 18.30 czasu pokładowego. Lennon i Razdolin przeprowadzą reportaż telewizyjny, który będziecie mogli zobaczyć z galerii prasowej naszej sali operacyjnej...

Spocona z podniecenia twarz Siedowa przy iluminatorze kabiny dowodzenia. Dowódca ze swego miejsca doskonale widzi, jak z komory służowej wolno wypływają dwie srebrzyste figurki. Redford, płynący przodem, lekko poruszył ręką, pozdrawiając kolegów i miliony widzów na Ziemi. Z tyłu, nieco w bok od Redforda, płynie Leżawa, trzymający w rękach niewielki pojemnik z czujnikami.

— Allan, wszystko idzie normalnie — bardzo cicho, niemal szeptem mówi Siedow do krążka mikrofonu umocowanego tuż przy wargach. — Nie spiesz się, bo wszystko przebiega zgodnie z planem. Tylko się nie spiesz...

— Tu czwarty. Czy są jakieś zmiany obiektu? — nieco ochrypłym głosem pyta Leżawa. Najwidoczniej trochę się boi.

— Zrozumiałem, czwarty — odpowiada natychmiast Razdolin ze swojego stanowiska w laboratorium chemicznym. — Nie ma, nie ma żadnych zmian. Zachowuje się spokojnie.

— Kumkania nie słyhać? — pyta znów Leżawa.

— Nie rozumiem... — odpowiada zaskoczony Razdolin.

— Przecież mówiłeś, że w środku są żabki! — śmieje się Leżawa.

— Czwarty, dość żartów! — przerywa mu ostro Siedow. I dodaje miękko: — Anzor, wybrałeś sobie nie najlepszą porę do dowcipkowania. Przynajmniej raz w życiu bądź poważny...

Lennon mówi beznamiętnie:

— Odległość między obiektem a drugim wynosi trzydzieści jeden metrów.

— Przyjąłem — kwituje spokojnie Redford.

Siedow przez swój iluminator doskonale widzi, jak dwie figurki podpływają coraz bliżej do „Proteusza”, popychane niewidzialnymi strugami odrzutu raketowego.

— Wszystko w porządku, Allan — szepcze. — Nie spiesz się. Widzisz coś?...

— To przypomina ciecz — odpowiada Redford. — Zupełnie jak kropla oliwy w wodzie...

— Spokojnie, Allan. Hamuj. Podejdiesz wolniutko, ale na wszelki wypadek odwróć się...

— Tu drugi. Zrozumiałem. Nie denerwujcie się. U nas wszystko jest zupełnie okay!

Redford wolniutko, niczym piórko w nieruchomym letnim powietrzu, zbliża się do słabo pulsującego ciała emitera i wyciągnąwszy ręce do przodu łagodnie i tak już delikatne zderzenie.

— Jest kontakt! — mówi spokojnie.

— Przyjąłem — odzywa się Lennon.

— Zupełnie twarde ciało — melduje Redford. — Nic strasznego...

Odepchnął się od „Proteusza”, siłą bezwładności odpłynął od jego powierzchni i obrócił się twarzą w stronę wolno zbliżającego się Leżawy.

— Uwaga piąty, tu pierwszy — mówi pospiesznie Siedow. — Czy są jakieś zmiany w parametrach obiektu?

— Tu piąty — odpowiada natychmiast Razdolin. — Wszystko po staremu, nie ma żadnej reakcji.

Zujew w Ośrodku Kontroli Lotów skurczył się i sprężył jak do skoku. Niczego nie widzi poza ekranem telewizyjnym, gdzie na tle emitera błyszczą dwie srebrzyste figurki.

— Powierzchnia jest zupełnie twarda — dźwięczy w sali głos Redforda — a jednocześnie elastyczna... Nie wiem, z czym dałoby się to porównać... Wyobraźcie sobie gumę, bardzo twardą gumę napiętą jakimiś wewnętrznymi siłami... Ale gumę błyszczącą jak metal i jakby...

— Do tyłu! — rozlega się ostry, alarmujący krzyk Siedowa.

Wprost przed srebrzystymi figurkami na słabo pulsującym cieple emitera utworzył się nagle szeroki, błyskawicznie pogłębiający się lej. Jego krawędzie wytrysnęły do przodu, zagarnęły kosmonautów, połączyły za nimi i natychmiast wygładziły, aby za moment znów rozpocząć słabe, powolne pulsowanie. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą byli ludzie, teraz nie było nikogo.

Stało się to tak szybko, że przypominało magiczną sztuczkę, złudzenie optyczne. W pierwszym momencie nikt nie zareagował. Wszyscy zdawali się czekać na odwrotną sztuczkę czy też na jej dalszy ciąg. Ludzie znieruchomieli, stracili głowy z powodu nagłości i dziwnej prostoty wydarzenia. Nastąpił krótki spazm powierzchni emitera i kosmonauci zniknęli... Jak podrzucony sprężyną poderwał się błady, przerażony Zujew.

Siedow zmrużył powieki i przez chwilę trwał bez ruchu. Otworzył oczy, popatrzył przez iluminator i ujrzał tylko pustkę. Tajemniczy emiter, jeszcze przed chwilą jaskrawo świecący, szybko bladł, ciemniał, rozpuszczał się w czerni kosmosu.

## 16 LISTOPADA. NIEDZIELA. ZIEMIA–KOSMOS

— Członek Akademii Nauk uważa, że nie należy traktować reakcji emitera jako jednoznacznie agresywną. Wprawdzie podjęto niezwłocznie przygotowania do ewentualnego aktywnego oddziaływania na ciało kosmiczne, ale... — mówi komentator z ekranu telewizyjnego.

Lija szybko podchodzi do szafy, zdejmuje z niej walizkę i zaczyna pakować jakieś ubrania.

— Dokąd się wybierasz — pyta ojciec.

— Do Moskwy — odpowiada zupełnie spokojnym głosem.

— Po co?

— Nie wiem...

Siada obok walizki, coś w niej przekłada, potem nagle podrywa się i rzuca ojcu na szyję.

— Tato, tatusiu, co się stało? Potworność, prawdziwy koszmar! Co to było?

— Uspokój się. — Gładzi ją po głowie. — Nie wiem, co to było. Skąd mogę wiedzieć? Anzor wróci i wtedy nam wytłumaczy.

— Wróci?! — Pytanie zabrzmiało jak krzyk rozpacz.

— Oczywiście. Anzor niebawem wróci. Jestem tego pewien.

— Skąd wiesz?! Jak to w ogóle można wiedzieć?

— Wiem... Usiądź. Zaraz napijemy się herbaty.

Idzie do kuchni, odkręca kran. Czajnik już jest pełny, woda płynie z dziobka, ale stary człowiek tego nie widzi, bo twarz ma zasłoniętą rękoma.

Matka Siedowa siedzi na brzeżku krzesła przy małym biurczku w domu kierowniczkii klubu Lubow Timofiejewny, tej samej, która podczas uroczystego powitania Aleksandra Matwiejewicza dyrygowała orkiestrą. Lubow Timofiejewna jest opatulona w ciepłą chustę. Siedzi przed telewizorem i nie odrywa wzroku od ekranu.

— Timofiejewna — mówi matka Siedowa, mnąc w rękę chusteczkę mokra od łez. — Jesteś kobieta kształcona, więc wytłumacz mnie, głupiej, co to takiego było? Niczego nie rozumiem... Gdzie się podział ten Gruzin? Gdzie się oni obaj podzieli? Może ono ich zjadło? A co z Szura? Ja przecież Szurę znam, on przecież teraz pójdzie ich ratować. Boże, odpuść nam nasze winy...

Zujew stoi przed tłumem dziennikarzy: — Teraz jestem gotów odpowiedzieć na wasze pytania.

Podrywa się młody mężczyzna z notesem w rękę.

— Dziennik „l'Humanité”. Na ile godzin wystarczają zapasy powietrza, wody i pożywienia w skafandrach?

— Na osiemnaście godzin...

Dziennikarz patrzy na zegarek.

— Wobec tego za trzy i pół godziny ich zasoby muszą się wyczerpać?

— Tak, mniej więcej tak — odpowiada Zujew.

Obserwatorium Lennona na „Gagarinie”. Przy jego wielkich iluminatorach zebrali się czterej pozostali na pokładzie kosmonauci. Pełne napięcia oczekiwanie na towarzyszy, brak jakichkolwiek uzasadnionych nadziei na ich powrót powoduje, że panuje wśród nich wręcz beznadziejna, ciężka atmosfera.

— Tracimy na próżno czas — mówi gwałtownie Razdolin. — Im mniej czasu, tym mniej możliwości.

— Co masz na myśli? — pyta Lennon. Steinberg wypluwa gumę do żucia i wyręcza Razdolina w odpowiedzi:

— Sam doskonale wiesz, co on ma na myśli. Wszyscy to rozumieją, ale nikt nie chce powiedzieć pierwszy. Trzeba ich ratować. Ja osobiście zawsze starałem się ratować kolegów, którzy znaleźli się w niebezpieczeństwie, rozumiesz?

— Ale jak? — pyta Lennon, niewidoczny w cieniu rzucanym przez aparaturę.

— Nie wiem jak! — gorączkuje się Razdolin. — Ale on ma rację — wskazuje gestem Steinberga.

— Nie, doskonale wiesz! — odwraca się gwałtownie Steinberg. — Wszyscy wiecie, ale nie chcecie się przyznać. Jesteście humanistami. A ja powiem. Trzeba wymontować wiertło laserowe z „Mayflowera” i rozpruć to paskudztwo jak puszkę konserw!

— Przestańcie histeryzować! — mówi spokojnie i twardo Siedow. — Wstydzę się za ciebie, John. Ładna psychologia! Skoro nie rozumiem, muszę chwycić za pistolet. Przypomnijmy sobie rok 48 i 49... I wyobraźmy sobie, że naszym dziadkom zabrakłoby wówczas rozsądku i cierpliwości.

— O jakim rozsądku ty mówisz? — przerywa mu Razdolin. — Gdzie tu miejsce na rozsądek?

— Już sam fakt, że „Proteusz” zgasł — tłumaczy dobitnie Siedow — a więc ponownie gromadzi energię, dowodzi tego, że jest mu ona potrzebna. Do czego? Być może do przeprowadzenia jakichś badań, do przygotowania kontaktu...

— Kiedy mrówka włązi ci za kołnierz, zgniatasz ją palcem i wyrzucasz, a nie zastanawiasz się nad metodami nawiązania kontaktu — wybucha Steinberg. W błękitnych refleksach migocących tablic rozdzielczych jego twarz wydaje się śmiertelnie blada.

— Wierzę i chcę, abys ty również uwierzył, że nie chodzi tu o mrówki — odpowiada spokojnie Siedow. — Nasze opanowanie i nasza cierpliwość jest również przejawem naszego rozumu, prawdziwego rozumu.

— Możliwe, że brak mi twego „prawdziwego rozumu” — mówi Steinberg odwrócony w stronę iluminatora — ale zasoby regeneratorów w skafandrach są na wyczerpaniu...

— Proszę cię, żebyś trochę odpoczął — mówi cicho Siedow.

— Słusznie! — eksploduje Steinberg. — Ja będę spał, a oni będą się dusić!

Siedow przerywa mu ostro:

— Już nie proszę, tylko rozkazuję zaprzestać tych rozmów!

Wszyscy milkną.

Sala Ośrodka Kontroli Lotów. Przy swoim pulpicie tkwi Zujew z twarzą zmęczoną i nieprzeniknioną. Obok niego siedzi Samarin.

— ...A jednak musimy spróbować wymyśleć coś nowego. Mamy jeszcze godzinę — kontynuuje rozmowę Samarin, spoglądając na tablicę świetlną, gdzie nieubłagane i obojętne przeskakują cyfry sekund i minut.

— Zrobiliśmy wszystko, aby oni zrozumieli, że pragniemy kontynuować kontakt — odpowiada Zujew. — „Gagarin” zbliżył się o dalsze pięćdziesiąt metrów. Nadaliśmy do nich obraz telewizyjny automatu regeneracyjnego skafandra, przekazaliśmy zakodowany w układzie dwójkowym graniczny czas jego działania, pokazaliśmy schematy atomów tlenu i azotu. Wykorzystaliśmy wszelkie możliwe, sporne i bezsporne rodzaje łączności. Spożytkowaliśmy wszystko, co nauka wymyśliła w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat do nawiązywania kontaktów z cywilizacjami pozaziemskimi. Zrozumiałyby nas nawet delfiny i koczokodany.

— Zgoda, ale na razie tylko tłumaczyliśmy — przerywa mu Samarin. — Zupełnie prawidłowo. Czyż jednak nie można im w jakiś sposób zademonstrować naszej niecierpliwości, obawy czy wreszcie naszego niezadowolenia?

Na ekranie monitora łączności wideofonicznej z ośrodkiem w Houston ukazuje się twarz Catewaya. Wygląda surowo i oficjalnie.

— Mister Zujew! Proponujemy o godzinie 03.35 czasu pokładowego, to znaczy w pięć minut po tym, jak Leżawa i Redford wyczerpią swoje zapasy tlenu i nikt już nie będzie mógł ich uratować, skierować na emiter wiertło laserowe z „Mayflowera”. Pragniemy uzgodnić tę naszą propozycję z rządem Związku Radzieckiego, prezydentem Stanów Zjednoczonych i sekretarzem generalnym Organizacji Narodów Zjednoczonych... Posłuchaj, Ilja — ciągnie Cateway niejako prywatnym tonem. — Oni od kilku miesięcy wiszą nam nad głowami. Zakłócają naszą łączność. Z ich winy uległo katastrofie wiele samolotów, rozbiło się mnóstwo statków. Wylecieliśmy im naprzeciw, a oni połknęli naszych chłopców. Na co jeszcze mamy czekać? — To jest straszne rozwiązanie — mówi Zujew. — Nigdy nie uchylałem się od podejmowania decyzji, ale teraz muszę się zastanowić... Odpowiem ci za dziesięć minut...

W gwiazdnej otchłani wisi nieruchomo „Gagarin”, jasno oświetlony promieniami słońca. Obok niego niewyraźnie majaczy ciemna bryła emitera. W pewnej chwili ona również zaczyna szybko wypełniać się blaskiem. Właśnie wypełniać się, jakby do wnętrza emitera napływała jakaś promienista ciecz.

— Sasza! — krzyczy Lennon, nie odrywając wzroku od iluminatora, przez który znów wyraźnie widać leniwie pulsujące ciało „Proteusza”.

Michael nie zdążył nic więcej powiedzieć, a pozostali kosmonauci niczego zrozumieć, gdy malutki, łagodnie wypiętrzony wzgórek na ciele emitera nagle pękł, a obok niego, wolno wirując w nieważkości, zawisły dwie srebrzyste figurki.

— Drugi! Czwarty! Tu pierwszy! Słyszycie mnie? — krzyczy Siedow.

— Tu drugi — odpowiada Redford tak spokojnie, jakby dopiero co wyszedł z kabiny symulatora. — Słyszemy cię doskonale, możesz nawet mówić nieco ciszej...

Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że cały świat czekał na jego słowa, i teraz samym tonem głosu i tym zwyczajnym, „telefonicznym” zdaniem uspokajał całą planetę i swych przyjaciół.

— U nas wszystko w porządku, a jak u was? — pyta Leżawa.

— Chłopaki! Hura! — krzyczy Siedow z twarzą mokrą od łez.

Cała czwórka rzuca się na siebie, zwiąja w dziwny kłębek i wolno wiruje pośrodku obserwatorium w zdumiewającym tańcu nieważkości.

Dziennikarze, pędzący na złamanie karków do sali dalekopisów, wytrącają tacę z filiżankami kawy z rąk ładniutkiej kelnerki w białym fartuszk i koronkowym czepeczku.

Redford i Leżawa siedzą w mesie „Gagarina” przed mikrofonami i kamerami telewizyjnymi, przed czterema bezpośrednimi słuchaczami.

— Uwiercie mi — mówi zmieszany Leżawa — że najśmieszniejsza, najwspanialsza lub też najokropniejsza rzecz polega na tym, że nie możemy niczego opowiedzieć. To przypominało sen, spokojny sen, jaki zdarza się jedynie w dzieciństwie... Te sny trwały bez chwili przerwy... Ale jak to opowiedzieć... Nie widzieliśmy nikogo, kogo można byłoby uznać za istotę żywą, chociażby zupełnie niepodobną do nas. Nie widzieliśmy przedmiotów, które wyglądałyby na sporządzone rękami lub mackami... — kosmonauta mówi wolno, z trudem dobierając słowa.

— A jednocześnie — dorzuca Redford — niejako całym ciałem, całym swym jestestwem odczuwaliśmy rodzaj kontaktu umysłowego z różnymi — jak by to wyrazić? — bryłami... Lepiej

będzie powiedzieć: z pewnymi zamkniętymi przestrzeniami, które otaczały nas ściśle ze wszystkich stron, zmieniając swe rozmiary, kształty i stopień oświetlenia.

— Czy to były istoty żywe? — pyta Siedow.

— Nie wiem — mówi Leżawa roztargnionym tonem. — Całkiem możliwe. Czuliśmy ich opiekę i przychyłność, prawda, Allan?

Redford kiwa głową.

— Nie wiadomo dlaczego byliśmy zupełnie spokojni, zupełnie się nie denerwowaliśmy, prawda?

Redford znów kiwa głową i mówi:

— Nie wiem, czy były tam istoty żywe, ale niewątpliwie obcowaliśmy z intelektem...

Zujew mówi głośno i dobitnie, skandując każde słowo:

— Gratulujemy załodze „Gagarina” pomyślnego wykonania założonego programu. Podjęto decyzję, aby statek natychmiast odszedł od „Proteusza” i ruszał w kierunku stacji orbitalnej „Mir-4”. Oczekujemy was na Ziemi, przyjaciele!... „Gagarin”, jak mnie słyszycie?

Cała załoga statku kosmicznego zebrała się w kabinie dowodzenia. Rozkaz Zujewa słyszeli więc wszyscy, ale ani Siedow, ani żaden z pozostałych kosmonautów nie odpowiada.

— Słyszycie mnie, „Gagarin”? — pyta ponownie Zujew. — Tu dwudziesty. Odbiór.

— Słyszemy doskonale, Iljo Iljiczu — odpowiada spokojnie Siedow. — Ale teraz w żaden sposób nie możemy stąd odlecieć... Pamiętajcie, że przed startem mówiliście mi, iż mam prawo podejmować własne decyzje w razie konieczności. No więc zachodzi taka konieczność. Nie możemy odlecieć. Kontakt jest dopiero początkiem, uwierzcie mi na słowo. Ja i my wszyscy — odwraca się ku kolegom — zrozumieliśmy to. Zrozumieliśmy i wierzymy, że najważniejsze jest jeszcze przed nami. — Patrzy na przyjaciół, jakby raz jeszcze chciał przekonać się o ich poparciu, i napotyka szczerze spojrzenia Allana Redforda, Jurija Razdolina, Michaela Lennona, Anzora Leżawy i Johna Steinberga, członków załogi statku międzyplanetarnego „Gagarin”, ludzi z ziemi.

Równym blaskiem świeci pulsujący „Proteusz”. Dwaj ludzie znowu płyną w otwartym kosmosie. Na ramieniu jednego z nich widnieje małe gwiazdziste proporczyk, a na skafandrze drugiego czerwona chorągiewka z sierpem i młotem. Przez ciemne filtry ochronne nie widać twarzy Aleksandra Siedowa i Michaela Lennona. Ale to właśnie oni lecą w kosmosie. Coraz bliżej jest błyszcząca powierzchnia statku z innej planety, w którego powłoce już zawczasu, jakby wabiąc ich, utworzył się wirujący szeroki lej, gotowy przyjąć ludzi, którzy uwierzyli w Dobro i Rozum.

*Baku–Houston–Moskwa  
Czerwiec 1972–listopad 1975*